

# Stewart Mary

## *Dom czarownic*

*Pamięci  
mej matki i ojca  
z miłością i wdzięcznością  
poświęcam*

Wstąp w ten zachwycający las,  
gdy stać cię na to. Mniej groźny jest zieleni zalew, Niż gdy się rzucisz w morskie fale.  
Niech

serce śpiewa jak skowronek, Idź w głąb jak mysz albo jak owad,  
Co sławi lato.

Strach tylko słońce wygaszone I mrok wciąż rodzi tu od nowa: Błyśnie złowieszczych ślepi  
blask, Ktoś cię uchwyci, trzaśnie kratą... Wstąp w ten zachwycający las,

Gdy stać cię na to.

George Meredith „Las Westermain”

Gdyby moja matka tylko zechciała, mogłaby zostać czarownicą. Spotkała jednak mojego ojca, który był bogobojnym duchownym i on zawrócił ją z tej drogi. Zamiast współczesnej, obdarzonej czarodziejską mocą siostry króla Artura, Morgan Le Fay z rezygnacją przyjęła rolę małżonki duchownego anglikańskiego i została pierwszą osobą w parafii; w miarę, jak pozwalały tamte czasy - przed ponad pięćdziesięciu laty - sprawowała w parafii władzę

Żelazną ręką, bynajmniej nie używając rękawiczek. Supremacja jej osobowości, żywe usposobienie, odrobina okrucieństwa, przy całkowitym braku współczucia dla słabości i niekompetencji, pozostały jej do końca. Miałam trudne dzieciństwo. A sądzę, że i jej nie było łatwo. Pamiętam fotografię mojej babki, a jej matki, której nigdy nie spotkałam, ale której wizerunek napawał mnie przerażeniem przez całe dzieciństwo. Przyłizane, do tyłu zaczesane włosy, świdrujące oczy i zaciśnięte wąskie wargi. Mieszkała w słabo zaludnionej części Nowej Zelandii i wykazała się wszelkimi cechami właściwymi pionierom z tamtych czasów. Doskonale pielęgnowała chorych, była też znachorką, a we wcześniejszych czasach uznano by ją z pewnością za kobietę posiadającą moc magiczną albo nawet za czarownicę. Wyglądała na to. Moja matka, będąca lepszym jej wydaniem, miała te same cechy. Bezlitosna dla zdrowych, z zasady nie lubiąca wszystkich kobiet, obojętna wobec dzieci i zwierząt, była jednakże bezgranicznie cierpliwa w postępowaniu z noworodkami i doskonale pielęgnowała chorych. Parę pokoleń wstecz zanosiłaby galaretki i zupy dla chorych i zasługujących na to biedaków, ale te czasy się skończyły i zamiast tego przewodniczyła na zgromadzeniach pań pracujących społecznie w wiosce i robiła dzemy i galaretki na sprzedaż. („Potrzebujemy pieniędzy, a poza tym oni nie cenią sobie niczego, co dostają za darmo” - tłumaczyła). Kiedy zaś w kopalni zdarzył się wypadek, była tam obecna razem z ojcem i doktorem i tak samo niezbędna jak oni.

Mieszkaliśmy w ponurej, brzydkiej wiosce górniczej w północnej Anglii. Nasz dom był solidnie zbudowany, ale szkaradny, zbyt duży i bardzo zimny. Woda ze związkami wapnia była twarda i zawsze lodowata; matka w młodości nigdy nie miała do czynienia z urządzeniami do ciepłej wody i nie widziała powodu do tracenia pieniędzy na używanie zbiornika będącego częścią dużej kuchni typu „Eagle”. Kiedy potrzebowaliśmy gorącej wody do prania, grzaliśmy ją w garnkach na płycie kuchennej. Kąpiele w wannie można było brać raz na tydzień, w paru centymetrach letniej wody. Węgiel był drogi, po funcie za tonę, ale plebania i kościół miały elektryczność bezpłatnie, tak że w moim małym arktycznym pokoju na szczycie domu pozwalano mi czasami używać, w walce z zimnem, grzejnika elektrycznego z jedną spiralą. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek moje ręce lub nogi nie były odmrożone; nie zaliczano tego do dolegliwości, uważano za słabość i w ogóle nie zauważano.

Plebania leżała na końcu wioski, oddzielona od kościoła dużym własnym ogrodem, gdzie mój ojciec, wspomagany przez starego zakrystianina, spędzał każdą godzinę wolną od obowiązków parafialnych. Z jednej strony naszego terenu biegł główny trakt, pozostałe trzy strony dotykały cmentarza. „Spokojni sąsiedzi”, jak mówiliśmy i tak było naprawdę. Nie przypominam sobie, aby niepokoiła mnie myśl o umarłych, pogrzebanych tak blisko, w zasięgu wzroku, choć nasza zwykła droga do wioski biegła wzdłuż kwater najstarszych grobów. Było to jednak ponure miejsce dla samotnego dziecka i moje dzieciństwo było smutne, pozbawione radości i nawet bardziej samotne niż twarde dzieciństwo sióstr Bronte w Haworth. Nie zawsze jednak tak było. Miałam swój krótkotrwały Złoty Wiek, do którego mogłam powracać myślami; krótkie pasmo dni z marzeń, które uczyniły rzeczywistość znośnym dzieciństwem.

Do siódmego roku mojego życia mieszkaliśmy w małej wiosce liczącej około dwustu dusz. Była to mała parafia bez znaczenia, my byliśmy tam bardzo biedni, ale miejsce było piękne, praca ojca łatwa, a dom wystarczająco duży i wygodny. Jasna plebania była stara i niska, z białą różą pnącą się nad gankiem i ścianami pokrytymi pnączami, z rabatami słodko pachnących

6

fiołków z tyłu. W gąszczu bżów znajdowała się altana i starannie utrzymany przez ojca kort tenisowy, gdzie od czasu do czasu grali nasi sąsiedzi. Parafia obejmowała głównie ziemie uprawne, farmy rozrzucone w obrębie kilku mil kwadratowych zjedną „główną” drogą przez

cały teren. Samochody należały do rzadkości; albo szło się na piechotę, albo jeździło wózkiem zaprzężonym w kuca. Nie było autobusów, a stacja kolejowa znajdowała się w odległości dwu mil.

Tylko siedem lat. Ale nawet teraz, kiedy po dziesięciokrotnie dłuższym życiu, pewne odcisnięte głęboko wspomnienia z tych czasów są ciągle jeszcze żywe i dokładne w porównaniu z okrytymi cieniem latami, minionymi i zapomnianymi.

Wioska była zielona, na pastwiskach pasły się kozy i osiołki, a w środku stał stary kościół. Wszędzie, na błoniach i w ogródkach przydomowych, pełno było olbrzymich drzew, okrążających łąki, ocieniających zakurzoną drogę. Sama droga, z potrójną koleiną wyrzeźbioną przez koła i podkowy, wiła się między ścianami gęstych, kwitnących żywopłotów. Gorące promienie słońca rozgrzewały kamienie tworzące nawierzchnię naszego podwórka z tyłu domu, gdzie dumnie spacerowały kury i leżał drzemiący kot. W kuźni, w najbliższym sąsiedztwie, dzwonił młot kowala i czuło się ostry zapach gorących podków, którymi podkuwał wiejskie konie. Blżej był ogródek plebanii z daliami, bratkami i orlikami jak śpiące gołębicę. Krzewy bzów, chmiel pnący się nad drzwiami budynku szkolnego przy dolnej granicy ogrodu i pełne, Żółte róże przy schodkach prowadzących na kort tenisowy. Ale nie pamiętam ludzi. Wydaje mi się, że to jest znamienne, że te złote wspomnienia nie obejmują nikogo z ludzi. Z wyjątkiem jednej osoby. Nic nie przyćmiewa obrazu tego dnia, gdy poznałam kuzynkę matki, Geillis.

Była moją chrzestną matką, a więc zapewne poznałam ją przy chrzcielnicy, ale gdy po raz pierwszy, jak sobie przypominam, rozmawiałam z nią w piękny letni dzień, miałam sześć lat.

Nie mogły to być moje urodziny, gdyż przypadają one we wrześniu, ale musiał to być w jakimś sensie szczególny dzień, coś, czego oczekiwałam z nienasyconą tęsknotą samotnego dziecka, a kiedy nadszedł, był dokładnie taki sam, jak inne dni. To znaczy, że byłam sama, gdyż ojciec odwiedzał parafię, a matka była zbyt zapracowana, aby się mną zajmować, a oczywiście nie pozwolono mi bawić się z wiejskimi dziećmi.

Wątpię, czy wolno mi było opuszczać ogród, ale mimo to tym razem wyszłam. Na końcu naszego warzywnika, za budynkiem szkolnym, znajdowała się moja prywatna dziura w płocie. Za nią rozpościerał się łagodnie opadający stok długiej łąki, ozdobionej jak park grupą

olbrzymich drzew, a u stóp zbocza, z małym lasem z tyłu, był staw. Chyba tylko dlatego, że pociągało mnie jego jasne lustro, poszłam wolno do brzegu wody i usiadłam na trawie.

Wydaje mi się, że pamiętam każdą chwilę tego popołudnia, choć początkowo obraz był zamazany i widziałam tylko przepych barw, przypominający, malarstwo impresjonistyczne. Panował chaos dźwięków, śpiew ptaków w lesie za żywopłotem mieszał się z rzępoleniem koników polnych w wysokiej trawie tuż obok. Było gorąco, a zapach ziemi, zgniecionej trawy

i prawie stojącej wody stawu potęgował senną atmosferę.

Rozmarzona usiadłam z szeroko otwartymi oczami, wpatrzona w to miejsce lśniącego stawu, gdzie zasilął go leniwy strumień.

Nagle coś się zdarzyło. Czy to słońce się przesunęło? Wydaje mi się, że zapamiętałam nagły błysk nad powierzchnią stawu, jak gdyby ryba wyskoczyła nad wodę i rozproszyła blask. Czarodziejska mgielka barw zaostrzyła się. Wszystko dookoła nagle wydało się przeniknięte migającym światłem. Marcinki, białe i złociste, wyższe ode mnie, poruszyły się i zakołysały nad moją głową, jak gdyby przeczesane przez silny powiew wiatru. Wibrujące powietrze znowu znieruchomiało, roztaczając silne zapachy. Ptaki przestały śpiewać, koniki polne ucichły. Siedząc cicho jak ślimak na łodydze, w środku pełnego życia świata, ujrzałam ten świat po raz pierwszy i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że jestem jego częścią.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że koło mnie stoi kuzynka Geillis. Musiała mieć niewiele ponad czterdzieści lat, ale mnie oczywiście wydawała się stara, tak jak i moi rodzice po trzydziestce - byli dla mnie starzy. Wyglądem przypominała trochę moją matkę. Miała dumnie zarysowane usta i nos, przenikliwe szarzielone oczy, wyprostowaną postać. Ale włosy mojej matki były złocistorude; kuzynki Geillis ciemne, a całą ich zwiniętą masę przy-

8

trzymawały szylkretowe szpilki. Nie przypominam sobie, co miała na sobie z wyjątkiem tego, że był to obszerny ciemny strój.

Usiadła przy mnie na trawie. Zrobiła to nie gniotąc marcinków. Przesunęła palcem po łodydze jednej z roślin, a z niej sfrunęła i usiadła na nim biedronka.

— Patrz - powiedziała. - Szybko, policz kropki.

Dzieci przyjmują najdziwniejsze rzeczy za naturalne, szczególnie naiwność, której mogą zupełnie nie rozumieć dorośli, stosujący się do własnych praw dorosłego świata. Nie widziałam nic dziwnego w nagłym pojawieniu się kuzynki Geillis ani jej powitaniu.

Policzyłam. - Siedem - powiedziałam.

— Coccinella z siedmioma kropkami - zgodziła się kuzynka Geillis. - Czy nie powinnaś teraz jej ostrzec?

Bez wahania uznałam to za konieczne. Posłusznie zaśpiewałam:

Biedroneczko, biedroneczko radzę ci odlecieć  
Twoje gniazdo płonie, uciekły stąd dzieci  
Wszystkie oprócz dziewczynki nazywanej Jilly  
A ta bezpieczna siedzi w oknie od dłuższej chwili.

— Biedronka pofrunęła - powiedziałam ze smutkiem. - Ale przecież to tylko piosenka.

— Masz rację. Ale ten mały owad jest bardzo mądry. Biedronki mieszkają na łąkach i wszystkie ich dzieci rodzą się i fruują, zanim ludzie skoszą trawę i spalą ściernisko. Czy wiesz kim jestem, Jilly?

— Jesteś kuzynką mamusi i nazywasz się Jilly. Ona ma twoją fotografię.

— No tak. Co tutaj robisz?

Musiałam sprawiać wrażenie zalęknionej. Nie wolno mi było oddalać się poza ogród, nie pozwalano mi marnować czasu na marzenia. Widząc jednak wpatrzony we mnie oczy kuzynki

Geillis, powiedziałam prawdę.

— Myślałam.

— O czym? - Szczęśliwie nie wyglądała nie tylko na zgorszona, ale odczytałam w jej twarzy zainteresowanie.

Spojrzałam wokół siebie. Oświetlona mieszanina trawy i kwiatów tworzyła znowu impresjonistyczną wizję.

— Nie wiem. O różnych sprawach.

Był to ten rodzaj odpowiedzi, który zwykle powodował ostrą naganę. Kuzynka Geillis pokiwała głową, jak gdyby zrozumiała każde słowo z mojego wyjaśnienia.

— Czy są na przykład w stawie kijanki?

— Właśnie, właśnie. Czy są rzeczywiście?

— Prawdopodobnie. Dlaczego nie mamy sprawdzić? Spojrzałyśmy i okazało się, że są; także drobne piskorze

i sporo cierników. Potem kuzynka Geillis pokazała mi miejsce, gdzie u stóp wysokich trzcin powierzchnia wody nagle podniosła się. Zobaczyłam wybrzuszony krąg, który zaraz zniknął, ukazując brązowe stworzenie podobne do pędraka. Powoli, cierpliwie, badając obce środowisko, wstrętne stworzenie przemierzało drogę w górę łodygi aż do momentu, gdy oddalone od swego odbicia w wodzie, ciągle trzymając się łodygi, poddało się promieniom

słońca, które je osuszały.

— Co to jest?

— Nazywa się to poczwarka. Patrz teraz Jilly, tylko patrz. Stworzenie poruszyło się.

Obrzydliwa głowa odchyliła się do

tyłu, jak gdyby pod wpływem bólu. Nie widziałam, co się stało, ale nagle okazało się, że na łodydze są dwa stworzenia: pęknięte łożysko, które było poczwarka i wypełzający w górę z pustego czerepu inny stwór, dopiero co urodzona, miękka, Żywa, szczuplejsza, ale większa wersja pierwszego. Przyczepił się ponad pomarszczonymi resztkami szlamowatej swej skóry; wszystko to w blasku słońca, pod którego wpływem stwór wypełniał się życiem, aż ze skrzyconego tułowia wyciągnął pomarszczony jedwab skrzydeł i powoli wyprostował je. Napięte i błyszczące. Były utkane tak delikatnymi żyłkami jak włoski; a tymczasem, nie wiadomo skąd, a wydawało się, Że z samego powietrza, bezbarwne ciało zaczęło się wypełniać kolorem, aż stało się mieniącym błękitem, jak meteor spadający z nieba.

Skrzydła

wyprostowały się pod wpływem powiewu powietrza. Ciało owada uniosło się w górę i zatrzymało. Nagle skierowało się do światła i jak światło zniknęło.

— To jest ważka, nieprawdaż? - usłyszałam, Że szepcę.

— To jest Aeshna Caerulea. Powtórz.

— Aeshna Caerulea. Ale jak to jest możliwe? Powiedziałaś, Że to jest poczwara. Czy w środku była ważka?

10

— Tak. Poczwarka - a nie „poczwara” - mieszka na dnie stawu, w ciemności, żywi się byle czym, co znajdzie, aż do dnia, w którym poczuje, że może wydostać się na zewnątrz, rozwinąć skrzydła i pofrunąć. To, co przed chwilą oglądałaś - powiedziała kuzynka Geillis pogodnie - to jest w całym tego słowa znaczeniu po prostu cud.

— Masz na myśli czarodziejską magię? Czy to ty sprawiłaś to, co się stało?

— Nie, to nie tak. Pewne rzeczy mogę spowodować, ale nie to, bo to było naturalne zjawisko. W przyszłości, jeśli się nie mylę, będzie potrzebny cud tego rodzaju. Inna poczwarka, w inny sposób, pewnego dnia... - Szybko spojrzała na mnie - Czy mnie rozumiesz?

— Nie. Ale czy możesz wywołać zdarzenia? Czy więc naprawdę jesteś czarodziejką, kuzynko Jilly?

— Cóż to za pytanie? Czy tak ci powiedzieli rodzice?

— Nie, mama powiedziała, Że możesz się zjawić, a tatuś powiedział, że nie bardzo jesteś pożądana.

Roześmiała się wstając i pociągnęła mnie za sobą.

— Mam nadzieję, że dotyczy to bardziej mojej strony duchowej niż fizycznej. Nic nie szkodzi, moje dziecko, lepiej zaprowadzę cię do domu. Chodź.

Ale to popołudnie jeszcze się nie skończyło. Powoli wracałyśmy przez łąkę i wydało się naturalne, że spotykamy samicę jeża z jej czterema małymi, żywo poruszającymi się wśród trawy i kopiącymi ziemię długimi, błyszczącymi ryjkami.

— Pani Kopaczka - szepnęłam. Tym razem kuzynka Geillis zaśmiała się i poczułam, że nie miała zastrzeżeń do tego imienia. Jedno z małych znalazło ślimaka i zjadło go z zabawnym chrupaniem. Nie bojąc się wcale, minęły nas zupełnie blisko i zniknęły. Potem kuzynka Geillis zrywała jeden kwiat po drugim i opowiadała o nich, tak że zanim doszłyśmy do plebanii, poznałam nazwy i zwyczaje około dwudziestu roślin. Choć powinnam być ukarana za opuszczenie ogrodu, mama nie powiedziała ani słowa i wszystko skończyło się dobrze. Kuzynka Geillis została u nas parę dni. Wydaje mi się, że większość czasu spędziła ze mną. Mieliśmy najwspanialszą pogodę, jak zawsze w tych dawnych sielankowych latach i cały czas

przebywałyśmy poza domem. Wydaje mi się, że w czasie długich

11

spacerów, gdy znikaliśmy na całe dni, zrodziły się zasady mojego życia. Po jej odejście, światło nad polami i lasami zniknęło, ale płomień, który roznieciła we mnie, pozostał. Było to ostatnie piękne lato. Wiosną następnego roku biskup przeniósł mojego ojca do nowej parafii, wielkiej, wstrętnej parafii górniczej, gdzie hałdy węgla, dym, płomień z pieców koksowniczych i hałas manewrujących pociągów wypełniały dni i noce, a my pogodziliśmy się z deprymującym nas domem położonym wśród grobów cmentarza.

Nie było tam ważek, kwitnących łąk, nie było też jeży. Błagałam o jakieś zwierzątko, wszystko jedno jakie, choćby białą myszkę i mimo że, jak we wszystkich plebaniach w tych czasach, była tam stajnia z małą przegrodą, wolnym boksem i wystarczającą ilością przybudówek, nie pozwolono mi. Od czasu do czasu, kiedy kot złapał ptaka albo nawet mysz, starałam się wyleczyć ofiarę, ale nigdy to się nie udawało. Zaś kot opierał się wszystkim zabiegom o jego względy, przedkładając półdzikie bytowanie na podwórzu. Któregoś dnia dostałam od wikarego królika z jego hodowli. Nie było to zwierzątko reagujące na pieśczoły, ale czule je kochałam, aż do momentu, kiedy po dłuższym czasie matka zmusiła mnie do oddania go z powrotem. Następnego dnia wikary, który jak co dzień przyszedł na rozmowę z moim ojcem, przyniósł królika obdartego ze skóry i poćwiartowanego, gotowego do włożenia do garnka. Pobiegłam na górę i zwymiotowałam. Podczas gdy ojciec próbował wyjaśnić wszystko zdumionemu i obrażonemu wikaremu, matka, raz w życiu serdeczna i współczująca, pobiegła za mną i wytarła podłogę. Z czasem żal i przerażenie minęły, a wikary

i królik poszli w zapomnienie. Nigdy również nie wracano do tego wydarzenia.

Mówi się, że uczucia same się bronią. Patrząc po latach, niewiele pamiętam z tego okresu mego dzieciństwa. Rzadkie przyjemności, wyprawy autobusem z ojcem, towarzyszenie mu w czasie wizyt w parafii, uprzejmość żon górników, które nazywały mnie Jilly i traktowały z takim samym serdecznym szacunkiem jak mego ojca, a potem, odwracając oczy, pytały z respektem

12

o mamę. I długie samotne godziny w moim lodowatym pokoju, gdzie rysowałam i malowałam - zawsze zwierzęta i kwiaty - albo wyglądałam przez okno na cmentarz i jawory, na czerwone, wyłaniające się z kurzu zachody słońca nad hałdami węgla i marzyłam. O czym marzyłam i czego pragnęłam? Tego nie wiem do dzisiaj.

Pewnego dnia, znowu bez uprzedzenia, przyjechała kuzynka Geillis. Była to pożegnalna wizyta, jak ją nazwała, przed udaniem się w długą podróż w celu odwiedzenia naszej rodziny

w Nowej Zelandii. Zabiorę, powiedziała, listy i prezenty i nie będzie mnie przez jakiś czas.

W

tamtych latach, zanim zaczęto podróżować samolotami, taka podróż zabierała miesiące i rok nie był zapewne zbyt długi dla podróżnika wybierającego się w podróż dookoła świata.

Powiedziała, że jest wiele miejsc, które chciałaby zobaczyć. Nazwy przelatywały nad moją głową: Ankara, Kair, Delhi, Filipiny, Peru... wróci, jak zwiedzi je wszystkie, a na razie...

Na razie przywiozła dla mnie psa, którym miałam się opiekować.

Był to czarno-biały collie, chudy, nerwowy, ale pełen miłości. Zagubiony pies, którego przygarnęła i którego nie chciała skazać na przypadkowy los i łaskę nieżyczliwego człowieka.

— Oto jego świadectwo. To będzie pies Jilly. Ona musi -myślałam, że powie „kogoś pokochać” i ogarnął mnie chłód, ale ona dokończyła po prostu - mieć towarzysztwo. Kogoś, kto będzie z nią chodził na spacer.

— Jak on się nazywa?

Siedziałam z psem na zimnych płytach podłogi kuchennej. Nie mogłam uwierzyć w swe szczęście. Nie odważyłam się też spojrzeć na mamę.

— Do ciebie należy znalezienie mu imienia. Jest twój.

— Nazwę go Tramp - powiedziałam z twarzą ukrytą w jego futrze. Pies polizał moją twarz.

— Un peu banał - powiedziała kuzynka Geillis - ale on nie jest zarozumiały. Do widzenia.

Nie pocałowała mnie na pożegnanie. Nie widziałam, aby kiedykolwiek kogoś całowała.

Wyszła z domu, a w chwilę później weszła do autobusu, który właśnie podjechał.

— Dziwne - powiedział ojciec - pewnie to dodatkowy wóz.

13

Według rozkładu jazdy, autobus odjechał przed dziesięcioma minutami. Widziałem.

Matka uśmiechnęła się. Ale gdy spojrzała na psa i na mnie na ziemi obok niego, przytulając go obiema rękami, jej uśmiech zamarł.

— Zaraz wstań. A jeśli chcesz zatrzymać psa, trzeba go uwiązać. Nie wiem doprawdy, co myślała Geillis tak nas urządzając. Przecież nie ma tu nikogo, kto będzie mógł się nim zajmować.

— Będę się nim opiekowała. Dam sobie radę bez trudu.

— Ciebie tu nie będzie.

Spojrzałam na nią z otwartymi ustami. Czekałam. Nie było zwyczaju indagowania matki.

Mówiła, gdy chciała coś powiedzieć.

Mama tak zacisnęła wargi, że bardzo przypominała babkę z portretu.

— Wyjedziesz do szkoły. Kuzynka Geillis ma rację. Potrzebujesz towarzystwa i musisz odzwyczać się trochę od marzycielstwa. A ponieważ...

— Nie miej takiej przerażonej miny, kochanie - to był łagodny głos mojego ojca. - Spodoba ci się tam, naprawdę spodoba. A ty rzeczywiście potrzebujesz towarzystwa i przyjaciół. Dla nas to wielka szansa. W żadnym wypadku nie moglibyśmy sobie na to pozwolić, ale kuzynka Geillis przyrzekła ponieść większość kosztów. Jako twoja chrzestna matka...

— Ona woli być nazywana sponsorem - oschle przerwała moja matka.

Ojciec wyglądał na zmartwionego. - Oczywiście, wiem. Biedna Geillis. Jednakże, kiedy tak uprzejmie nam pomaga, nie możemy nie skorzystać z okazji. Czy rozumiesz to, Jilly?

Pies stał tuż koło mnie. Schyliłam się i znowu przytuliłam go do siebie. Nagle ponura i samotna plebania wydała mi się bardzo miła, a ubogie pola i ścieżki wiejskie piękne i pociągające.

— Proszę, mamó, czy naprawdę muszę wyjechać?

Mama już się odwracała, niewątpliwie z głową zaprzątniętą spisem ubrań i kuframi pakowanymi do wyjazdu, a także, czego już wtedy się domyślałam, obiecującą perspektywą ośmiu miesięcy w roku bez córki w domu. Nie odpowiedziała.

— Tatusiu, czy muszę wyjechać?

— Mama uważa to za najlepsze rozwiązanie. - Nie tłuma-

14

czył swego zakłopotania, a jego ręka zniknęła w kieszeni i ukazała się z półkoroną.

— To dla ciebie Jilly. Kup psu miskę do jedzenia. W sklepie pana Wooda widziałem wczoraj takie miski z napisem „Pies”. Zatrzymaj resztę.

Pies polizał mnie po twarzy. Widocznie polubił smak łez, bo polizał mnie znowu.

Szkoła, na którą ostatecznie się zdecydowano, była anglikańskim klasztorem, a takiemu wyborowi kuzynka Geillis, wówczas niedostępna na Atlantyku, z pewnością ostro by się sprzeciwiła. Nawet matka początkowo ostro protestowała. Któregoś letniego wieczoru, wychylając się przez okno mego pokoju, usłyszałam rozmowę rodziców, dochodzącą z gabinetu ojca, który znajdował się bezpośrednio pod moim pokojem. W gabinecie było otwarte okno.

— Moją córkę mają wychowywać zakonnice? Nonsens. - To mówiła matka.

— Ona jest także moją córką.

— Tak sądzisz - powiedziała cicho mama; ledwie chwyciłam sens jej słów.

Usłyszałam, że ojciec się śmieje. Był to święty człowiek i zawsze ją uwielbiał. Nigdy nie miał

zwyczaju komentować tego, co powiedziała, jak to robią inni mężczyźni.

— Wiem, moja droga. Ona ma twoją inteligencję i w przyszłości może być prawie tak piękna jak ty, ale ja też mam do niej jakieś prawa. Czy pamiętasz, co zwykł mówić stary kościelny?

Matka wiedziała, kiedy posuwa się za daleko i nigdy nie próbowała toczyć dalszej walki, widząc że przegrywa. W głosie jej wyczułam wesołość.

Kościelny mówił: „nie możesz się jej wyrzec...” - Oczywiście, nie możesz drogi Harry. Ma szczęście, odziedziczyła twoje ciemne włosy i szare oczy, o których wielokrotnie mówiłam, że są zbyt piękne dla mężczyzny... Zgoda więc. Ten klasztor wydaje się dobry, jeśli można ufać prospektowi. Ale jest też ta druga szkoła... gdzie jest prospekt? Wygląda także zachęcająco, a nie jest dużo kosztowniejsza.

— Ale odległość od nas. Hrabstwo Devon? Pomyśl o cenach

16

biletów. Nie ma powodów do niepokoju, moja droga. Wiem, że takie szkoły nie mogą umożliwić uczniom zdobycia stypendium na dalszą naukę, ale...

— To właśnie mam na myśli. Zapewne będą chcieli wychować ją religijnie.

Ojciec zdawał się być ubawiony.

— Trudno byłoby oczekiwać, że uznam to za nieodpowiednie.

Roześmiała się.

— Przepraszam, ale wyraziłam się niewłaściwie. Wiesz przecież, co mam na myśli. Tak dużo się słyszy o przesadzie w nauczaniu religii ze stratą dla innych przedmiotów, szczególnie biologii i chemii, a myślę, że to właśnie interesuje Jilly. Jest bystra i inteligentna. Ona potrzebuje dobrych nauczycieli, dużych wymagań i współzawodnictwa. Na pewno mam rację. Od tej strony Jilly przypomina mnie.

Słowa stały się mniej wyraźne, gdy odwróciła się od okna. W odpowiedzi usłyszałam jego cichą odpowiedź i strzępy rozmowy, które wychylając się z okna zdołałam uchwycić... Coś, co mówił ojciec, dotyczyło „szkoły w naszym okręgu”, tylko „dwa przystanki od nas”; matka zaś wypowiadała z naciskiem zdania, których nie dosłyszałam, ale które powtarzała tak często, że mogłam domyślać się każdego słowa. Jej córka miałyby iść do szkoły z wiejskimi dziećmi? Wystarczy już, że musiała uczęszczać tutaj do podstawowej, ale do miejscowej średniej aż do czasu, gdy będzie miała siedemnaście czy osiemnaście lat? Zakończy się to z pewnością nieodpowiednimi przyjaciółmi i akcentem jak u dzieci górników. Nigdy.

Był to sprzeciw samotnej kobiety, zamkniętej we własnej, ograniczonej sferze społecznej, a jej postawa, która w tych czasach nie budziła oburzenia, była dość powszechna. W wypadku mojej matki dodatkowe znaczenie miało wychowanie w koloniach, gdzie marzenia o „ojczyźnie” ubarwiano wiktoriańskimi wzorcami. Była to także, z czego już wtedy zdawałam sobie sprawę, zawiedziona ambicja. Córka mojej matki (w takich przypadkach nigdy ojca) musi mieć szansę, których odmawiano jej własnemu pokoleniu; jej córka musi być niezależna, wolna, co może jej umożliwić jedynie nauka. Musi wybrać własny kierunek życia.

Studia na uniwersytecie... Dyplom uniwersytecki, i to dobry. Mo-

17

że dyplom prymusa? Dlaczego nie? Jej córka byłaby na pewno zdolna do czegoś więcej. I tak dalej. Mogłam domyślać się tego wszystkiego i jednocześnie zdać sobie sprawę z przyczyn protestu ojca (na swój sposób był tak samo wiktoriański jak ona), który wierzył, że córka, piękna córka, z pewnością wyjdzie za mąż i w ten sposób osiągnie największe



szczęście, jedyne szczęście i prawdziwe zaspokojenie dostępne kobiecie. Gdyby Jilly była chłopcem, to oczywiście za wszelką cenę szkoła publiczna i uniwersytet, ale dla córki, to z pewnością całkiem niepotrzebne.

Matka znowu znalazła się przy oknie, a jej głos był wyraźny i ostry. Zbyt ostry. To nie były już teoretyczne rozważania, lecz szansa realizacji jej nadziei, która zależała od tej decyzji.

— A jeśli nie wyuczy się zawodu i nie wydestynie stąd, kogóż to będzie mogła spotkać, kto będzie odpowiedni by ją poślubić? Czy naprawdę chcesz, żeby została w domu i była tylko córką pastora, „popychadłem” parafii?

— Jak żona pastora? - spytał z wielkim smutkiem ojciec.

Spoglądając wstecz, po wielu latach, widzę jakie beznadziejne musiało być życie mojej matki.

Ambitna, piękna, mądra i z tą drzemiącą w niej iskrą bożą, którą nazywamy siódmym zmysłem, dała się złamać stopniowo przez ubóstwo, ciężką pracę i samotność spowodowaną

przez całkowite zaangażowanie ojca w prace parafii i przez fakt, że cały świat rozdzielał ją od

rodziny w Nowej Zelandii. Także przez zawiedzione nadzieje. Ojciec, zadowolony ze swej pracy, pomimo ubóstwa, nigdy nie zrobiłby nic w kierunku otrzymania awansu i dostania się do wyższych sfer kościelnych, co by ją uszczęśliwiło i dodało kolorów jej życiu. Wtedy nie myślałam o tym. Wiedziałam tylko, że między moimi rodzicami, mimo głębokiego uczucia, które ich łączyło, istniał jakiś rozdźwięk.

Po chwili milczenia matka powiedziała głosem, który trudno mi było rozpoznać:

— Mam wszystko, co jest mi potrzebne, Harry. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Wiesz o tym.

Po chwili mówiła dalej, ale już łagodnie:

— Ufam, że Geillis także to osiągnie. W przyszłości. Ale musimy zdawać sobie sprawę, że może nigdy nie wyjść za mąż i że po nas nic nie odziedziczy.

18

— Nawet domu, wiem o tym. Jak zawsze masz słuszość. Dar Geillis jest zesłany przez Boga. A więc co ty na to? Czy możesz się pogodzić z myślą o klasztorze? Twoje obawy mogą

być pozbawione podstaw. Wymogi egzaminu wstępnego są według mnie dość duże.

— Tak mi się zdaje. W porządku. Ale, klasztor, to straszne.

— Jest najtańszy - krótko powiedział ojciec.

I to prawdopodobnie rozstrzygnęło sprawę i wysłano mnie do klasztoru.

Było to ponure miejsce, położone nieopodal skalnego wybrzeża wschodniej Anglii i matka bynajmniej nie musiała martwić się, że zakonnice będą wywierać na mnie nieodpowiedni wpływ. Dobre siostry, w istocie, wierzyły w to, co nazywały „samorządem” w szkole, a co po prostu oznaczało, że wybierano „przewodniczącą” klasy, największą, najsilniejszą dziewczynkę w grupie i cała dyscyplina, włącznie z karami, podlegała jej kontroli.

Wybierano

tez jej „zastępczynię”, którą była zazwyczaj jej najlepsza, serdeczna przyjaciółka. System ten mógł być zalecany jako sposób na zaoszczędzenie kłopotów siostrom. Z punktu widzenia nieśmiałego, pilnego dziecka powodowało to jedno wielkie pasmo koszmarów.

Przyjechałam do szkoły z opinią inteligentnej dziewczynki, podbudowaną przez ostry „egzamin”, który zdałam z łatwością. Zostałam więc skierowana przez dobre siostry do klasy dziewcząt co najmniej dwa lata starszych ode mnie. Ponieważ wysoki poziom nauki nie był mocną stroną szkoły, wkrótce zostałam prymuską klasy, a myśląc o pochwałach pracowałam

jeszcze więcej i niewątpliwie w pełni zasłużyłam na wynikającą z zazdrości niechęć, która

wkrótce mnie otoczyła.

Miałam osiem lat, byłam bezbronna i szkoła stała się miejscem tortur i niedoli. Dni były wystarczająco straszne, ale noce w sypialni stały się piekłem dokuczliwości i prześladowań. My, sterroryzowane, prześladowane dzieci, oczywiście nie brałyśmy pod uwagę możliwości skarg. Kara za to, w nienadzorowanych klasach i sypialniach, byłaby zbyt straszna. Co wieczór, po modlitwie, cichy rząd zakonnic przechodził przez sypialnie młodszych dziewcząt: głowy schylone, welony zakrywające twarze, ręce schowane w rękawach, nie patrzące ani na prawo, ani na lewo na łóżka, gdzie cicho, udając śpiące, leżały torturowane i tortu-

19

rujące, czekając tylko na zamknięcie drzwi, by znowu mógł się rozpocząć koszmar. Nawet w domu nie powiedziałam o tym nikomu. Szczególnie w domu. Moje dzieciństwo przygotowało mnie do nieszczęśliwych przeżyć, do lęku, Że jestem niechciana, do strachu. Tak więc żyłam od jednego do następnego kwartału, a moją jedyną ucieczką były książki i bezpieczeństwo sali szkolnej, i oczywiście jeszcze bardziej wyprzedziłam większe dziewczynki, które mnie terroryzowały. Jedynym promieniem światła i serdeczności była myśl o wakacjach. Nie ponura nuda plebanii czy nawet miłe towarzystwo ojca, ale miłość mojego psa Trampa, miłość tylko do mnie.

Niestety, tylko do mnie. On kochał mnie, słuchał moich poleceń i chodził tylko ze mną. Matka godziła się na to pogodne partnerstwo przez przeszło rok. W czasie mojej nieobecności, pies był uwiązywany. Nie chciała z nim spacerować, więc gdy go czasem odwiązywała przepadał na polach i w wiosce, poszukując mnie. Kiedyś mi powiedziała, że obawia się, że Tramp stanie się postrachem owiec. W końcu, kiedy po skończonym okresie szkolnym przyjechałam do domu, usłyszałam, że pies zniknął.

To wszystko. Może dzisiaj dzieciom trudno byłoby zrozumieć, że nawet nie spytałam, jak to się stało i kiedy. Nie powiedziałam nic. Nie śmiałam nawet pokazać matce, że płaczę. Tym razem nikt nie ocierał mi łez.

Ptaki, myszy, królik i ukochany pies. Już więcej nie próbowałam. Skupiłam się na własnej osobie i wytrzymałam w milczeniu aż do czasu, kiedy znowu przyszła pomoc. Przyszła w dziwny sposób i okrężną drogą. Dowiedziano się, że wierzyłam w czarodziejską moc (głupia,

naiwnie się komuś zwierzyłam). Byłam bardzo dziecinna jak na moje dziesięć lat. Mity i legendy stworzone przez klasyków, Andrzeja Langa, Hansa Andersena i braci Grimmów, ciągle jeszcze ożywiały moją wyobraźnię. Trzeba także przyznać, że życie duchowo kościelne,

które było moim udziałem, z jego cudami i legendami mieszało się z moim czarodziejskim światem, by stworzyć królestwo oderwane od rzeczywistości, ale przecież w moim pojęciu realne i możliwe.

Tak więc rozeszły się pogłoski, Że mała Jilly Ramsey wierzy w świat bajek. Intrygę uknuły dziewczynki z wyższych klas, które były sympatyczniejsze niż moje rówieśniczki. Uważały to raczej

20

za miłe wierzenie i zaczęły pisać do mnie liściki od Królowej Duszków, potem chowały się i obserwowały, jak wykradałam się do zaniedbanego zakamarka ogrodu, gdzie był słoneczny zegar i podnosiłam karteczki. Nie pamiętam już teraz, jak to się zaczęło i jak dalece w to wierzyłam, ale był to miły sekret i zdawało się, że nie przynosi nikomu szkody. Brałam liściki i biegłam do lasu (w klasztorze nie było miejsca na tajemnice), czytałam i pisałam odpowiedź.

Ostatni raz zdarzyło się to na początku czerwca, mniej więcej w środku letniego półrocza. Znalazłam karteczkę umocowaną do pokrytego mchem kamienia. Notatka zawierała tylko te słowa:

*„Droga Jilly, w ostatnim liście wyrażałaś pragnienie posiadania jako chrzestnej matki dobrej wróżki. Na pewno wkrótce będziesz miała od niej wiadomość. Twoja królowa, Tytania”.*

Nigdy się nie dowiedziałam, co planowały. Coś, może jakiś dźwięk, jakiś ruch, nakazało mi rozejrzeć się. Za krzakami zobaczyłam skulone kształty dziewcząt, które wymyśliły żart. Podniosłam się z ziemi, już nie pamiętam, co wtedy czułam ani co zamierzałam zrobić. Ale w tym momencie głos jednej z moich koleżanek z klasy zawołał mnie po imieniu z końca ogrodu.

— Jilly, Jilly Ramsey!

— Jestem tutaj.

— Jest do ciebie list.

Kanciasta postać Alice Bundle, jednej z dziewcząt, która jak ja cierpiała prześladowania i dlatego w jakimś stopniu uważano ją za moją przyjaciółkę, przybiegła ścieżką machając listem w dłoni.

Nie spojrzałam w kierunku krzaków. - Wielkie dzięki, Alice. Tak, znam to pismo. To od mojej chrzestnej. Ona mnie stąd zabierze.

Zgniotłam list od Dobrej Wróżki, rzuciłam go na ziemię i pobiegłam do szkoły. Kiedy przebiegłam, starsze dziewczęta wyprostowały się. Jedna z nich coś zawołała, ale nie zwróciłam na to uwagi. W obliczu tego pierwszego wyzwania w moim dzieciństwie, pierwszego świadomego kłamstwa, pierwszego odkrycia sensu słów „to nie ma znaczenia”, na które się odważyłam, zachowałam pogodę ducha. Wpatrując się we mnie, dziewczęta po-  
21

zostały w ogrodzie. Pewnie wyobrażały sobie, że to ich fałszywa magia tak działa na mnie. I tak było. List, jak się spodziewałam, był od mojej matki.

Był to dzień, w którym zawsze otrzymywałam jej listy, pisane regularnie co tydzień.

Zaczynała go moim imieniem, którego używała gdy była z czegoś zadowolona.

*Drogi Kwiatuszku Gilly!*

*Twoja kuzynka Geillis powróciła do kraju i odwiedziła nas w ostatni piątek. Kiedy dowiedziała się do jakiej wysłaliśmy cię szkoły, nie była zadowolona. Ponieważ opłaca prawie w całości twoje utrzymanie w szkole, musimy zastosować się do jej życzeń, a ona chce żebyś opuściła klasztor. Będziesz musiała zdać nowy egzamin wstępny, by uzyskać stypendium, ale nie mam wątpliwości, że je otrzymasz. Nowa szkoła jest w Krainie Jezior i mam nadzieję, że poziom nauki jest tam lepszy niż w klasztorze, gdyż jak wiesz będziesz musiała kiedyś zarabiać na siebie i być całkowicie samowystarczalna...*

Anielska kuzynka Geillis. A raczej, ponieważ ona odrzuciłaby to określenie, ukochana kuzynka Geillis. Mogę rozpocząć od nowa i rozpoczną.

W nowej szkole życie mogło być tylko lepsze. Ciągle jeszcze byłam za mądra, by czuć się dobrze, a nie dość mądra, aby to ukryć, ale nauczyłam się trochę hamować we współzawodnictwie i zadowolić się drugim albo trzecim miejscem w klasie. Byłam dość dobra w sporcie i podziwiano moje zdolności rysunkowe. Tak więc, choć miałam niewiele prawdziwie szczęśliwych przeżyć szkolnych, te lata upłynęły mi dość gładko.

Sama szkoła była piękna. Był to wielki, osiemnastowieczny budynek otoczony parkiem i lasem, gdzie pozwalano nam, w wolnym od lekcji czasie, spacerować bez ograniczeń. Taka była teoria. W praktyce miałyśmy niewiele wolnego czasu, ale wydaje mi się, że w rzeczywistości ja byłam jedyną dziewczynką, która naprawdę wykorzystywała ten przywilej. Przyzwyczajona do samotności przez całą moją dotychczasową młodość, teraz tęskniłam do

niej i, kiedy tylko mogłam uciec moim koleżankom, biegłam do lasu, gdzie stała opuszczona altana, o której myślałam, że należy tylko do mnie. Była zaniedbana i w opłakanym stanie, a w mokre dni deszcz przeciekał przez dach; nieopodał aleja lipowa pachniała miodem, a gdy siedziało się cicho pod osłoną altany, przychodziły rude wiewiórki, a ptaki przylatywały do swoich gniazd pod okapem dachu.

I tam znowu coś się wydarzyło; niezapomniane spotkanie dorastającej dziewczynki przeżywającej właśnie zielone lata.

Było to w czasie przerwy półrocznej, w lecie, gdy miałam czternaście lat. Rodzice zabrali prawie wszystkie dziewczynki, więc był to jeden z moich wolnych, samotnych dni.

Oczywiście moi rodzice nigdy nie przyjeżdżali. Siedziałam sama w altanie rysując. Znalazłam pełnik europejski, ziele Parysa i małą odmianę storczyka, i wszystkie rośliny ustawiłam w słoju na chwiejącym się stoliku, stojącym przede mną.

Nagle, na mchem poroślej ścieżce prowadzącej do altany,

23

usłyszałam kroki. To była kuzynka Geillis, która odezwała się wesoło:

— Pomyślałam, że cię tu znajde. Czy jadłaś już podwieczerek?

— O! Kuzynka Geillis. Nie, jeszcze nie.

— A więc chodź. Pójdziemy nad rzekę. Mam przekąski na podwieczerek. Zostaw te kwiaty, zabierzesz je po powrocie.

Nie przypominam sobie, abym ją spytała, jak przyjechała i jak mnie tutaj znalazła. Sądzę, że uważałam to za czary, przyjmując je z jej strony jako rzecz oczywistą. Nie należało jej mówić, że normalnie nie pozwalano nam chodzić nad rzekę. Nikt nas nie widział. Minęłyśmy pole hokejowe i spacerowałyśmy wzdłuż brzegów rzeki, pod dębami. W ich cieniu był długi, nasłoneczniony zakręt mokrej łąki, gdzie kiedyś zbudowano nasyp czy groblę, aby w czasie powodzi chroniła przed wezbraną wodą. Usiadłyśmy tam, a poniżej, jak gdyby to było naturalne, śmignął z suchej gałęzi zimorodek, złapał rybę i zniknął z nią w jamie piaszczystego nasypu.

— Czy pamiętasz tamtą biedronkę? - spytała kuzynka Geillis - i panią Kopaczkę?

— Coccinella - powiedziałam z powagą - i Erinaceus euro-poeus. Oczywiście, pamiętam. Zaśmiała się - Biedne dziecko. Ale uczysz się szybko. I jak się dowiaduję, nadal robisz postępy. Twoje rysunki są bardzo ładne. Ile teraz masz lat?

— Prawie czternaście. W następnym roku ukończę szkołę.

— A potem? Jakie masz plany, Gilly? - Muszę wyjaśnić, że kiedy skończyłam dziesięć lat odrzuciłam dziecinną pisownię „Jilly”, choć wymawiano moje imię tak samo. - Czy już wiesz?

— Prawdę mówiąc, nie. Mama mówi, że pewnie uniwersytet, a potem będę uczyć, ale...

— Ale?

— Nie jestem pewna, czy chcę uczyć. Naprawdę, to chciałabym być artystką.

Zdaje mi się, że w tym wieku „być artystką” znaczyło dla mnie coś w rodzaju malowniczej niezależności w dobrze oświetlonej mansardzie z powiewem Paryża i Akademii Sztuk Pięknych w Burlington House. Co najważniejsze, oznaczało to dla mnie posiadanie własnego domu, pracowni czy czegoś w tym rodzaju

24

i możliwości korzystania z samotności, gdy będę tego chciała. Pragnęłam studiować w szkole

sztuk pięknych, ale nie było to prawdopodobne, bo moich rodziców nie było na to stać.

Ponieważ kuzynka Geillis ponosiła większość kosztów za moją naukę, nie wypadało mi o tym

z nią rozmawiać. Nawet gdyby za mnie płaciła albo (moja nauczycielka uważała, że jest to

możliwe) gdybym zdobyła stypendium, matka by na to nie pozwoliła. Postawiła sprawę jasno.

Wiedziałam, że muszę się podporządkować, dostać na uniwersytet, uczyć, a być może któregoś dnia spotkać kogoś...

— Jeśli naprawdę chcesz to robić, to co cię powstrzymuje? - spytała z werwą kuzynka Geillis. - Jesteś zdolna. Nie pora być skromną. Wiesz to na pewno sama.

— Tak, ale widzisz - zagryzłam wargi i zamilkłam. Bezbłędnie czytała moje myśli. - I nie mów głupstw „że nie masz szans” albo „szczęścia”. Pozwól, że ci powiem. Jedyne szczęście, które się liczy w życiu

to wrodzone zdolności. Reszta zależy od ciebie.

— Oczywiście, kuzynko Geillis.

Jej oczy się śmiały. - Dobrze więc. Koniec kazania. Weź kanapkę i mówmy o czymś innym.

— Proszę bardzo. - Z ulgą przyjąłabym obie propozycje. Kanapka była zrobiona ze świeżej bułki, na której piętrzyła się jajecznicą z rzeżuchą, fantastyczna zmiana po posiłkach szkolnych.

— Opowiedz mi o miejscach, które zwiedziłaś. Czy naprawdę objechałaś cały świat? Podczas gdy jadłyśmy przekąski, które przywiozła, opowiedziała mi o miejscach, które widziała, tak żywo, że teraz, kiedy przypominam sobie ten dzień, widzę te egzotyczne krajobrazy tak dokładnie jak wysoki brzeg rzeki Eden płynącej w dole i zimorodka śmigającego z jednej gałęzi na drugą.

Nagle uderzenie zegara kościelnego, ogłaszającego piątą godzinę, popłynęło ponad terenem hokejowym. Trzeba było wracać. Zebrałyśmy resztki kanapek i wcisnęłyśmy je do torby kuzynki Geillis. Przerwa skończona. Z powrotem do szkoły. Faktycznie z powrotem na ziemię.

— To trochę tak, jak kiedyś - powiedziałam. - Zjawiałaś się znikąd, spędziłyśmy piękne popołudnie i znowu powrót do dnia

25

codziennego. Jak matka chrzestna - dobra wróżka. Kiedyś, kiedy byłam mała, w szkole klasztornej udawałam, że jesteś czarodziejską matką chrzestną i prawdę mówiąc ciągle tak uważam. To tak przyjemnie mieć taką matkę chrzestną. I wtedy powiedziałaś coś, co na zawsze zapamiętałam. Gdy wałka wynurzyła się ze stawu i odfrunęła. Czy pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam. Ale co w tym było szczególnego?

— Spytałam cię wtedy, czy jesteś czarodziejką, a ty powiedziałaś, że czasami udawało ci się powodować różne zdarzenia. Co miałaś na myśli? Czy to prawda?

Milczała. Potem sięgnęła do torby i wyciągnęła owinięty w czarny aksamit jakiś przedmiot, wielkości mniej więcej piłki tenisowej. Trzymając to coś w dłoni odsunęła aksamit, który spadł na ziemię i wtedy ujrzałam wyraźnie: to była niewątpliwie piłka. Nie była to jednak piłka tenisowa, nie było to też podobne do żadnej innej piłki, jaką kiedykolwiek widziałam. Wyglądała jakby była zrobiona ze szkła, ale nie ze zwyczajnego szkła i już wiedziałam, co to jest. Kryształowa kula. Mała kula odbijająca świat mglistych zieleni i złocistości, na którą powiew wiatru w gałązkach rzucał i światło, i cień, a słońce pobłyskujące na wodzie dawało blask, który oślepił oczy.

Moja kuzynka mówiła dalej: - Nie wiem, czy mogę wywoływać zdarzenia. Ale czasami przewiduję, co się stanie i wtedy wydaje się, że niezależnie od tego, co ktoś zrobi, te wydarzenia nastąpią. - Lekko się uśmiechnęła. - Czy sądzisz, że to jest pierwszy stopień wtajemniczenia?

Nie zrozumiałam jej. Brnęłam dalej.

— Czy to znaczy, że widzisz coś w tym kryształach?

— Tak, ale również bez jego pomocy.  
— A więc to prawda, że to jest możliwe?  
— Oczywiście, że tak.

Zafascynowana wpatrywałam się w kulę w jej ręku.

— Kuzynko Geillis, czy mogłabyś... czy mogłabyś spojrzeć teraz i zobaczyć co się zdarzy? Zmierzyła mnie wzrokiem poważnie i przyjaźnie.

— Masz na myśli, co zdarzy się tobie? Każdy to ma na myśli, mówiąc o „przyszłości”.  
Przyszłość...

— Przepraszam, ja tylko... pytałaś mnie, co zamierzam robić, gdy dorosnę, a ja nie byłam pewna.

26

— Nie przepraszaj - uśmiechnęła się nagle - Wszyscy jesteśmy podobni. Ja już spojrzałam w moją...

— Doprawdy? - Byłam jeszcze naiwna, więc zaskoczyło mnie, że ktoś tak zaawansowany w latach miałby przyszłość, której warto oczekiwać. Życie dla kogoś w wieku kuzynki Geillis należało już do przeszłości.

Z łatwością odgadła moje myśli. Śmiała się.

— Czy chciałabyś wiedzieć, kiedy to wszystko skończy się dla ciebie?

— N-nie, Nie!

— Musisz wiedzieć, że w tych sprawach nie ma wyboru. W kuli możesz zobaczyć, co się zdarzy wkrótce, ale też ostateczny kres. Czy chciałabyś spróbować dowiedzieć się tego?

— Doprawdy, nie wiem. A czy ty byś chciała?

— Ja już to zrobiłam. Wystarczy, jeśli chodzi o mnie, ale czy ty chcesz zobaczyć swoją przyszłość?

Kula w jej ręku migotała światłem i cieniem z rzeki. Zawahałam się.

— W jaki sposób? Mam tylko popatrzeć na kulę?

— Tak, to wszystko. Nie bój się, prawdopodobnie zobaczysz świat wokół nas. Weź ją. Włożyła ciągle jeszcze odsłonięty kryształ w moje splecione dłonie.

— Teraz pozbydź się, w miarę możliwości, wszelkich myśli i spojrz. Bez pragnień, bez strachu, bez wspomnień i bez podstępów.

Spojrzałam. To była moja własna, pomniejszona i zniekształcona twarz. Poruszające się światło z rzeki. Błysk błękitu, to zimorodek. Masa ciemnych smug jak stado kijanek, ale z odgłosów z góry domyśliłam się, że to były jerzyki, zbierające się na wierzchołkach drzew. Jeszcze jedno pasmo, białe, poruszające się z prądem na oślep, bezgłośnie jak burza śnieżna: to lecące turkawki albo gołębie, krążące w powietrzu i opadające w dół, jak chmura śniegu w staroświeckich przyciskach szklanych. Potem kryształ szary, jak mgła, odbijał moje oczy, czerwień mojego Żakietu szkolnego i niskie drzewa za mną.

Spojrzałam w górę. Niebo było puste.

— A więc? - spytała.

— Nic. Tylko, jak powiedziałaś, świat wokół nas, drzewa, rzeka, jerzyki i stado gołębi.

27

Obejrzałam się.

— Gdzie one się podziały? Gdzie są teraz?

— W kryształach.

Usiadłam wyprostowana i odsunęłam włosy z czoła.

— Czy to znaczy, że to nie było prawdziwe?

— Ależ tak. Patrz. Znowu się ukazały - jerzyki przelatywały nad nami wydając odgłos podobny do gwizdka bosmana.

— Są naprawdę. Ale nie gołębie - powiedziała kuzynka Geillis sięgając po kryształ, który trzymałam.

— Czy uważasz, że w rzeczywistości nie było stada gołębi lecących nad nami? Białych i szarych, całkiem nisko?

— Tak właśnie uważam.

— A więc - wciągnęłam powietrze - coś widziałam.

— Tak wygląda.

Zrobiłam jeszcze jeden głęboki oddech i w końcu westchnęłam. — Ale dlaczego? I co to wszystko znaczy?

Zawijała kryształ i chowała go starannie w torbie. Po dłuższej chwili odpowiedziała:

— Tylko to, że właśnie mi powiedziałaś, czego chciałam się dowiedzieć, że jesteś dzieckiem swojej matki i, z braku lepszego określenia, moją córką chrzestną.

I pomimo moich skwapliwych pytań, nie chciała powiedzieć nic więcej.

Wreszcie dałam za wygraną i powróciłam do tego, co powiedziałam wcześniej:

— Mówiłaś, że szukałaś obrazu swego przyszłego życia. Czy ujrzałaś go?

— Nie musiałam wypatrywać tego w kryształ.

Wracałyśmy, posuwając się brzegiem pola golfowego. W pewnym momencie kuzynka Geillis

zatrzymała się i spojrzała w górę, a ja miałam wrażenie, że patrzyła, prosto przez gałęzie drzew, na coś świetlistego, co istniało poza naszym światem.

— Jeszcze trochę podróży, tu i tam, i nauczę cię czegoś nowego. Mam taką nadzieję. Czy wiesz, że jestem zielarką? Zbierałam zioła w czasie podróży, a w odległych miejscach można zawsze poznać coś nowego. A potem jest powrót do domu.

Spojrzała na mnie.

— Mam teraz własną siedzibę. Zobaczyłam dom i wydało mi się, że został zbudowany dla mnie, więc go kupiłam. Zobaczysz go kiedyś.

28

Nie powiedziała: „musisz go zobaczyć”, ale „zobaczysz”.

— Jak on wygląda? - zapytałam.

— Solidny, dobry dom, ukryty w lesie, z ogrodem naokoło i rzeką za nim. Drzewa owocowe i kwiaty posadzone dla pszczół, miejsce na uprawianie moich ziół. Cisza w zimie, a w lecie słychać tylko odgłosy ptaków. Samotny jak grób i podobne dający wytchnienie.

W moim wieku nie pragnęłam wypoczynku, a grób był dla mnie tak odległy w myślach, że nieomal nie do wyobrażenia. Ale było coś istotnego w tym ziemskim raj. Skwapliwie spytałam:

— Czy będziesz tam miała zwierzęta?

Spojrzała na mnie z ukosa. - Ciągle jeszcze o tym myślisz? A więc, moja droga Geillis, powiem ci o jednej rzeczy, którą widziałam w kryształ.

— Co takiego?

— Pewnego dnia, ty i ja - powiedziała kuzynka Geillis - i jak się wydaje gołębie i jeże, i kijanki i twój nieszczęsny zagubiony pies, będziemy tam razem.

Dotarliśmy do furtki w wysokim murze, która otwierała drogę na teren szkolny. Z ręką na klamce, powiedziałam nie patrząc na nią:

— Nie wiedziałam, że takie sprawy naprawdę się zdarzają. Mam na myśli: „I odtąd zawsze żyli szczęśliwie”.

— Nie zdarzają się - powiedziała cicho - Nie zawsze. Szczęście zmienia się w miarę, jak ty się zmieniasz. Jest w tobie. Ale ja będę tak długo, dopóki będziesz mnie potrzebowała, ale to nie będzie wiecznie, a nawet, być może, nie bardzo długo.

Dotknęła mojego ramienia i pchnęła furtkę.

— Idź już teraz i nie zapomnij twoich rzeczy z altany. Nie wejdę z tobą. Idę do

Ladgwithby,

aby złapać pociąg. Do widzenia.

Furtka zatrzasnęła się między nami.

A jednak nie ukończyłam uniwersytetu, lecz moja matka nigdy nie dowiedziała się o tym. Umarła w końcu mojego pierwszego roku na uniwersytecie w Durham. W tym czasie mój ojciec był ze mną. Przyjechał autobusem do Durham, aby wziąć udział w spotkaniu w Sali Kapitulnej, po którym pojechaliśmy razem do domu. Pod drzwiami spotkaliśmy policjanta i paru ludzi na drodze, którzy przyglądali się temu, co się stało.

Okazało się, że matka pojechała samochodem, aby odwiedzić starszą panią, mieszkającą na skraju parafii. W drodze powrotnej miała wypadek. Inny samochód wyjechał szybko z bocznej drogi i uderzył przodem w boczne drzwi jej wozu. Była dobrą kierowcą, ale nie miała żadnej szansy. Boczna droga była tylko drogą wiejską i nie spodziewano się tutaj większego ruchu. Kierowcą drugiego samochodu był młody syn farmera, który dopiero co otrzymał prawo jazdy i jechał o wiele za szybko. Uważano, że zamiast nacisnąć hamulec, nacisnął pedał gazu, ale to było tylko przypuszczenie. Zginął na miejscu.

Mój ojciec, w czasie gdy prowadzono dochodzenie, odwiedzał okrytego żałobą farmera i jego

żonę (uważał za swój pierwszy obowiązek pocieszać ich); kiedy odbywały się pogrzeby, oba celebrowane przez niego, z krótkimi przemówieniami skierowanymi do żałobników, przez cały czas zachowywał się wzruszająco i łagodnie, jakby był nieobecny. Potem zjadł, co przed nim postawiłam, schował się w gabinecie i siedział tam w absolutnej ciszy; poszedł do kościoła, wrócił, znowu samotnie zamknął się w gabinecie, a potem poszedł spać.

Następnego dnia po pogrzebie nie wyszedł z pokoju. Znalazłam go w łóżku, i, jak sobie przypominam, po raz pierwszy nie chciał wstać. Doktor, którego wezwałam, stwierdził opóźniony szok, ale ja wiedziałam, że to coś więcej. Matka była sprężyną, która nim sterowała. Teraz sprężyna pękła.

Dla mnie oznaczało to oczywiście wyrzeczenie się myśli o dy-

30

plomie i przygotowaniu do zawodu z dala od domu. Nawet gdyby ojca było stać na opłacenie gospodyni, o takim rozwiązaniu nie można było myśleć, zanim nie wróci do sił. Z miejsca napisałam do władz uniwersytetu, zdając sobie z niejakim zawstydzeniem sprawę, że jestem wdzięczna losowi, że oto mam roztoczyć opiekę nad moim ojcem. Gnębiło mnie jedynie to, że, szczerze mówiąc, miałam wątpliwości, czy gdyby moja matka została okryta żałobą to

czy potrzebowałaby mnie i chciałyby, abym została z nią w domu?

Lecz teraz musiałam zostać tutaj. Uświadomiłam sobie, że zielone lata minęły jak błyskawica.

W momentach przygnębienia zdawało mi się, że bezpowrotnie. Wzgórza i jeziora kumberlandzkie

ciągle jeszcze owiane spokojem poezji Wordswortha, piękno Durham, z jego wyspami wież i drzew, i drogocenna izolacja od świata, w której można było się zatopić i studiować, to

wszystko zostało teraz wspomnieniem. Znalazłam się znowu na pustyni, osaczona brzydkimi domami z cegły, piętrzącymi się hałdami, za którymi, niemal do granic hrabstwa i aż do wybrzeża, rozciągały się, pozbawione roślinności, smutne krajobrazy górnicze.

Jeśli to mnie drażniło, to niezbyt długo. Byłam młoda i bardzo kochałam ojca, a prawdę mówiąc ulga, jakiej doznałam po śmierci matki, była tak przemożna, że przyniosła nowy rodzaj poczucia szczęścia. Zaskoczona byłam, jak wiele zadowolenia daje mi prowadzenie domu i zajmowanie się sprawami plebanii, co przedtem należało do niej. Jedynym prawdziwym żmartwieniem była troska o zdrowie ojca i czasami - nieczęsto, gdyż młodość nie jest w stanie wyobrazić sobie kresu życia - obawy o moją własną przyszłość po jego śmierci. Musiał też o tym myśleć, choć nigdy o tym nie mówił. Z pewnością jednak w głębi



serca ukrywał lęk. Lęk duchownego, który nie będzie miał domu, gdy przestanie pracować. Myślę, że ciągle był wierny przekonaniu swego pokolenia, że z czasem wyjdę za mąż i w ten sposób zyskam dom i to co nazywano „miejszem w życiu”. Jak to mężczyzna, ani przez moment nie zastanowił się, że nie może się tak stać, ponieważ żyjemy samotnie, odizolowani

od ludzi. Nawiązałam oczywiście przyjaźnie, gdy byłam w starszych klasach, ale rzadko się zdarza, aby takie przyjaźnie dotrwały do wieku dojrzałego; a poza tym, choć raz czy dwa razy

spędziłam część wakacji w domu przyjaciółki, rewanżowe wizyty w naszej ponurej,  
31

odizolowanej od świata plebanii nigdy się dobrze nie udawały. Również przyjaźnie zawarte podczas krótkiego pobytu w Durham, bez odwiedzin w domach rodzinnych i nie przeniesione w życie rodzinne, nie mogły przetrwać. To samo dotyczyło spotkanych młodych ludzi. Odchodzili, gdyż byłam zbyt poważna i nieśmiała. „Zatopiona w książkach” było najbardziej uprzejmym komentarzem, tak że po pierwszym roku na uniwersytecie wróciłam do domu z nienaruszonym sercem i nie bardzo zdawałam sobie sprawę, co straciłam.

I tak życie toczyło się przez następnych parę lat. Przyszła wojna, a z nią wyrzeczenia, niepokoje i zmęczenie, które wypędziły z naszego Życia obawy o przyszłość. Od dawna straciliśmy kontakt z kuzynką Geillis, a raczej to ona straciła kontakt z nami. Nie widziałam jej od tego dziwnego zdarzenia nad rzeką Eden i choć pisałam do niej od czasu do czasu, nigdy nie dostałam odpowiedzi. Nawet gdy zmarła moja matka, nie było od niej żadnego znaku, a kiedy napisałam do jej adwokatów w Salisbury, nie dostałam odpowiedzi. Mogła mieszkać za granicą, gdy wybuchła wojna, mogła nawet umrzeć w czasie jednej z podróży. Nie było możliwości żeby dowiedzieć się czegokolwiek i stopniowo stała się osobą, której zacierające wspomnienie wiązało się z dziecięcymi latami.

W jakieś trzy lata po zakończeniu wojny zmarł mój ojciec. Zmarł spokojnie, tak jak żył, myśląc więcej o innych niż o sobie.

Po pogrzebie, gdy wszyscy się rozeszli, ponownie poszłam do kościoła, aby zamknąć zakrystię po odejściu celebrującego pogrzeb pastora, potem, przez cmentarz, wróciłam sama na plebanię. Było to w sierpniu i ścieżka między grobami pokryta była spadającymi nasionami traw i zeschniętymi płatkami kwiatów. W nieruchomym powietrzu zwieszały się ciężkie, nieruchome gałęzie drzew.

Parę kobiet ze wsi, które pomagały w przygotowaniach pogrzebowych, było jeszcze w naszej kuchni, parząc sobie herbatę po umyciu naczyń. Dołączyłam do nich, a kiedy skończyły porządki, poszły do siebie.

Pusty dom nie należał już do mnie. Usiadłam w fotelu na biegunach przed paleniskiem kominka, gdzie powoli zamierał ogień i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że jestem sama, że mój skrywany lęk zmaterializował się, że nie mam nic, nawet

32

miejsca, do którego mogłabym się udać, po ponownym obsadzeniu kościoła, gdy plebania będzie przekazana następnemu pastorowi. Zanim to nastąpi będę musiała sprzedać meble i wiele innych rzeczy, wyprowadzić się i rozejrzeć za jakąś pracą.

Gdzie? Jaką pracą? Moje kwalifikacje, jakby powiedziała szorstko moja matka, sprowadzały się do zera. Rok na uniwersytecie, gdzie studiowałam botanikę, chemię, geologię - za mało z każdego przedmiotu, aby upoważnić nawet do najbardziej elementarnej nauki, a w latach czterdziestych trudno było dostać pracę bez względu na rodzaj. Znużona, wyprostowałam się zatrzymując bieguny fotela. Być może rano będę zdolna do jaśniejszego myślenia i zebrania niewielkich resztek odwagi. Na razie, zanim ogień wygaśnie całkowicie, muszę przygotować sobie jakąś kolację. Popiół spadł na ruszt. Nawet tak nikły odgłos odbił się echem w pustym domu.

Wtedy odezwał się dzwonek. Przy drzwiach kuchennych stała jedna z kobiet. W ręku miała długą kopertę.

— Panno Gilly, zupełnie zapomniałam. Przepraszam bardzo. Przyszedł rano, a w tym natłoku spraw całkiem zapomniałam oddać go. To list.

Wzięłam go i podziękowałam jej. Zawahała się, skierowując na mnie wzrok.

— Czy pani jest pewna, że nie mogę w niczym pomóc? To nie wydaje się w porządku, że zostaje pani dzisiaj sama. Dlaczego nie miałyby pani przejść przez drogę i zjeść z nami odrobinę kolacji?

— To bardzo uprzejmie z pani strony, pani Green, ale wszystko jest w porządku, naprawdę. Dziękuję za przyniesienie listu. Nie powinna pani się trudzić. Jutro by wystarczyło.

— Nie ma o czym mówić. No, jeśli pani jest pewna... Jutro rano zjawię się tutaj, aby pomóc w domu. Dobranoc, panno Gilly.

— Dobranoc.

Wróciłam do stygnącego kominka, obracając w ręku kopertę...

Gruby, dobry papier, adres pisany na maszynie. Znak firmowy coś mi przypominający.

Otworzyłam kopertę. Zawierała złożony dokument o wyglądzie oficjalnym; była też inna mała koperta, zawierająca list ze znakiem. Przeczytałam go.

Usiadłam powoli. Przeczytałam powtórnie. Był to list od fir-

33

my „Martin i Martin”, adwokatów z Salisbury. Pisali, że przekazują list mojej kuzynki Geillis Saxon, która - o czym z żalem mnie zawiadamiają - zmarła niespodziewanie przed miesiącem, 16 lipca, na zapalenie płuc po grypie. Wraz z listem panny Saxon przekazują kopię jej testamentu, z którego dowiem się, że uznała mnie jedyną spadkobierczynią, zostawiając mi dom w Wiltshire wraz z „całą zawartością”. List złożyła panna Saxon osobiście, kiedy podpisywała testament i poleciła mi przekazać go wraz z kopią testamentu tak, by dotarł do mnie 12 sierpnia 1948 roku. Prawdopodobnie sądziła, że kopia testamentu będzie „jedyną informacją”, lecz przez smutny zbieg okoliczności (jak napisali) umarła krótko

przed wyznaczoną datą. Z żalem przekazują te smutne wiadomości i mają nadzieję, że będą mogli mi być pomocni w przyszłości. Jeśli zechcę ich zawiadomić, kiedy udam się do Wiltshire...

Zdrętwiały mi palce. Otworzyłam drugą kopertę. Dotąd nie widziałam charakteru pisma mojej

kuzynki Geillis, ale w pewien charakterystyczny sposób, mówił on o niej.

*Moja Droga Geillis!*

*Nie dałam ci mego adresu, gdyż obecnie żyję przede wszystkim dla siebie. Jeśli jednak pragniesz teraz przyjechać do Wiltshire, to dom nazywa się Thornyhold i jest położony na skraju lasu w Westermain. Pociąg zatrzymuje się na stacji St. Thorn, a kierowca taksówki zna*

*drogę.*

*Nic nie dzieje się przypadkiem. Dom należy do ciebie, jeśli go kiedykolwiek będziesz potrzebowała, a kiedy przeczytasz ten list, to już od zaraz. Nie odkładaj przyjazdu zbyt długo. Znajdziesz tutaj wszystko, czego najbardziej pragnęłaś. Bierz to, moje dziecko i dysponuj wszystkim. Opiekuj się Hodżą, moim kotem. Będzie mu mnie brakowało.*

*Twoja kuzynka Geillis*

Resztki popiołu spadły wraz z delikatną chmurką srebrzystego dymu. Patrzyłam na datę listu

kuzynki Geillis. Został napisany przed sześcioma miesiącami, 9 grudnia 1947 roku.

Z trudem przypominam sobie teraz jak wyobrażałam sobie dom kuzynki Geillis. Rzeczywistość zawsze odbiega znacznie od wyobrażeń i skutecznie wymazuje fałszywy obraz. Wydaje mi się, że wyobrażałam sobie coś zbliżonego do widoczku z pocztówki, coś romantycznego, rustykalnego i malowniczego zarazem; stary dom kryty strzechą, przytulnie schowany w kwitnącym gąszczu, z żywopłotem z gęstych dzikich róż okalającym ogród i bzami piętrzącymi się za kominami. Faktycznie coś wyczarowanego ze wspomnień dzieciństwa na wsi.

Sama nazwa powinna sugerować, że Thornyhold - Tarninowa Twierdza - w najmniejszym stopniu nie może czegoś takiego przypominać. Jak potem odkryłam, był to kiedyś dom zarządcy w dużym majątku, przed podziałem na farmy. W odległości kilku mil, gdzie Komisja Leśnictwa zakupiła tereny i zasadziła las wybudowano wioskę, w której domy były z drewna. Przez stary drzewostan biegły dwa trakty, spotykające się w punkcie centralnym, gdzie kiedyś stał wielki dwór. Teraz było tu widać jedynie olbrzymie bloki piaskowca i okolone balustradą schodki prowadzące do pustej futryny drzwiowej, i do dzisiaj zachowaną jedną ścianę z ramami okiennymi, o które z szelestem obijały się gałązki drzew. Balustrada, rzeźby nad oknami, a w tyle rozpadająca się brama i porośnięty chwastami bruk podwórza stajennego przypominały, że kiedyś była tutaj okazała siedziba w stylu króla Jerzego. Ale wszystko to, włącznie z ostatnim potomkiem rodziny, od dawna przestało istnieć. Poza wioską drwali, którą nazywano Westermain, pozostała jedynie stróżówka, maleńka budowla rozdzielona na dwa budynki przez główną bramę oraz ukryty głęboko w lesie dawny dom zarządcy majątku, gdzie mieszkała kuzynka Geillis.

Po raz pierwszy zobaczyłam go w wilgotny dzień wrześniowy, prawie miesiąc po śmierci mego ojca. Wszystko zostało już za-

35

łatwione, jego krótki testament odczytany, większość mebli z plebanii albo została sprzedana, albo zostawiona w domu; niektóre meble stały w domu już podczas pobytu ostatnich dwóch czy trzech beneficjentów, a ja zostawiłam jeszcze kilka, gdyż wiedziałam, że

Thornyhold jest umeblowany sprzętami kuzynki Geillis. Zachowałam dla siebie kilka sztuk, które bardzo cenił mój ojciec, składając je w przechowalni do czasu, kiedy zobaczę, ile miejsca jest w moim nowym domu.

Pojechałam tam pociągiem. Reperacje naszego starego samochodu już od dawna zaczęły kosztować zbyt wiele, a poza tym nie mogłam już korzystać z przydziałów benzyny należących się ojcu. Tak więc samochód został sprzedany z pozostałymi rzeczami.

Wiedziałam, że kuzynka Geillis posiadała samochód, który teraz będzie należał do mnie wraz z Thornyhold. Ale to mogło poczekać. Wszystko czego pragnęłam, to jak najprędzej wyjechać. Sprzedaż mego dobytku poszła szybciej niż oczekiwałam, tak że obładowana jedynie kilkoma walizkami i kółkiem z kluczami, które wysłała na moją prośbę firma adwokatów z Salisbury, wyruszyłam w drogę do St. Thorn, a potem skierowałam kroki do taksówki, która powinna znać drogę.

Znała. Usłyszawszy adres, kierowca stanął jak wryty z jedną z moich walizek w połowie drogi do samochodu.

— Do Thornyhold? Domu Panny Saxon, która zmarła przed paroma tygodniami?

— Tak.

Zamknął bagażnik z walizkami i otworzył dla mnie tylne drzwi.

— Czy to pani krewna? Tak mi przykro.

— Kuzynka. Faktycznie kuzynka mojej matki. A więc znał ją pan? Czy mogę usiąść na przednim siedzeniu, koło pana?

— Oczywiście. Swoją drogą, będzie pani wygodniej tutaj. -Przyglądał się, jak wsiadałam,

zamknął za mną drzwi i zajął miejsce za kierownicą.

— Nie, nie powiedziałbym, że znałem ją dobrze. Ale po powrocie z podróży zawsze brała moją taksówkę. Była wielką podróżniczką, prawie do ostatnich swych dni. Miała zwyczaj opowiadać mi o tym. O wszystkich krajach, które zwiedzała.

Spojrzał na mnie bokiem, starając się nie okazywać zaciekawienia.

36

— To przyjemne, tak móc podróżować. A przecież nie wyglądała wcale na zamożną.

— Doprawdy, nie wiem.

Jednak wiedziałam. Kuzynka Geillis w Żadnym razie nie zostawiła fortuny, ale tyle, że wraz z paroma setkami funtów odziedziczonych po ojcu wystarczy na moje potrzeby przez jakiś czas. Bardzo skromnie, ale wystarczy. Patrzyłam przez okno taksówki; w miarę jak ubywało domów, droga stawała się coraz bardziej kręta, wijąc się między wysokim żywopłotem z ostrokrzewu i pnących bluszczy, lśniących po ostatnim deszczu. Czerwone jagody kaprifolium przeplatały się z białymi piórkami nasion powojników. Zawahałam się. Miałam żyć w tej części świata i równie dobrze ludzie mogą dowiedzieć się prawdy już teraz.

— Ostatni raz widziałam pannę Saxon, gdy byłam dzieckiem, ale jestem jej jedyną krewną i mnie zostawiła dom. Zamieszkałam tutaj.

— No tak - powiedział kierowca, a ja usłyszałam w jego głosie rezerwę - to ładne okolice. Może trochę zbyt odizolowane od strony Westermain. Przypuszczam, że posiada pani samochód?

— Obecnie nie. Czy panna Saxon nie miała samochodu?

— Nie mam pojęcia, zresztą dlaczego niby mam wiedzieć? Widywałam starszą panią jedynie wtedy, kiedy przyjeżdżała pociągiem. Ludzie z tej strony lasu robią zakupy w Arnside. Ale jeśli będzie pani rozglądała się za jakimś pojazdem, będę mógł

prawdopodobnie wskazać dobry używany samochód. Garaż Hannakera znajduje się z drugiej strony kina, obok „Białego Jelenia”.

— Dzięki. Będzie to trochę zależało od tego, czy dostanę kupony na benzynę.

— Nie powinno być większych trudności, mieszka pani przecież na końcu świata. Nie widzę problemu. Ja to załatwię.

— Dziękuję - powiedziałam jeszcze raz. - A propos, nazywam się Ramsey. A pan nazywa się Hannaker?

— Tak, ale proszę do mnie mówić Ted.

Usiadłam wygodniej. - Mówił pan o lesie. To znaczy o Westermain?

— Tak, właśnie wjeżdżamy.

Oczywiście, wiedziałam, że „las” niekoniecznie oznacza duży

37

teren leśny; może też być nieogrodzonym kawałkiem ziemi, dziką nieuprawianą przestrzenią,

która kiedyś była zalesiona. żywopłoty i fermy położone wśród uprawnych pól pozostały teraz za nami. Droga wąskim białym pasem biegła przez wrzosowisko, gdzie rdzawe paprocie walczyły o miejsce dla siebie z przebijającymi się z trudem wrzosami, przez szerokie łąty zielonych ostrych traw, gdzie pasło się bydło. Kępy świerków, nad którymi unosiły się jak dym wirujące wkoło gawrony, stały na tle nieba. Kierowca wskazał na horyzoncie jakiś punkt. W odległości mili zobaczyłam stado biegnących saren. Dalej zmykały króliki, chroniąc się w gąszczu janowców. Brzozy z okrągłymi liśćmi, złocistymi jak cekiny, tworzyły zagajniki. W zasięgu wzroku nie było widać domu. Potem droga delikatnie się obniżała, wchodząc na przecinający spokojną rzekę garbaty most.

— To Arn - powiedział Hannaker.

— A za tymi drzewami, czy to Arnside? Zdawało mi się, że widziałam tam jakiś budynek.

— Nie, do Arnside jest jeszcze parę mil, zaraz za Westernmain. Widziała pani stare opactwo St. Thorn. Teraz nic z niego nie zostało poza kilkoma filarami, zrujnowanymi murami, a może i paroma zwalonymi łukami.

Uśmiechnął się zadowolony, Że tak trafnie to określił.

— Nic godnego uwagi, ale kiedyś miasto było piękne. Dojechaliśmy wreszcie do cisów Westernmain.

Droga od mostu wiała się w górę, przebiegając między szeregami drzew. Były olbrzymie i musiały być bardzo stare, ich pnie okalały wysokie jesienne paprocie. Były to głównie dęby, buki i wiązy, a wśród nich porozrzucane mniejsze drzewa i krzaki. Zwalone drzewa nie były uprzątnięte i pozostawały w gęstej płataninie pnączy i paproci. Już kilkanaście metrów od drogi zdawało się, Że las jest tak gęsty jak dżungla. Tak było na przestrzeni może mili. Potem jechaliśmy wzdłuż wysokiego, zbudowanego w bardziej pomyślnych czasach, rozpadającego się muru z dużymi ubytkami, w który wdarły się wielkie drzewa; agresywne pnącza pochłoneły łączącą kamienie zaprawę murarską i zwały je na ziemię.

— Thornyhold - powiedział kierowca.

Zwolnił i taksówka wjechała między potężne, zrujnowane filary głównej bramy.

38

Z każdej jej strony przysiadły dwa maleńkie budynki. Zamiłowanie osiemnastego wieku do symetrii rozbiło stróżówkę na dwa domy. Segmenty były bliźniacze jak obraz w lustrze. W oknach wisiały koronkowe firanki; to co było odpowiednie dla przedmieść, kłóciło się z wiejskim charakterem zakątka.

W oknie po naszej lewej stronie zauważyłam w czasie przejazdu, jak ktoś poruszył lekko firanką, która natychmiast wróciła na swoje miejsce. W bliźniaczym oknie na prawo firanka pozostawała nieruchoma, ale można było dojrzeć za nią ruch, jak gdyby ktoś kołysał się tam i

z powrotem.

Taksówka minęła bramę i jadąc wzdłuż długiej wijącej się alei nabrała szybkości.

— To dziwny budynek, zawsze tak mi się zdawało - powiedział pan Hannaker - wygląda, że po każdej stronie jest tylko jeden pokój. To zabawny pomysł dawnego właściciela. Czy myśli pani, że w dzień przebywają po jednej stronie, a śpią po drugiej?

— Bóg raczy wiedzieć. Czy wie pan, kto tam mieszka?

— Kobieta o nazwisku Trapp. Jest wdową. Tylko tyle powiedziała mi starsza pani. W tych stronach ludzie nie szukają towarzystwa.

— Ależ to długa aleja. Czy jeszcze daleko?

— Pewnie jeszcze ze ćwierć mili. Wkrótce będziemy na drodze prowadzącej wprost do domu, ale nie widać jej, dopóki się na nią nie wjedzie. O już. Jesteśmy na miejscu.

Mówiąc to obrócił kierownicą i skręciliśmy w lewo, w mały wjazd.

— Jest brama. Czy oczekują pani?

— Nic o tym nie wiem.

Samochód zatrzymał się. Kierowca podszedł od mojej strony, by otworzyć drzwi i spojrzął bystro na boki.

— Pytałem, bo widzę dym z komina.

— Doprawdy? - Wyprostowałam się i spojrzałam. Wjazd kończył się tutaj, tworząc mały placyk do zawracania

samochodu. Nieużywana od dawna nawierzchnia wjazdu była nierówna i porośnięta zielskiem; ślady zostawione przez taksówkę były jedynymi znakami, że kiedykolwiek wjeżdżał tu samochód. Po obu stronach piętrzyły się drzewa, które spotykały się w miejscu, gdzie drogę zagradzał olbrzymi kolczasty żywopłot. Była w nim głęboko osadzona furtka, kiedyś pomalowana na bia-

39

ło. Spotykały się nad nią gałęzie ciemnych krzewów, tak przycinane i prowadzone, że tworzyły potężny zielony łuk. Zza Żywopłotu nie było widać domu, z wyjątkiem dachu z czarnych łupków przetykanych łatami złocisto-zielonych mchów i różowych grubych łodyg rojnika, stłoczonych poniżej wysokich kominów. Z komina, po lewej stronie w kierunku koron buków, które piętrzyły się z tyłu, wspiął się nie tyle dym, co delikatny welon ciepła. — Adwokaci zatrudnili chyba kogoś, by przygotować dla mnie dom — powiedziałam. — W takim razie wszystko w porządku - powiedział pan Hannaker. Jednakże wejść z panią. Wyobrażam sobie, że ciężki bagaż nadejdzie później. — Rzeczywiście. To bardzo uprzejmie z pana strony. Dziękuję.

Pchnął furtkę i puszczając mnie przodem chwycił moje walizki, udając się za mną na ścieżkę prowadzącą do domu.

Ścieżka była prosta, wykładana ceglami i nie dłuższa niż 10 metrów. Była to północna strona domu i pas ogrodu między żywopłotem a ścianą domu miał niewielkie nasłonecznienie. Ale pomimo to ogród z lekka mnie zaskoczył. Choć wiedziałam od adwokatów, że kuzynka Geillis była słaba przez parę tygodni przed swoją śmiercią, ciągle zdawało mi się, że znajduję to

miejsce tak, jak mi to opisywała, ale o tej porze roku parotygodniowe zaniedbanie może zmienić bogato kwitnący ogród w zbiorowisko zielska i torebek nasiennych, najbardziej schludną ceglastą drogę w wyslizganą wstęgę z mchu i porostów. Ku mojemu przerażeniu dom, który powinien dłużej oprzeć się brakowi troski o niego, miał taki sam opłakany wygląd. Musiała tędy przejść niedawno burza, gdyż do okien przylepiły się opadłe z drzew liście, rynna przekrzywiła się pod ciężarem opuszczonych gałęzi, a z ich płataniny i z innych miejsc spadały krople pozostałe z ostatniej ulewy. Wszędzie pełno było pierwszych jesiennych liści. Firanki w oknach zwisały krzywo, jak gdyby zaciągnęła je jakaś niedbała ręka; na parapecie okna, które wyglądało na kuchenne - na lewo pod dymiącym kominem - zauważyłam doniczki z suchymi lub więdnącymi roślinami.

Drobiazgi. Wszystko to wkrótce wróci do normalnego stanu pod wpływem troski właścicielki. Atmosfera przygnębienia i za-

40  
niedbania, wisząca nad tym miejscem, nie mogła przyćmić faktu, że dom był piękny. Był zbudowany z kamienia i choć nie był duży, miał dobre proporcje, ładne drzwi i wysokie, z pionowo przesuwanymi szybami, okna. Niewątpliwie strona południowa była jeszcze lepsza i na pewno bardziej pogodna, z oknami „najlepszych” pokoi wyglądającymi na główny ogród, w którym drzewa umieszczono na jego skraju, aby słońce miało swobodny dostęp do wnętrza. Na drzwiach była kołatka, głowa lwa, przytrzymującego w pysku kółko. Z pewnością zrobiona była z błyszczącego mosiądzu, ale teraz była matowa, w kolorze zgniłej zieleni. Trzymałam w ręce klucz, ale dymiący komin kazał mi się zastanowić. Położyłam rękę na kołatce. Zanim ją nacisnęłam, drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta. Zdawało mi się, że jest starsza ode mnie o jakieś dziesięć lat. (Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat). Była nie bardzo wysoka, cerę miała świeżą, oczy niebieskie, brązowe włosy, gładkie różowe policzki i zbyt grubo umalowane małe usta. Pomimo topornej postaci i zbyt grubych kostek, była ładna, z dołeczkami w kącikach ust skorych do śmiechu.

Teraz nie uśmiechała się. Jej spojrzenie ominęło mnie i powędrowało do kierowcy i walizek, ustawionych na schodach, a potem do otwartej furtki, za którą czekała taksówka.

— Dzień dobry - rozpoczęłam.

— Dzień dobry, proszę pani - głos z wiejskim akcentem był miękki i pozbawiony tchu.

— Panna Ramsey, nieprawdaż?

— Tak, a pani...?

— Jestem Agnes Trapp ze stróżówki. Sprzątałam. Nie oczekiwałam dzisiaj nikogo. -

Wyglądała na wzburzoną i przez cały czas, kiedy to mówiła, spojrzenie jej przesuwano się ze mnie na kierowcę, na taksówkę za bramą, na dwie ciężkie walizki i znowu na mnie.

— Powiedzieli, adwokaci powiedzieli, że ona przybędzie wkrótce, ale nie podali dnia i nie nadmienili, że będą dwie panie. Starsza pani jest zapewne w samochodzie. Uszykowałam tylko jeden pokój, ale jeśli pani też zostaje, z łatwością mogę uporządkować drugi dla pani. Gdyby mi powiedzieli... ale proszę ją przyprowadzić i nie trzymać w samochodzie.

— Proszę się nie kłopotać - przerwałam szybko - wszystko

41

w porządku. To tylko ja i nikt więcej. Jestem kuzynką panny Saxon i nazywam się Geillis Ramsey.

— Myślałam, nikt mi nie powiedział, po prostu myślałam — zamilkła i przełknęła ślinę. Ręce szarpały fartuch, który miała na sobie, a twarz jej mocno się zaczerwieniła. Rumieniec rozpoczynał się przy dekolcie bluzki, po czym różowość, jak pierwsza fala przyplitwu morza, podeszła aż do linii włosów.

— Przykro mi, że panią zaskoczyłam - powiedziałam niezręcznie. — Adwokaci nic mi nie powiedzieli, że skierują kogoś do przygotowania dla mnie domu, a ja nie miałam pewności, którego dnia będę mogła wyjechać, bo gdybym wiedziała, dałabym znać i wszystko byłoby jasne. Wysłali mi klucze, więc przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam.

Zakłopotana mówiłam za dużo i za szybko. Jak gdybym -czując, jakie to niezręczne - złapała tę kobietę na nieuczciwym czynie i w konsekwencji sama poczułam się winna, jak to często się zdarza. Mnie zawsze. Uczucie to było mi znane, jak również próba polubownego załatwienia sprawy.

— Proszę więc się nie martwić, pani Trapp. Jestem pewna, że wszystko się doskonale ułoży,

a na razie jestem pani bardzo wdzięczna za przyjście.

— No tak - teraz uśmiechnęła się uroczym uśmiechem z ulgą i radością. Rumieniec zniknął z policzków, tak szybko, jak się ukazał. - Jak to głupio z mojej strony. Ale kiedy powiedzieli o kuzynce, to spodziewałam się starej..., starszej pani. Bardzo się cieszę i to bardzo dobrze, że

mogła pani przyjechać tak szybko. Brakowało nam sąsiedztwa w Thornyhołd, bo jest tutaj raczej samotnie. Nie mogliśmy się doczekać pani przyjazdu. Czy mogę zanieść walizki do środka?

Podniosła je i czekała, aż zapłacę panu Hannakerowi. Ten podziękował mi, przyrzekł jeszcze raz pomoc w załatwieniu starego samochodu, kiwnął głową pani Trapp i odjechał.

Weszłam do domu za panią Trapp. Dom z całą pewnością zbudowano w tym samym czasie, co rezydencję dziedzica. Osiemnastowieczne, pełne wdzięku proporcje były tutaj pomniejszone zgodnie ze skromniejszymi wymogami zarządcy majątku. Hali był kwadratowy, z drzwiami na prawo i na lewo, a za drzwiami, po prawej stronie, znajdowała się klatka schodowa z szerokimi płytkami stopniami prowadzącymi na obszerny podest. W głębi hallu był mały łuk pod którym przechodziło się do mniejszego hallu z wysokim oknem, za którym widać było drzewa i niebo, a na prawo od niego umieszczono inne drzwi, prowadzące przypuszczalnie do salonu. Podłoga była wyłożona terakotą, pod nogami czuło się piasek, a dywany z całą pewnością wymagały porządnego trzepania.

Tyle zdołałam zobaczyć, zanim pani Trapp postawiła moje walizki na posadzce i przepuściła mnie przed sobą w kierunku pokrytych wyblakłym sukniem drzwi, które znajdowały się w głębi pod schodami.

— Tędy. Proszę zaczekać, aż zapalę światło. Przejście jest odrobinę ciemne, jeśli nie zna się

drogi. Proszę uważać na ten dywan, jest trochę postrzępiony. W kuchni będzie bardziej przytulnie. Gdybym wiedziała, że pani przyjeżdża dzisiaj, mogłabym przygotować bawialnię,

ale musiałam przestrzegać kolejności, pokój sypialny jest uprzątnięty i muszę przyznać, że bardzo tego potrzebował, bo przecież pani ciocia trochę leżała w łóżku, zanim poszła do szpitala. — To bardzo uprzejmie z pani strony - zaczęłam znowu, ale przerwała mi natychmiast.

— Jak byśmy mogli pozwolić, aby pani przyjechała z daleka do obcego domu i nie miała nawet zapalonego kominka i niewywietrzone łóżko. Natychmiast, gdy dowiedzieliśmy się, że będzie tu mieszkała panna Ramsey, powiedziałam: Jessamy - on jest moim synem - lepiej chodźmy tam i posprzątajmy trochę

43

dla tej biedaczki, bo niełatwo będzie jej spać w takim bałaganie. Dom jest dość czysty panno Ramsey, ale ostatnimi czasy został zaniedbany i to widać. Już jesteśmy, czajnik się właśnie gotuje.

Czajnik rzeczywiście wyglądał jakby woda gotowała się już od dłuższego czasu, ale bez względu na to jaka będzie herbata, byłam za nią wdzięczna. Jest powiedzenie, że podróżowanie z nadzieją daje więcej szczęścia niż sam cel. Kiedy jechałam tutaj pociągiem, dałam się unieść marzeniom czy raczej myślom o spełnieniu mych snów. Własny dom, ogród,

drzewa przylegające do ścian domu, obraz, który kuzynka Geillis nakreśliła przed laty, pełen słońca i kwiatów. Nie miałam wątpliwości, że rzeczywistość w ten wrześnieowy bezsłoneczny dzień jest zupełnie inna. Byłam jedynie wdzięczna, że adwokaci pomyśleli o wysłaniu pani Trapp, aby trochę przygotowała dom na mój przyjazd.

Krzątała się wokół czajnika i dzbanka do parzenia herbaty. Było tu coś niecoś do zjedzenia. Zdjęła z kominka staroświecką puszkę i łyżeczką nasypała herbatę. Na wpół opróżniona butelka mleka stała na stole.

— Wkrótce naciągnie - mówiła. - Czy zechce pani zjeść herbatniki albo kawałek grzanki? Nie? Ale nie będzie miała mi pani za złe, że sama zjem jeden? Przyniosłam z sobą paczkę. Poza mlekiem była tam też ćwiartka masła, ciągle jeszcze w opakowaniu, ale już napoczęta, pełna cukierniczka, bochenek chleba, także do połowy zjedzony i paczka herbatników obok. Wzięła herbatnik i chrupiąc go zaczęła nalewać herbatę.

— Och, proszę pani, przepraszam, ale ja po prostu zapomniałam, co powinnam była od razu powiedzieć, jak mi jest przykro z powodu pani biednej cioci...

— Mojej kuzynki.

— Co takiego?

— Nie, była moją ciotką. Panna Saxon była kuzynką mojej matki. Zawsze nazywałam ją kuzynką Geillis.

— A więc to tak. To była bardzo miła pani i zawsze bardzo dobra dla mnie. Pomagałam jej, jak tylko mogłam. Mówi się, Że na wsi dobry sąsiad jest na wagę złota. - Uśmiechnęła się tak,

jakbym od razu miała zrozumieć, co miała na myśli. Miała bardzo ładne zęby. Dalej coś mówiła, chrupiąc herbatniki. Do herbaty wsypała trzy łyżeczki cukru. Wypiłam swoją herbatę

i rozejrzałam się wokół.

44

Była to duża kuchnia, staroświecka, ale dobrze zaplanowana, i w porównaniu z kuchnią plebanii prawdziwa rozkosz. Zamiast lepszego olbrzymiego pieca typu Eagle, była tu schowana pod okapem starego kominka kuchenka Aga, jak gdyby została zbudowana wraz z domem. Domyśliłam się, że to nie była oryginalna kuchnia; nie rozpieszczanoby osiemnastowiecznej służby takim widnym, przyjemnym pomieszczeniem. Jedno okno - to z zeszlą zielenią w doniczkach - wychodziło na północ. Drugie na zadrzewiony teren przy domu. Niewiele mogłam zobaczyć przez płataninę czarnych bzów i jarzębin, sięgających do



czegoś przypominającego dach szopy i do wysokiego komina. Może stara pralnia? Możliwe, że pierwotna kuchnia, zasłonięta krzakami, leżała w tej stronie domu, a teraz spełnia rolę drwalni i składziku.

Naprzeciw kominka stał wysoki kredens z półkami, wypełniony rzędami ładnych talerzy w kolorze białym i przydymionego błękitu, z odpowiednimi filiżankami zawieszonymi na brzegach półek. Nowa moda na kuchnie, gdzie wszystko jest wbudowane i na kuchnie „laboratoria” jeszcze nie dotarła do tego odludzia, jak się zdawało. Duży stół na środku dostarczał niezbędnej do pracy przestrzeni, a pod oknem stał drugi stół zavalony obecnie różnymi pudłami, słojami i stosem książek, które prawdopodobnie zostały wyjęte z wiszącej półki przy oknie.

— Właśnie porządkowałam tutaj półki. Nie do wiary, jak na nich zbiera się kurz.

Pani Trapp postawiła filiżankę i zerwała się na nogi.

— A teraz pewnie będzie pani chciała obejrzeć swój pokój.

Z miną gospodyni prowadziła mnie przez całą długość korytarza do drzwi obitych sukniem. Podniosła moje dwie walizki, jak gdyby nic nie ważyły, zagadała mój sprzeciw, zaczekała aż wezmę torbę i płaszcz, i poprowadziła mnie na górę. Biegła -zadziwiająco lekko na tych swoich grubych nogach - wzdłuż obszernego podestu, który wypełniał całą szerokość hallu. Z

każdej strony podestu, powyżej trzech niskich stopni, były drzwi. Otworzyła te na prawo. Znajdowała się za nimi mała kwadratowa przestrzeń z oknem naprzeciwko i drzwiami na prawo i lewo. Otworzyła drzwi na prawo i wprowadziła mnie do pokoju.

Po tym, co widziałam na dole, sypialnia mnie zaskoczyła. Był to duży pokój z dwoma wysokimi oknami wychodzącymi na po-

45

łudniową stronę. Pod każdym głęboko osadzonym oknem wbudowane były ławy do siedzenia. Skromny kominek był wyłożony kafelkami z pięknym wzorem kwiatowym. Wybrzuszona komódka spełniała rolę toaletki, a głęboka szafa przy kominku była otwarta, ukazując obszerne wnętrze na ubrania. Podwójne łóżko było wysokie. Dywan w delikatnym zielonym kolorze sprawiał wrażenie, że pokój i las na zewnątrz tworzą całość. Pod jednym z okien stał fotel.

Piękny pokój. Co prawda dywan koło okna był spłowiały, zasłony trochę się skurczyły, a materiał, w miejscach gdzie dochodziło ostre słońce, trochę się postrzępił. W jednym kącie, tuż pod gzymssem, widać było plamę wilgoci, a wyblakła tapeta zaczynała odklejać się w tym

miejscu. Pokój jednak był czysty. Pachniał świeżością, a górna część jednego z okien była uchylona.

— Łazienka jest obok - powiedziała pani Trapp.

Podeszła do najbliższego okna i odchyliła zasłonę. Przypomniałam sobie koronkowe firanki w stróżówce i zastanowiłam się, kto mógł tam być w czasie jej nieobecności. Ale ona spoglądała na mnie, więc otrzymała to, czego oczekiwała.

— Jest piękny - powiedziałam serdecznie. - Jestem pewna, że bardzo będę tutaj szczęśliwa. Dziękuję bardzo, pani Trapp, że tak pięknie pani go przygotowała.

— Powiedziałam pani, że nie mogliśmy pozwolić, aby pani przyjechała tutaj i zastała wszystko zaniedbane. Niewiele zrobiłam na dole, ale nie było czasu. Tutaj łóżko jest dobrze wywietrzone, a łazienka sprzątnięta. Czy chce ją pani zobaczyć?

— Dziękuję, później.

Zastanawiałam się - i głowiłam jak o to spytać - jakiej opłaty oczekiwała za wykonaną pracę.

Całkiem możliwe, że adwokaci, prosząc ją o posprzątanie dla mnie, mogli i o tym pomyśleć. Zadałam niewinne pytanie.

— To jednak bardzo daleko od stróżówki. Czy pani ma samochód?

— Mam rower, ale jest droga na skróty przez las. Zwykle przychodzę tą ścieżką.

— Domyślam się, że pilnowała pani domu odkąd moja kuzynka zachorowała? Czy pani pracowała dla panny Saxon?

— Z przerwami. Ona lubiła samotność. Ale na wiosnę zwy-

46

kle pomagałam jej w sprzątanii. Czy chce pani zobaczyć teraz resztę?

— Myślę, że najpierw się rozpakuję. Może jednak przed odejściem zechce mi pani pokazać, gdzie są wszystkie naczynia kuchenne i jak się obchodzić z piecem?

— Oczywiście. Ale nie musi pani zajmować się nim. Ogrzewanie jest nastawione na noc, a ja będę tu rano. Nie musi się też pani martwić o kolację. Włożyłam coś do pieca i zostawię to

pani razem z chlebem, nie ma sprawy. U nas nie ma kłopotów z przydziałami żywnościowymi, zawsze można tu wszystko dostać, jeśli zna się ludzi tak długo jak ja, a pani ciocia nie należała do tych, co mają pustą spiżarnię.

— To ogromnie miło z pani strony. Przywiozłam z sobą co mogłam, ale zanim zorientuję się w sklepach i zarejestruję kartki...

— Powiem pani dokąd iść, a może pani być pewna, że dobrze panią potraktują, jeśli się dowiedzą, że objęła pani dom panny Saxon.

Zeszła ze mną na dół.

— A więc tak, proszę pani. Zostawię panią teraz z jej sprawami, ale będę tu z samego rana i

przyniosę mleko, a także coś na obiad, więc proszę odpoczywać, a wkrótce razem doprowadzimy dom do porządku.

— Jest pani bardzo miła - zawahałam się, ale musiałam to powiedzieć. Ani nie chciałam, ani nie miałam dość pieniędzy, aby zatrudnić przychodzącą służącą. - To bardzo uprzejmie, pani

Trapp, ale nie powinna się pani o mnie troszczyć. Wiem, że będę potrzebowała dużo rad w sprawie sklepów, kartek na żywność i innych rzeczy, zanim sama się nie zorganizuję. Jeśli chodzi o pomoc w domu to, prawdę mówiąc, postanowiłam sama się tym zajmować. Jestem do tego przyzwyczajona i w rzeczywistości, szczerze mówiąc, tak wolę. Jak moja kuzynka lubię samotność. - Uśmiechnęłam się do niej. - Ale jestem naprawdę bardzo wdzięczna za to,

co pani dla mnie zrobiła i oczywiście będę bardzo rada, jeśli zechce mi pani pomagać od czasu do czasu, tak samo jak pannie Saxon.

Szkarłatny rumieniec znowu dał znać o sobie, ogarniając szybko jej szyję i twarz. Było to chyba nerwowe. Nagle zdałam sobie sprawę dlaczego to mnie niepokoiło i dlaczego do tej chwili-

47

li przebywanie z nią sprawiało, że byłam nieśmiała i nieufna. Kiedyś znałam kogoś, kto tak się rumienił: moja główna prześladowczyni w klasztorze. Kiedy się złościła albo patrzyła na mnie z pogardą, gdy udało się jej doprowadzić mnie do płaczu, tak właśnie wyglądała. Zaś jej

błękitne oczy, jak oczy lalki i rumieniec na twarzy, wyglądały zupełnie tak samo.

Spod rumieńca ukazał się uśmiech, białe zęby zabłysły.

— Oczywiście, jak pani sobie życzy. Ale nieomal ostatnie słowa, które usłyszałam od pani cioci, zanim zabrali ją do szpitala, brzmiały: „Droga Agnes, ten dom jest tak duży, tyle w nim miejsca, byłoby wspaniale, gdybyś się tutaj sprowadziła i zaopiekowała mną.”

Rumieniec zniknął. Znowu uśmiechała się uroczo.

— I to właśnie planowaliśmy, Jessamy i ja, kiedy zachorowała i umarła. Ale teraz wszystko

się zmieniło, nieprawdaż?

To nie było powtórzenie czasów, gdy miałam osiem lat i to nie była przywódczyni trzeciej klasy. Byłam właścicielką Thornyhold, stojącą we własnym frontowym hallu, i mówiłam do najętej pomocy domowej. A jednak musiałam przełknąć ślinę, zanim odpowiedziałam wesoło,

a miałam nadzieję, że także zdecydowanie.

— Tak, wszystko się zmieniło. Jeszcze raz dziękuję, pani Trapp i do zobaczenia.

Kiedy znowu znalazłam się sama w moim pokoju, postawiłam walizkę na jednej z ławek pod

oknem i zaczęłam wydobywać z niej rzeczy. Głęboko się zastanawiałam. Nie były to przyjemne myśli. Po pierwsze, muszę się skontaktować z firmą Martin i Marin, adwokatami

kuzynki Geillis, by sprawdzić czy powinnam i jaką sumę zapłacić pani Trapp. Z pomocą firmy nie powinno z tym być kłopotów.

Kłopotów? Wzięłam się w garść. Gniewny rumieniec, jak na dawnym wspomnieniu, nie może

spowodować, abym była znojni zastraszonego terroryzowanym dzieckiem. Dlaczego miałam nieć kłopoty? Nie jestem starszą, chorą osobą, która potrzebuje gospodyni. Jestem młoda, silna i sama prowadziłam dom przez parę lat. Prowadziłam z powodzeniem w znacznie gorszych warunkach. Mogę powiedzieć Agnes Trapp: dziękuję za dotychczasowe usługi, a oto pieniądze i dam pani znać, gdy będzie mi pani potrzebna. Co zaś do jej niedorzecznej propozycji, że może tu ze mną zamieszkać...

Musi być przecież jakiś powód tego zaskoczenia i gniewu, którego nie ukryła. Pojawienie się

krzepkiej kuzynki było dla niej szokiem i ruiną nadziei na wygodną przyszłość. Oczekiwała starszej kobiety, rówieśniczki kuzynki Geillis, która zapewne chętnie przyjęłaby propozycję mieszkającej stale gospodyni i mężczyzny n domu. Kuzynka Geillis, która „lubiła swą samotność” musiała czuć się niezbyt dobrze, jeśli wystąpiła z takim pomysłem. Jeśli rzeczywiście tak powiedziała.

To też absurdalne. Oczywiście, że powiedziała. W jakim celu miałyby ta kobieta kłamać? Agnes Trapp była dobrą sąsiadką, i jej chłopski sposób postępowania oznaczał, że miała zwyczaj wchodzić i wychodzić z domów sąsiadów i pomagać, jeśli tej pomocy potrzebowali. W tamtych czasach na wsi nie zamykano drzwi.

49

Było coś jeszcze. Z pewnością, gdy kuzynkę Geillis zabrano do szpitala, dom został zamknięty. Tak więc prawdopodobnie pani Trapp ma klucz. To dodatkowa rzecz, którą muszę

stanowczo załatwić. Wygląda na to, pomyślałam wyciągając pierwsze naręczce ubrań z walizki

i kładąc je na łóżku, że posiadanie własnego domu będzie sprawiało większe trudności niż sobie wyobrażałam.

Nie spieszyłam się z rozpakowywaniem. Być może, podświadomie, miałam nadzieję, że pani

Trapp zniknie zanim powrócę na dół i że to co pozostało do powiedzenia, będzie mogło poczekać do jutra. Może też się okazać, że będę bardzo rada z jej pomocy przy doprowadzaniu do ładu reszty domu. Ten pokój przygotowała całkiem przyjemnie. W szufladach i na dole szafy na ubrania położyła czyste papiery. Płócienne prześcieradła były wyprasowane bez jednej zakładki i pachniały lawendą, a kilka wybrzuszeń wskazywało gdzie,

w celu ogrzania łóżka, umieszczono butelki z gorącą wodą, teraz prawie już zimne. (Miała

pewnie na myśli pozyskanie sympatii starszej pani, której przybycia się spodziewała.) Przy łóżku stała świeca umieszczona w lichtarzu, a zapaliki obok. Uśmiechnęłam się na jej widok; wyraźnie poczułam, że cofnęłam się w czasie. Ale lampa elektryczna przy wezglowiu łóżka działała, gdy włączyłam kontakt. Świeca była tylko na wszelki wypadek.

Łazienka obok sypialni przeniosła mnie od razu w dwudziesty wiek. Była także czysta, biała i lśniąca. Chmury wyniosły się zza okna, by ukazać poza drzewami czyste wieczorne niebo. Otworzyłam okno i wychyliłam się na zewnątrz, lecz zanim do tarło do mnie coś więcej niż wrażenie koloru, w powodzi zieleń i odległego błysku wody, usłyszałam w dole odgłos zamykanych drzwi. Wyciągnęłam szyję. Od lewej strony dochodził teraz od głoś czyichś kroków. Dom okrążała ścieżka, prowadząca zapewne od drzwi kuchennych do bocznej bramy, która łączyła się nie wątpliwie z drogą przez las, o której mówiła pani Trapp. Zobaczyłam ją. W każdej ręce trzymała wypchaną torbę. Pośpiesznie przebyła ścieżkę i zniknęła z moich oczu.

Powrócił spokój, a z nim uczucie radości. Wolno skierowałam się do kuchni. Dalsze zwiedzanie domu mogło zaczekać do rana. Był to długi dzień. Zjem wczesną kolację i pójdę do łóżka w tym pięknym pokoju. Jeszcze tylko spojrzałam na szuflady

50

i szafki, odnalazłam nakrycia do wieczornego posiłku, a potem wyjęłam z pieca rondel pani Trapp i podniosłam pokrywkę. Pachniało znakomicie. Wzięłam łyżkę i spróbowałam. Doskonale. Obok, na półce piekarnika, leżał duży ziemniak owinięty w folię. Tak, to dobra sąsiadka. Zobaczymy.

— Cóż, kuzynko Geillis, dziękuję za wszystko - powiedziałam i usiadłam do pierwszego posiłku we własnym domu.

Potem, bez względu na to, że była to wieś, zamknęłam na zasuwę drzwi.

Okazało się, że miałam rację co do lokalizacji dawnej kuchni. Kuchenne drzwi otwierały się wprost na nią, oddzielała ją tylko mała śień, gdzie wisały płaszcze, stały laski i parasole z rzędem skórzanych i gumowych butów. Dawna kuchnia była kwadratowym, wykładanym kafelkami pomieszczeniem. Teraz wyglądała pośepnie, w słabym świetle elektrycznej żarówki bez osłony. Dwa małe okna, zasłonięte pajęczynami, nawet w dzień nie dawały z pewnością wiele światła. Jedna ściana była prawie całkowicie zastawiona zardzewiałą kuchenką na węgiel. Nie było żadnych sprzętów, z wyjątkiem paru szaf i drewnianego stołu przykrytego kruszącą się ceratą; leżały sterty starych gazet, tekturowe pudła i inne, zapomniane, rozpadające się przedmioty. Pod jednym z okien był kamionkowy zlew. Parę wiader, poobijany dzban. Konewka, twarda szczotka ogrodowa i to wszystko.

W zamku drzwi kuchennych nie było klucza. Prawdopodobnie miała go pani Trapp. Ale drzwi miały parę odpowiednich zasuw. Zamknęłam je i poszłam do łóżka.

Obudziła mnie cisza. Początkowo, gdy otworzyłam oczy w ciemnościach, myślałam, że ciągle jeszcze śpię, tak byłam przyzwyczajona do brudnego pomarańczowego blasku lamp sodowych i migocącego, oślepiającego światła kopalni. Nawet wiatr teraz ustał. Nie słychać było deszczu, a drzewa stały bez ruchu. Gdy tak leżałam z otwartymi oczami, powoli ciemność przybierała różne kształty; pokój był czarną jaskinią i tylko niewyraźne prostokąty

nie zasłoniętych okien połyskiwały granatowym niebem. Nie zauważyłam gwiazd. Daleko stąd zagwizdał pociąg,

podkreślając pustkę nocy. W trochę bliższej odległości, ale ciągle jeszcze daleko, dało się słyszeć skomlenie psa. Nie było to jednostajne szczekanie psa łańcuchowego, ale psa, jak pomyślałam, proszącego natarczywie, by coś dla niego zrobić; by go wypuścić czy wpuścić, nakarmić, uwolnić.

Nagle skowyt ustał i powróciła cisza.

Tylko po to, by zaraz przerwał ją odgłos znacznie bliższy, delikatniejszy i bardziej niepokojący niż głos nieszczęsnego psa.

Bezpośrednio nad moją głową usłyszałam drapanie, grzebanie, stukanie, co musiało oznaczać,

że pod dachem znalazły schronienie jakieś małe stworzenia. Leżałam zupełnie cicho. Nietoperze? Nic nie wiedziałam o nich, ale wyobrażałam je sobie jako stworzenia, które wiszą w swojej kryjówce nie wydając najmniejszego szmeru. W nocy jednak powinny fruwać. Jeśli pod dachem założyły gniazda jerzyki, szpaki czy inne ptaki, już dawno by odleciały. Myszy? Odgłosy nazbyt były nieregularne, za słabe. To nie mogą być szczury, powiedziałam stanowczo. To niemożliwe. Kocham zwierzęta z całego serca, ale nie mam ochoty na bliższą znajomość ze szczurami.

Dźwięki nie były zbyt częste. Prawdę mówiąc, były to zadziwiająco kojące odgłosy.

Dotrzymywały mi towarzystwa. Znowu zasnąłam.

Następnego dnia rano, zaraz po śniadaniu, rozpoczęłam zwiedzanie domu. Było to dziwne przeżycie. Nie czułam jeszcze, aby cokolwiek należało do mnie, z wyjątkiem kilku rzeczy umieszczonych w sypialni.

Jak przypuszczałam, drzwi w głębi hallu prowadziły do ba-wialni. Był to pokój dość dużego formatu, o dobrych proporcjach, tak że słusznie mógł być nazywany salonem. Pani Trapp nie posprzątała tutaj i było widać, że kuzynka Geillis nie używała go od dłuższego czasu.

Wszędzie było pełno kurzu, a bawełniane pokrowce na fotelach były zmięte. Pokój był wygodnie umeblowany: z fotelami i kanapą, parą małych stolików, dużą antyczną szafą na książki i małym fortepianem. Na kominku i półkach w znajdującej się obok alkowie stały ładne ozdobne przedmioty z porcelany. Akwarele na ścianach były raczej spłowiałe, gdyż okna pokoju wychodziły na południe i w pogodne dni słońce musiało tu wspaniale świecić. Okna sięgające ziemi otwierały się na ogród, a jedno z nich na zachód. Pokój znajdował się bezpośrednio pod moją sypialnią i był niewiele większy. Domyśliłam się, że na łazienkę przy

sypialni została zagospodarowana nisza odpowiadająca miejscu, gdzie stał fortepian kuzynki Geillis.

Obok, od frontu był pokój jadalny, najwyraźniej mało używany. Znajdował się tam długi stół oraz krzesła dla ośmiu osób, kredens, parę bocznych stolików i wysoki postument pod roślinę doniczkową, na którym stała marniejąca paproć. W szufladach błysk wymagającego oczyszczenia srebra i poźółkłe, stare, mało używane obrusy. Surowy, funkcjonalny pokój, który przestał spełniać swoje zadanie. Zamknęłam drzwi i przez hali dotarłam do pokoju u stóp schodów.

Ten pokój był używany. Moim oczom ukazał się przyjemny nieład przytulnego pokoju; wielkie biurko z Żaluzjowym zamknięciem, parę głębokich skórzanych foteli, półki zawierające

53

mnóstwo książek, aparat radiowy. Tego pokoju używano niedawno. Na biurku nie było kurzu i było otwarte. W przegródkach i szufladach były papiery. Te papiery mogą poczekać, prawdopodobnie nie są osobiste i nie są ważne. Ważny był telefon. Rozglądałam się za aparatem, ale w tym pokoju go nie było. Wróciłam do kuchni, myśląc, że może tam go znaleźć.

W kuchni także nie było telefonu. Dałam za wygraną i poszłam na górę, aby skończyć obchód.

Najpierw weszłam do pomieszczenia znajdującego się naprzeciw mojej sypialni. Był to hali, dokładne odbicie mojego pokoju, z identycznymi drzwiami. Sypialnia wychodząca na południe była bliźniaczo podobna do mojej i najwidoczniej była głównym pokojem gościnnym.

Panował tam zaduch, jakby długo tu nikt nie mieszkał, a wypolerowane powierzchnie wszystkich mebli pokrywał kurz. Znajdowało się tutaj podwójne łóżko, a biała narzuta była pognieciona i nie całkiem czysta.

Naprzeciw, usytuowany nad małym gabinetem, był jeszcze jeden mniejszy pokój sypialny, z pojedynczym łóżkiem, komodą i wysoką szafą na ubranie. To był drugi gościnny pokój, a może pokój dla „pomocy domowej” z czasów, kiedy trzymano służbę? Prosty, ładny pokój z meblami malowanymi na biało, paroma giętymi krzesłami, firankami o delikatnym desenie kwiatowym i ławeczką we wnęce okiennej zakończoną falbaną. Podeszłam do okna, by wyjrzeć na dwór.

Moja noga trafiła na jakiś miękki przedmiot, prawie niewidoczny pod ławeczką. Ranny pantofel. Podniosłam go. Zdarty obcas, brudny, na bokach i z przodu zniszczony, pikowany wierzch w kolorze pomarańczowym. Było dla mnie jasne, jak gdyby znajdowała się w nim etykieta z nazwiskiem właścicielki, że należał do pani Trapp.

Odchyliłam narzutę z łóżka. Nie było tam prześcieradeł, ale koce były zmięte, jak gdyby rozebrano łóżko w pośpiechu. Otworzyłam parę szuflad w komodzie. Papiery na ich dnie były

przekrzywione, a na blacie komody leżało parę włosów ze szczotki czy grzebienia i rozsypany puder.

Z ulgą zobaczyłam wszystko w jaśniejszym świetle. Wiedziałam teraz, dlaczego pani Trapp wyszła ostatniego wieczoru w takim pośpiechu, nie protestując, i co zawierała wypchana torba.

54

Nie wynosiła nic z rzeczy kuzynki Geillis, moich rzeczy, ale pośpiesznie zabierała dowody, że spała w tym domu.

Jak długo? Wiedziałam, że adwokaci wysłali swoich ludzi do domu po śmierci kuzynki Geillis, aby spisać czy sprawdzić inwentarz i zająć się takimi sprawami jak licznik elektryczny, licznik na wodę i tak dalej, zanim poprosili kogoś o zajęcie się sprzątnięciem. Jeśli, jak dawała do zrozumienia pani Trapp, prosili ją aby zajęła się wszystkim, to z pewnością nie sugerowali, aby tu zamieszkała. Gdyby tak było, powiadomiliby mnie o tym. Będąc tak nastawiona „na zamieszkanie na stałe”, gdy tak ostro zareagowała na moją odmowę

stałej pomocy, z całą pewnością powołałaby się na panów Martin i Martin.

Ale dlaczego tak chciała zostać w tym domu? Jeśli mieszkała tutaj dłużej niż jeden, dwa dni, to z pewnością wyniki sprzątnięcia są skromne. Sypialnia i łazienka, i to wszystko. Wiedziała, przyznała się przecież do tego, że przyjadę, przygotowała więc pomieszczenia dla mnie, ale mój przyjazd był dla niej w gruncie rzeczy zaskoczeniem. To, że mieszkała w domu widać było po zagospodarowanej kuchni i ciepło w całym domu z pieca Agi, który musiał być włączony kilka dni temu.

No dobrze, wreszcie byłam sama. A ponieważ prawie na pewno będę potrzebować jej pomocy i życzliwości na przyszłość, postanowiłam na tym skończyć. Rzuciwszy pantofel na podłogę, kopnęłam go pod ławeczkę, gdzie mogłam go nie zauważyć i kontynuowałam przegląd domu.

Szafa ścienna na szczotki, jeszcze jedna łazienka, szafa na bieliznę. Widok z okna nad niskim dachem dawnej kuchni, skąd widać boczną furtkę i ścieżkę do lasu. Słońce było wysoko, a lekki

powiew wiatru wprawiał gałązki w ruch. Pomyślałam, że pospieszę się z moim przeglądem i wyjdę na dwór.

Jeszcze jedną rzecz musiałam zbadać, chyba najbardziej zagadkową. Trzeci z zapasowych pokoi, który znajdował się naprzeciw mojej sypialni, był zamknięty. Dziś rano próbowałam go

otworzyć. Nad dawną dziurką od klucza był brązowy zamek z zasuwką nie było śladu klucza.

W torebce, którą zostawiłam na górze, był pęk kluczy kuzynki Geillis. Kiedy brałam ją z ławeczki pod oknem, usłyszałam skrzyp bocznej furtki i w parę sekund później odgłos otwierania i zamykania kuchennych drzwi.

55

Szybko zeszłam na dół i znalazłam panią Trapp już w kuchni.

— Tu jest mleko. Mleczarz przestał przychodzić, ale powiedziałam mu, że pani będzie potrzebowała mleka, więc będzie przynosił, dopóki nie dostanie pani kartek. Kartki nie są problemem, proszę się nie martwić. Gdy będzie chciała pani więcej, wystarczy mu powiedzieć.

— Och, brzmi to zbyt dobrze, aby było prawdziwe! Zwykle wystarcza mi ćwierć litra, ale... - zawahałam się chwilę - Pani Trapp, czy na strychu są myszy, czy coś takiego? Słyszałam w

nocy jakieś hałasy. A może nietoperze?

— Tego to nie wiem. Nigdy... - i zamilkła. Myślałam, że powie: „Nigdy nic nie słyszałam, kiedy spałam tutaj”. Oczywiście, więcej nie chciała mówić na ten temat.

Po chwili dodała:

— Ona wykładała jedzenie na dwór, zawsze były jakieś ptaki, ale nie mogły wejść do środka. Zwykle jej mówiłam...

— Czy nie miała kota?

— Kota? - widać było, że jest zakłopotana.

— Czy Hodża to nie kot? Kiedy usłyszałam hałasy w nocy, myślałam, że to myszy, a nawet szczury, a rano przypomniałam sobie Hodżę. To imię kota, a ona specjalnie prosiła mnie, by się nim zaopiekować. A w dużej gościnnej sypialni wyglądało, jakby) kot spał na łózkach.

Czy

wie pani, gdzie on jest teraz?

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Powinien być gdzieś w pobliżu. Czy smakowała pani kolacja?

— Oczywiście. Była doskonała. Dziękuję.

— To drobiazg. Muszę już iść. Czy mam zamówić mleko?

— Tak, proszę bardzo, a jeśli Hodża powróci, będę chciał; troszkę więcej mleka, które przeznaczę dla niego. Jeśli nie wróci to sądzę, że wezmę kociaka. Czy zna pani kogoś, kto ma

kociaki'

— Niestety, nie znam. I proszę nazywać mnie Agnes, bardzo proszę.

— Świetnie, dziękuję. A więc Agnes, zastanawiam się... Za to wszystko, co zrobiłaś tutaj, sprzątnięcie mojej sypialni i gotowanie i wszystko inne, ile jestem ci winna?

— Nic. Nazwijmy to sąsiedzką pomocą. Następnym razem upomnę się o zapłatę.

— Dziękuję, dziękuję bardzo. Ale prowiant, który tu zostawiłaś i mleko?

56

— Za mleko będzie rachunek w ciągu tygodnia. - Gestem wyraziła, że reszta nie ma znaczenia. — I po upraniu przyniosę prześcieradła. Widzi pani, spędziłam jedną noc w małym pokoju. Zamierzałam pozostać tutaj, aż do ukończenia sprzątnięcia całego domu, ale pani przyjechała.

Piękny uśmiech ukazał rozmazaną szminkę na przednim zębie.

— Jeśli chce pani znać prawdę, pieczeń przygotowałam dla siebie. Nie była pani zdziwiona?

— Wyobraź sobie, że o tym nie pomyślałam. Sądzę, że byłam trochę zmęczona i bardzo rada, że dom był ciepły i nie sprawiał wrażenia opuszczonego. Nie powiem, że jest mi

przykro, że zjadłam twoją kolację, bo była znakomita, ale co ty jadłaś?

— Wystarczyło aż nadto i cieszę się, że pani smakowało. Czy pani zjadła wszystko? Jeśli tak, to wezmę garnek, czy mogę?

— Oczywiście. Nie sądziłam, że należy do ciebie. Włożyłam go do szafy, tutaj.

— Dzięki. - Wrzuciła go do torby. - A teraz naprawdę muszę już iść i pozwolić pani obejrzeć wszystko. Przypuszczam, że pali się pani do tego. Proszę nie zwracać uwagi na kurz.

Po dobrym sprzątaniu nie będzie go. Jeśli tylko zawiadomi mnie pani przyjdę i pomogę... Poszło gładko. Spowodowało, że poczułam się bardzo zawstydzona z powodu moich podejrzeń i nieufności. Powiedziałam ciepło i szczerze:

— Bardzo jesteś miła. Oczywiście, że cię zawiadomię. Jeszcze jedna sprawa... Zamknięte drzwi na klatce schodowej. Dokąd one prowadzą?

— A, te drzwi. Ona nazywała to zielarnią. Myślę, że to rodzaj pracowni. Suszyła tam zioła, robiła wino i lekarstwa, a że niektóre z nich mogły być trujące, jak sądzę, zamykała drzwi. Ja nigdy tam nie byłam. Szukałam klucza, aby zrobić tam porządek, jak na całym piętrze, ale nie

mogłam go znaleźć. Może jest w pęku kluczy, który pani miała w ręku po przyjeździe tutaj.

— Ach tak. W porządku. Później poszukam. Jeszcze jedna sprawa. Nie mogę znaleźć telefonu. Czy jest gdzieś w szafie, że go nie spostrzegłam?

— Nie ma telefonu. Nigdy nie założyła go. Panna Saxon była w pewnych sprawach bardzo staroświecka. Nie miała też samo-

57

chodu. Używała roweru, jak ja. A więc idę... Proszę mi dać znać, gdy będzie pani czegoś potrzebowała.

— Czy musisz już iść? Nie napijesz się kawy?

Ale odmówiła i odeszła. Zrobiłam kawę dla siebie, a potem, patrząc na bałagan w kuchni, zdecydowałam, że trzeba dać pierwszeństwo rzeczom najważniejszym. Muszę dowiedzieć się

dokładnie co odziedziczyłam, zanim zacznę się tym zajmować. Ogród wzywał mnie, a dzień był piękny. W sieni zauważyłam parę gumowych butów; zmierzyłam je i pasowały. Nad nimi wisiała pikowana kamizelka w kolorze ciemnej zieleni, taka, jakie noszą kobiety wiejskie od Przylądka Wrath do południowego wybrzeża. Pasowała także na mnie. Zapięłam zamek błyskawiczny i wyszłam, aby zobaczyć, co było do zobaczenia.

Powiedziałam wcześniej, że dom leżał na końcu odgałęzienia alei wjazdowej. Wokół niego, wiele lat temu, wycięto las, aby zrobić polanę, do której docierałoby słońce i gdzie rosłaby trawa. Słoneczna enklawa miała kształt trójkąta o stępionym wierzchołku lub, jak kto woli, półotwartego wachlarza, z domem u-mieszczonym w najwyższej części, zaś ogród rozpościerał się do brzegów rzeki, która wiała się przez las, tworząc południową granicę Thornyhold. Posiadłość otwarta na rzekę, z pozostałych stron była całkowicie zasłonięta przez

wysokie żywopłoty ciemnych krzewów na tle gęstych drzew. W najszerzej części ogrodu widać było zaginający się mur, który osłaniał ogród warzywny, a po przeciwnej stronie, jakby

dla zachowania symetrii, znajdowały się drzewa owocowe tworząc mały sad. Nie było owoców, a liście wiśni i jabłoni mieniły się już czerwienią i złotem jesieni. Ogród musiał być

kiedyś starannie uprawiany, ale było oczywiste, że z biegiem czasu kuzynka Geillis pracowała w nim tyle, na ile pozwalały jej siły. Rosła w nim teraz głównie trawa; nie był to strzyżony trawnik, lecz przyjemna dla stóp niska murawa z paroma drzewami i krzewami w różnych miejscach, z pasem kwiatów z obu stron na tle róż, które pięły się na żywopłocie. Z



pierwszego planu pozostała tylko wykładana kamieniami ścieżka. Przecinając trawnik, biegła prosto od domu do tarasu nad brzegiem rzeki. Zbudowany w kształcie półksiężyca, zakończony był niską balustradą przytrzymującą dwie rzeźbione w kamieniu ławki. Płaskie schody między nimi prowadziły w dół do rzeki, gdzie tuż pod powierzchnią widać było rząd kamieni, które w lecie lub przy niskim poziomie wody były z pewnością odkryte. Na przeciwnym brzegu delikatne gałązki wierzb zanurzały się w płytkiej wodzie, a złote płatki spadających liści kręciły się leniwie z prądem, zanim popłynęły w dół rzeki. Gąszcz leszczyny zaznaczał wejście do rozciągającej się między drzewami zarośniętej alei leśnej.

59

W murze otaczającym warzywnik znajdowała się brama z kutego żelaza. Gdy ją otworzyłam i

znalazłam się po drugiej stronie, zobaczyłam małą zamkniętą przestrzeń otoczoną wysokim

murem, gęsto oplecionym bluszczem i najeżonym samosiejkami jesionów i jarzębin. Zagony jarzyn biegły pod murem i już zaczynały ulegać jesiennemu najazdowi chwastów, gnijących łodyg kapusty i naci kartoflanej, ale w środku ogrodu panował jeszcze porządek. Wygląd tego zakątka przeszedł moje oczekiwania.

Miał wygląd średniowieczny, jak inkrustowane, bez perspektywy iluminacje z *The Romance of the Rose*. Z nieregularnego łuku murów i zagonów ktoś, dawno temu, zrobił ogród w ogrodzie. W jego środku znajdowała się stara studnia z daszkiem, ukryta w krzewach lawendy, gęstwie szaławii i fiołków. Luźno położone kamienie tworzyły wokół niej pierścien na dziesięć stóp. Był prawie całkowicie ukryty w pnących roślinach. W tym zasłoniętym miejscu wiele z nich jeszcze kwitło: dzwonki i dziki tymianek, purpurowo różowe rozchodniki, skalnice i poziomki, i ostatnie gencjany; rośliny ogrodowe i leśne, razem jak od jednej matki. Promieniście od tego kwietnika, w regularnych zagonach zakończonych wysokim na dziesięć stóp przyciętym bukszpanem, były klomby kwiatowe. Było tam niewiele

kwiatów, ale po wczorajszym deszczu jesienne ciepłe słońce rzucało swe promienie na liście zielone, popielate, srebrzyste i koloru rdzawego złota, wyzwalając opary zapachów, które z miejsca powiedziały mi, co to za ogród. Ogród ziołowy, zaplanowany i założony jakby to zrobił ogrodnik z czasów królowej Elżbiety Pierwszej, w czasach, kiedy zioła i przyprawy tyle samo znaczyły w kuchni co mąka i sól.

Między zagonami biegły wąskie bruzdy. Poszłam jedną z nich do studni. Jej pokrywa, mimo kobierca zieleni na wierzchu, wyglądała jakby była konserwowana dość niedawno i zdawała się być całkowicie bezpieczna. Zbliżyłam się ostrożnie i spojrzałam ponad brzegiem.

Studnia

nie była bardzo głęboka. Sześć stóp poniżej zobaczyłam gładkie lustro wody. Z pewnością była bezpieczna. Obudowę przykrywała kratka, stopę czy dwie niżej pokrywy, a nad kratą rozciągnięto siatkę drucianą o drobnych oczkach. Położono ją tam następnego dnia jak głupiutki kos, zwiedziony lśnieniem wody i spragniony, usiadł na kracie i wpadł do środka topiąc się. Skąd o tym wiedziałam?

60

Nagle ujrzałam coś dziwnego, jak w błysku flesza. W ułamku sekundy błysk światła przeniknął wszystko i zaraz potem znikł, a drzewa, niebo, krzewy, zarośla wyglądały już normalnie. Jak przypomniane marzenie senne, ciągle jeszcze żywe i wzruszające w chwili obudzenia, przy próbie zatrzymania go w pamięci ucieka, a każde usiłowanie, by je zatrzymać, oddala je tym bardziej.

To nie było jednak marzenie senne i z pewnością nie wspomnienie.

Byłam przekonana, że to była prawda. Moja cicha akceptacja tego była nawet bardziej zaskakująca niż błysk świadomości wysłany do mnie nie wiadomo skąd. Jednocześnie

bowiem ożyło wspomnienie, które należało tylko do mnie; chwila przy stawie na łące należącej do plebanii, kiedy po raz pierwszy zjawiała się kuzynka Geillis. A razem z tym inna chwila nad rzeką Eden, gdy kuzynka oświadczyła mi: „Ty i ja będziemy tam razem mieszkać... dotąd, dopóki będziesz mnie potrzebowała, ale to nie będzie wiecznie”. Spojrzałam nad oplecionym bluszczem murem na kominy jej domu i pomyślałam, że teraz rozumiem.

Wyszłam z ogródka ziołowego i rozmarzona szłam po wykładanej płytami ścieżce. W połowie drogi zatrzymałam się, by jeszcze raz spojrzeć na dom.

Był piękny. Nawet tworzące zaporę żywopłoty były piękne. Ich rdzawe ciernie, bastiony ostrokrzewów i jałowców, a w rogach, jak wieże, gęste kolumny cisów, zapewniały ochronę. Tak, był piękny. Ciągle jeszcze bujałam w obłokach, w jakimś uniesieniu szłam dalej. Z bliska widać było w słońcu oplakany stan farby i plamy, w miejscach w których woda wylewała się z zatkanych rynien, lecz nic nie było w stanie umniejszyć jego piękna z liśćmi różowego rojnika, rozprzestrzeniającej się pozłoty porostów i czaru trzech mansardowych okien, wyglądających z dachu poniżej wysokich kominów.

Nagle zatrzymałam się. Mansardowe okna? Nie ma ich w północnej części domu, a więc dotąd nie wiedziałam, że dom ma trzy kondygnacje. Mansarda? A więc te hałasy nocne pochodziły nie spod dachu — teraz wreszcie to zrozumiałam - lecz ze strychu, który znajduje się bezpośrednio nad moim pokojem.

Znowu byłam w domu i myślałam szybko. Najpierw o kocie. Czy mógł być tam zamknięty? Odrzuciłam tę myśl z ulgą. Okno powyżej mojego pokoju było otwarte. Gdyby Hodża od czasu

61

wyjazdu kuzynki Geillis był tam zamknięty bez pożywienia, jakoś by się wydostał po różach i

klematisach, które pięły się niemal do dachu. Albo siedziałby na parapecie poddasza i byłoby wiadomo, że jest w kłopotcie.

Nie pali się. Jednak możliwie najszybciej będę musiała odkryć drogę na górę. Ponieważ nie widziałam śladu schodów, trzeba było przyjąć, że znajdowały się w zamkniętym jeszcze pokoju. Jeśli nie uda mi się znaleźć klucza do niego, to kiedy pójdę dzisiaj do miasta, aby zarejestrować się na kartki żywnościowe i zrobić zakupy, muszę odwiedzić tam filię adwokatów Martin i Martin i spytać o klucz. Także o zapłatę dla pani Trapp. I o możliwość instalacji telefonu... Ale pierwszeństwo w tych planach miało znalezienie roweru kuzynki Geillis i sprawdzenie, czy nadawał się do jazdy.

Obok bocznej furtki znajdowała się szopa na narzędzia i tam był rower. Wyprowadziłam go na światło dzienne i obejrzałam. Wyglądało, że jest w porządku, tylko opony były miękkie. Lata upłynęły od czasu gdy jeździłam na rowerze; czy to prawda, że nigdy nie traci się tej umiejętności? Mogę jednak spróbować na alei wjazdowej zanim dotrę do głównej drogi. Wszystkie upokarzające próby pozostaną wtedy, jeśli dopisze szczęście, moją prywatną sprawą.

Przy rowerze nie było pompki. Wróciłam do szopy poszukując jej. Były tam narzędzia ogrodnicze: łopaty, widły, grabie, motyki, kosa, sierp i (zobaczyłam z ulgą) maszyna do cięcia trawy z motorkiem, na półkach doniczki razem z dużym zapasem pustych słoików do dżemu, kanister z ropą, parę rozdartych opakowań sztucznych nawozów, worki torfu, piasku i

węgla drzewnego. Nie było jednak pompki rowerowej.

Gdzieś musiała być. W przedsionku? W starej kuchni? Mogę długo szukać, a zanim ją znajdę,

jestem uwięziona jak na bezludnej wyspie. Teraz, pomyślałam, jest znowu dogodny moment na pojawienie się natchnienia, które już wcześniej tak rozjaśniło mój umysł. Jeśli mogłam

odgadnąć los ptaka, który utopił się na oczach kuzynki Geillis, z pewnością mogłabym wiedzieć, gdzie ostatnio położyła pompkę rowerową.

— Gdzie do licha mogła położyć pompkę?

— Panna Geillis? - tuż za mną usłyszałam przestraszony głos dziecka.

62

Odwróciłam się.

Był to chłopiec w wieku dziesięciu lub jedenastu lat. Miał na sobie krótkie spodenki, zniszczony sweter, brudne espadryle z dziurami na palcach. Miał ciemne oczy i włosy, a był tak chudy jak grabie ogrodowe. W rękę trzymał płową fretkę.

Przypuszczałam, że nawet w najkorzystniejszych warunkach nie miał rumieńców, ale teraz był niewymownie blady. Usta pod wpływem szoku ułożyły się w kształt litery O, a oczy były dwukrotnie większe. Fretka, widząc brak zainteresowania, zaczęła się szybko kręcić, co otrzeźwiło chłopca.

— Nosi pani jej ubranie.

Mówił szorstko, niemal oskarżycielsko i to wyjaśniało sprawę. Zobaczył mnie z tyłu, pochyloną nad rowerem, w starych zielonych butach gumowych i kamizelce, musiałam więc wyglądać jak kuzynka Geillis, którą znał.

— Tylko ubranie do ogrodu - powiedziałam przepaszająco. - Panna Saxon była moją kuzynką i teraz ja będę tu mieszkała. Przykro mi, że widząc mnie w tym stroju, doznałeś szoku. Nazywam się także Geillis, Geillis Ramsey. A ty jak się nazywasz?

— William. William Dryden.

Milczenie. Jeszcze raz fretka poruszyła się w jego rękach. Z twarzy chłopca stopniowo zniknęła bladość.

— Pani, naprawdę, wyglądała z tyłu jak ona. A, widzi pani, ja byłem na pogrzebie. I nie spodziewałem się zastać tutaj kogokolwiek.

— Rozumiem. - Dobrze mu się przyjrzałam. - Wobec tego, przepraszam, że o to spytam, ponieważ Thornyhold jest tak daleko od innych domostw, to po co przyszedłeś, jeśli nie spodziewałeś się tutaj nikogo?

Przesunął fretkę delikatnie w rękach.

— Z powodu fretki. Ona troszczyła się o nie razem ze mną.

— Chcesz powiedzieć, że moja kuzynka troszczyła się o twoich ulubieńców?

— To nie są ulubieńcy, lecz użyteczne fretki.

— Przepraszam. A więc leczyła je?

— Leczyła. Nie martwię się tak o Puszka, gdyż wiem co mu podawać, ale jeśli coś będzie nie w porządku z innymi albo z królikami... Czy pani przypadkiem też jest czarownicą? - zapytał smętnie.

63

— Co?

— Czarownicą, która leczy.

— Tak, zrozumiałam. Trochę to mnie zaskoczyło. Nie była czarownicą. Po prostu była zielarką i stosowała zioła i tym podobne rzeczy do leczenia.

— Przepraszam, zdaję sobie z tego sprawę. To był tylko dowcip. Ona zwykle śmiała się z tego i mówiła, że to jest bardziej trafne określenie, niż gdyby uważała się za uzdrowicielkę. Ostatnie słowa były nieco stłumione, bo mówiąc wtulił buzię w futro fretki.

Powiedziałam łagodnie:

— W porządku, Williamie. Ja także żartowałam. Panna Saxon posiadała wiele umiejętności i wywierała coś w rodzaju czarodziejskiego wpływu. Sama tego doświadczyłam. Współczuję ci, że ci jej brakuje. I mam nadzieję, że będziesz przychodził do mnie, kiedy tylko zechcesz. Obawiam się jednak, że ja nie jestem ani uzdrowicielką, ani czarownicą. Nie wiem, czym leczyć Puszka. Czy w mieście nie ma weterynarza?

— Nie starczy mi pieniędzy - odpowiedział chłopiec szybko. — Mój tata mówi, że mogę trzymać tylko te zwierzęta, którymi sam się zajmuję, a to wyklucza weterynarzy. Panna Geillis robiła to za darmo, gdyż je kochała, ale tata powiedział, że muszę na to zapracować, a

więc przychodziłem pomagać w ogrodzie, rąbać drewno, sprzątać.

— Z pewnością chętnie skorzystam z twojej pomocy, gdy zorientuję się tutaj we wszystkim. Będę musiała jednak płacić ci w inny sposób. To, co wiem z medycyny, sprowadza się do podstawowej pierwszej pomocy.

— Ale ja wiem - powiedział z przekonaniem. - Wiem jakie lekarstwo dawała Iskrze, a to jest to samo. To tylko środek wzmacniający. Czy nie można by dać mu go trochę, tylko na próbę?

— Nie wiem, gdzie jest. Przyjechałam dopiero wczoraj wieczorem. Tak naprawdę, to jeszcze się nie zorientowałam.

— To bez znaczenia - nie rezygnował William - pokażę pani. Wiem, gdzie trzymała te rzeczy.

— Naprawdę? A może wiesz, gdzie jest klucz do drzwi pokoju, który jest za jadalnią? Pani Trapp nazwała go pokojem... Czy tam przechowywane są lekarstwa?

— Nie sądzę, żeby ona miała klucz, ale może wie, gdzie się

64

znajduje. Zazwyczaj wisiał na gwoździu, pod jaśminem, koło tych drzwi.

— Rozumiem. A ty miałaś zamiar wejść do środka, bo w przeciwnym wypadku nie przyniosłabyś Puszka. Nie wiedziałaś przecież, że ja tu jestem. Czy naprawdę miałaś zamiar Williamie wejść do środka?

— Panna Geillis nie miałaby nic przeciwko temu - i zaraz dodał trochę sztywno - nie sądzę, by uważała mnie za dziecko. Oczywiście, wiem, gdzie są klucze, sama mi to powiedziała.

— Rozumiem. Prowadź więc. Pokażesz mi i razem zobaczymy, czy znajdziemy coś dla twojej fretki.

10

Zdjęłam gumowe buty przy drzwiach, a chłopiec poprowadził mnie, nie na górę, jak myślałam, ale do gabineciku. Sądziłam, że podejdzie do biurka i być może pokaże mi jakąś sekretną szufladę, ale on skierował się do kominka.

W kominku od dłuższego czasu nie palono. Obramowanie kominka tworzyła piękna obudowa. Był zablokowany od góry. Było tu pełno kurzu, ale ani śladu sadzy. Na szerokim palenisku stał elektryczny czajnik. Zanim zdałam sobie sprawę co się dzieje, William podał mi fretkę i sięgnął w głąb kominka. Nigdy przedtem nie trzymałam fretki i gdybym miała szansę, odmówiłabym jej przyjęcia. Różowe oczy i nos, opinia drapieńczy, prężna siła gorącego drobnego tułowia wzbudzały we mnie lęk. Ale małe stworzenie ułożyło się wygodnie w moich ramionach i, nie zdając sobie z tego sprawy, przycisnęłam je mocno do siebie. Futerko było jak gładki jedwab, a gorące ciało jednym wielkim mięśniem. Leżała cicho jak śpiący kociak i razem ze mną patrzyła jak William odwrócił się od kominka z kluczami w dłoni.

— Oto on.

— Dlaczegoż na miły Bóg trzymała go tutaj?

— Wydaje mi się, że myślała, że nikt nie będzie go tutaj szukać. To znaczy, jeśli pani T. ..., jeśli ktoś chciałby znaleźć klucz, szukałby w biurku, w szufladach lub coś w tym rodzaju. Nie

chciała, aby ktoś wchodził do zielarni, kiedy jej tam nie było.

— Z wyjątkiem ciebie.

Spojrzał ukosem: - Już mówiłem, że dużo jej pomagałem. Pomagałem w zbieraniu, a także suszeniu różnych ziół. Nawet pomagałem czasami w przygotowaniu lekarstw.

— W porządku, Williamie. Ja tylko żartowałam. Zdaję sobie sprawę, że w wielu sprawach mogę liczyć na ciebie. Zapewne będziesz mógł wprowadzić mnie trochę w tajniki zielarstwa.

Chodźmy teraz na górę.

66

I

Zielarnia była tej samej wielkości co jadalnia na parterze, ale znacznie mniej okazała. Meble były proste, na środku pokoju stał duży stół, a drugi pod oknem. Miały wygląd sprzętów kuchennych, a niewątpliwie były warsztatami roboczymi. We wnękach, po obu stronach obudowanego kominka, znajdowały się półki pełne książek. Pod ścianą, obok drzwi, stał duży

staroświecki kredens z zamykaną szafką na dole, a na jego półkach zamiast talerzy umieszczono słoje i butle. W rogu, gdzie zapewne znajdowała się kiedyś umywalnia, był mały zlew, a nad nim elektryczna terma.

— Weź teraz fretkę.

William, który patrzył na rzędy butelek, odwrócił się szybko.

— Całkiem zapomniałem. Przepraszam bardzo. Pani nie ma nic przeciwko fretkom? Wiele pań ich nie lubi. Nie pomyślałem o tym, bo, oczywiście, panna Geillis nie miała zastrzeżeń.

— Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam z nimi do czynienia. Trzymaj. Puszek ma bardzo dobre maniery. A może nie czuje się dość dobrze, by kąsać?

— Całkiem możliwe. Ale w każdym razie, on panią lubi. Pobiegnę na dół, po jego koszyk. Przymocowałem go do roweru.

— Sądzę, że to dobra myśl.

Zbiegł na dół z fretką, a ja rozejrzałam się wokoło.

Pokój był bardzo czysty i panował w nim porządek. Wszystkie książki były na miejscu, a patrząc na kilka tytułów wywnioskowałam, że są ustawione we właściwej kolejności.

Drewniane blaty stołów były wyszorowane do czysta i nic na nich nie stało, z wyjątkiem wagi i sporego moździerza z tłuczkiem na długim stole pod oknem. Ponieważ nie było tutaj tego, czego się spodziewałam - pęków ziół, worków korzeni i tym podobnych rzeczy - wyglądało na to, że pokój został wyczyszczony, a zapasy sprzątnięte. Jak gdyby kuzynka Geillis uporządkowała wszystko u schyłku swego życia, jakby przygotowała to dla mnie. Poza równymi rzędami butli i słoików, jedyny ślad ziół sprowadzał się do dużej misy pełnej aromatycznej mieszanki rozdrobnionego suszu, która stała na końcu kredensu, tuż przy drzwiach. Były w niej głównie płatki róży i lawendy, liście geranium i rozkruszone kwiatki bratków, ale wydobywał się z niej pewien dziwny zapach, którego nie mogłam z niczym skojarzyć. Schyliłam się by lepiej powąchać, gdy do pokoju wbiegł William, z fretką umieszczoną teraz w koszyku. Nucił:

67

Wilcze ziele, werbena, koper, koniczyna, wszelkie czary powstrzyma.

Wyprostowałam się: - Co masz na myśli?

Wskazał na miskę: - Wszystko to jest tutaj. Pomagałem jej w przygotowaniu. Powiedziała mi o tym. Jest to stare zaklęcie, czy coś w tym rodzaju.

— O Boże! A teraz, co z fretką?

Postawił koszyk na stole i sięgnął po butlę z półki kredensu. Etykieta pisana ręką kuzynki Geillis była po łacinie i nic mi nie mówiła.

— Jesteś pewien?

— Tak. Całkowicie. W każdym razie nie zaszkodzi jej. Pozwalała mi dotykać wszystkich butli z wyjątkiem tych, które mają czerwone nalepki, a te są zamknięte w szafce na dole. Oto ta, której szukamy. Proszę spojrzeć na sposób użycia.

Podał mi butelkę. Pod łacińską nazwą znajdowała się instrukcja: Małe zw. raz dz. p. 3 d. Tak

to dotyczy małej fretki, jedna pigułka dziennie!

Otworzyłam butlę. Były w niej ciemne, małe pastylki.

— To twoja fretka. Jeśli naprawdę jesteś pewien... Przytaknął ruchem głowy.

— A więc, spróbujmy. Czy wiesz, jak to zrobić?

— Trzeba tylko otworzyć jej pyszczek i wcisnąć pastylkę do środka. — Po raz pierwszy widać było, że opuściła go pewność siebie. Spojrzał na mnie.

— Wyglądało to niezwykle łatwo, gdy robiła to panna Geillis.

— Oczywiście. No więc zacznijmy od tego, że wyciągniesz ją z koszyka. Nie możemy nic zrobić, kiedy jest w nim schowana. Postaw ją na stole i przytrzymaj. Dobrze.

Wyjęłam pastylkę i spojrzałam niepewnie na fretkę. William przełknął ślinę.

— Czy chciałaby pani, abym spróbował? Przecież to moja fretka i jeśli ktoś ma być pogryziony, to powinno to spotkać mnie.

Roześmiałam się.

— Nigdy nie słyszałam bardziej odważnego oświadczenia. Nie, ja zacznę. Kiedyś muszę zacząć, to pewne, a mówiłeś, że to łatwe... Jeśli tylko zrobisz coś, aby się tak nie kręciła...

Och!

„Och” było wyrazem prawdziwego zaskoczenia. Okazało się

68

to nadzwyczaj łatwe. Jak gdybym robiła to już sto razy. Szybko i sprawnie objęłam lewą ręką

głowę fretki, delikatnie nacisnęłam policzki, aż otworzył się różowy pyszczek. Wrzuciłam pastylkę do jego środka i zacisnęłam szczęki, aż do momentu, gdy połknęła lekarstwo.

Kiedy

podniosłam stworzonko i oddałam je Willamowi, miałam takie wrażenie, że gdyby to był kot, zamruczałby z zadowolenia.

Podeszłam do zlewu, aby umyć ręce, a w tym czasie William kładł fretkę do koszyka. Kiedy się odwróciłam, spotkałam jego spojrzenie, które wyrażało coś w rodzaju przerażenia.

— Co cię gnębi?

— Powiedziała pani, że po raz pierwszy ma pani do czynienia z fretką. Zrobiła to pani dokładnie tak samo jak ona. Skąd pani wiedziała?

Gęsia skórka na całym ciele. Chwila nagłego olśnienia: butla, której nazwy nie rozumiałam, fretka, całkowicie obudzona i poruszająca się w tę i z powrotem w koszyku, wydająca płaczliwe dźwięki i pokazująca ostre ząbki, fretka, której teraz nie odważyłabym się dotknąć...

— Sama nie wiem - powiedziałam. - Myślałam tylko o tym, aby wcisnąć jej pastylkę.

William, gdzie pani Saxon chowała pompkę do roweru?

— Co?

— Pompkę do roweru. Właśnie sobie przypomniałam. Nie mogę jej znaleźć, a z kół uciekło powietrze. Chciałam pojechać do miasta.

— Zwykle była przymocowana do roweru.

— Teraz tam jej nie ma.

— Żałuję, ale nie wiem. Myślę, że się znajdzie. Mam pomysł: mogę napompować opony moją pompką, dobrze?

— To byłoby wspaniale. Dziękuję bardzo.

Nagle wykrzyknął: - Proszę spojrzeć na Puszka! To było dobre lekarstwo.

— Zdaje się, że pomogło. Ale zauważ Williamie, że etykieta wskazuje, że trzeba brać lekarstwo przez trzy dni. Czy wrócisz tutaj, czy wolisz wziąć parę pastylek do domu i sam spróbować jej dać? Dasz sobie radę? Ona naprawdę nie protestowała, gdy dawaliśmy jej

tabletkę. Widziałeś.

— To ze względu na panią - zastanowił się, a potem dodał

69

z promiennym uśmiechem. — Mogę spróbować. Może tata potrzyma ją, jeśli będzie miał nałożone rękawiczki, te do prowadzenia samochodu. W szufladzie są puste pudełka po tabletkach.

— Dziękuję - wrzuciłam lekarstwo do pudełka, zamknęłam je i dałam chłopcu. - Czy wiesz, z czego są te tabletki?

— Prawdę mówiąc, nie. Wiem, że jest w nich gencjana i miód, nie wiem jednak co poza tym i jak zostały zrobione. Ona miała maszynkę do robienia pastylek. Sądzę, że jest w tamtej szufladzie.

— To nie jest teraz ważne. Później poszukam - spojrzałam na półki z książkami. - Zaryzykuję twierdzenie, że wszystko jest w tych książkach. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

— Ona często mówiła, że wszystko mieści się na tych półkach, magia i tym podobne rzeczy. I - spojrzał serdecznie na fretkę — to musi być magia. Proszę popatrzeć na nią. Stokrotnie dziękuję, że pani się nią zajęła i dała jej lek. Cieszę się, że pani jest tutaj. Pani także kocha zwierzęta, prawda? Wyczułem to. Puszek też. Fretki bardzo dobrze czują się w domu. Są nawet użyteczne - dodał z pośpiechem. - Pani nigdy ich nie miała?

— Nigdy nie pozwalano mi trzymać w domu zwierząt.

— To straszne. Żadnych? Nawet psa?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie było nikogo, kto by się nimi zajął, gdy byłam w szkole z internatem. Kto zajmuje się fretką i resztą towarzystwa? Powiedziałeś mi, że twój ojciec pozwala ci trzymać zwierzęta pod warunkiem, że zajmujesz się nimi sam. Co się dzieje, kiedy nie masz wakacji?

— Muszę je nakarmić zanim wyjdę do szkoły i posprzątać wieczorem albo w końcu tygodnia.

— A, więc jesteś w dziennej szkole?

— Tak, codziennie chodzę do szkoły w Arnside. Myślę, że moi rodzice woleli szkołę z internatem, ale ja nie. Ojciec przystał na to. Zresztą, prawdopodobnie nie czułbym się dobrze w internacie. Tata nienawidził swojej szkoły. Powiedział, że takie szkoły nie są dobrym pomysłem dla samotników.

— A ty jesteś samotnikiem?

— Powiedzmy - powiedział William takim tonem, jakby był o dwadzieścia lat starszy, naśladując nieświadomie sposób mó-

70

wienia swego ojca - powiedzmy, że moje ulubione zajęcia nie należą do popularnych.

Czytanie, ogrodnictwo, zbieranie kwiatów oraz obserwowanie ptaków i zwierząt, a poza tym nie jestem szczególnie dobry w grach sportowych. Lepiej więc, gdy zostaję w domu i zajmuję

się zwierzętami, a tylko pod tym warunkiem mogę je mieć. Jeśli nie, to nie. To sprawiedliwy układ, prawda?

— Więcej niż sprawiedliwy. Masz szczęście.

— Wiem. To straszne nie móc trzymać zwierząt. Nawet kota?

— Był kot, ale to był kot, który głównie przebywał poza domem i nigdy nie poznałam go dobrze. Aha! Czy wiesz gdzie jest Hodża?

Wyglądał na zakłopotanego. - Przykro mi, ale nie wiem. Prawdę mówiąc byłem strasznie zmartwiony. Panna Geillis była przekonana, że wszystko będzie dobrze. On miał posłanie w

szopie i mógł stamtąd wychodzić swobodnie, a kiedy dowiedziała się, że musi iść do szpitala, ustaliła z panią Trapp, że ona będzie go żywiła, a ja powiedziałem, że będę wpadał, kiedy tylko będę mógł. Potem zobaczyłem, że pani Trapp wystawiła dla niego miseczki z jedzeniem, ale on nic nie jadł - wyglądało na to, że skorzystały z tego tylko myszy, może ptaki czy inne stworzenia.

— Czy to znaczy, że nie widziałeś go, odkąd panna Saxon poszła do szpitala?

— Myślę, że go raz widziałem. To było ostatniej soboty, kiedy obcinałem bukszpanowy żywopłot w ogrodzie zielarskim i zdawało mi się, że widziałem go na murze, ale kiedy zawołałem go - jeśli to był on - to zsunął się na ziemię z drugiej strony muru i zniknął.

— Wygląda na to, że może być gdzieś w pobliżu. Czy w domu nie było wtedy nikogo?

— Nie, oczywiście. A, rozumiem, co pani ma na myśli. Owszem, kiedy przyszedłem w sobotę, była tu pani Trapp. Kiedy wszedłem do środka, by umyć ręce, wywróciła całą kuchnię

do góry nogami i zdawało mi się, że czegoś szukała, ale zaprzeczyła i powiedziała, że tylko sprzęta, gdyż oczekuje przyjazdu „starszej pani”.

Roztropnie zerknął na mnie. - Czy to miała być pani?

— Tak. Zaskoczyłam ją.

— Była więc tutaj, kiedy pani przyjechała?

— Tak. Spytałam ją o kota, ale to zaskoczyło ją także. Po-

71

wiedziała tylko, że musi być gdzieś w pobliżu. Spieszyła się i nie zainteresowała się tym specjalnie. Ale jeśli wystawiła miseczki... Spytam ją jeszcze raz, kiedy znowu się zjawi. Razem ze mną opuścił pracownię i obserwował, jak zamykałam drzwi. Zaczęliśmy schodzić po schodach..

— Kto pani powiedział o Hodży?

— Kuzynka zostawiła mi list, prosząc, bym się nim zajęła. Niepotrzebnie się martwisz. Koty są dość mądre, a panna Saxon także dobrze o tym wiedziała i oczekiwała, że on będzie w pobliżu aż do mojego przyjazdu. - Zastanowiłam się chwilę. - Wiedziała, że wkrótce się zjawię. Jeśli widziałeś go w sobotę, to zapewne czekał na mnie.

Ale wyglądało, że dalej jest zmartwiony. Zatrzymał się na podeście, przyciskając koszyk z fretką do piersi, pochylił głowę, jakby badał wnętrze zwierzątka.

— Jeśli ktoś... - umilkł niezdecydowany i zaczął od początku - To znaczy, jeśli ktoś chciałby zrobić mu krzywdę...

— Ależ, Williamie, kto? W każdym razie najpierw musiałby go złapać, a czy próbowałeś złapać kota, który nie chce być złapany?

— Tak, ale trucizna lub coś takiego?

Słów wymruczanych do koszyka Puszka prawie nie można było zrozumieć.

Wzięłam głęboki oddech, zdecydowana nie zadawać pytania, które natychmiast się narzucało

i zamiast tego powiedziałam stanowczo.

— To nawet trudniejsze niż złapanie go. Powiedział mi kiedyś weterynarz, że otrucie kota jest prawie niemożliwe. Psa tak, ale koty są zbyt kapryśne w jedzeniu. Zobaczysz, że będzie próbował dowiedzieć się, co tutaj się dzieje i pokaże się, kiedy będzie miał ochotę.

— Na pewno, kiedy zorientuje się, że pani jest tutaj - powiedział William nagle rozchmurzony. Schodził w dół. - One z pewnością są mądre. A Hodża był do tego kotem czarownicy. O! Do licha!

Ten wykrzyknik nastąpił na widok zegara w hallu.

— Ależ zrobiło się późno. Muszę się spieszyć. Dziękuję stokrotnie, panno... strasznie mi przykro, ale zapomniałem pani nazwisko.



— Ramsey, ale czy nie zechcesz mówić do mnie Geillis?

— Dobrze - powiedział William, nie deklarując się - w każdym razie dziękuję. Muszę już iść, ale czy mogę przyjść znowu, żeby pomóc?

— Oczywiście. - Nie ośmieliłam się zakwestionować jego słów. - Jeszcze chwilka, zapomniałam cię spytać, gdzie jest klucz do szafki z truciznami.

— Pod miską z suszonymi ziołami.

— A strych? - musiałam podnieść głos, gdyż wyprzedziwszy mnie był już przy drzwiach wybijanym sukniem. - Jak dostać się na strych?

— Tędy. Z kuchni.

— Z kuchni? Ależ tam nie ma dodatkowych drzwi.

— Z dawnej kuchni na tyłach. Wyglądają jak drzwi od szafy ściennej. Będę pamiętał o rowerze. Do zobaczenia.

Wybite sukniem drzwi zamknęły się za nim lekką chmurką kurzu.

Wilcze ziele, werbena, koper, koniczyzna Wszelkie czary powstrzyma.

Pachnące liście zaszeleściły i odsłoniły klucz. Przyklękając otworzyłam drzwi szafy.

Tak jak ją opisał William, pełna była butelek, na których umieszczono nalepki z napisami wykonanymi czerwonym atramentem i z ostrzeżeniem „Trucizna” na każdej. Także pudełeczka były oznaczone. Po otwarciu kilku okazało się, że wypełniały je nieznanne mi produkty destylacji, suszone liście i korzenie.

Przysiadłam na piętach, przyglądając się i zastanawiając dlaczego kuzynka Geillis, która najwyraźniej przewidziała swoją śmierć i tak starannie wszystko przygotowała, nie zadała sobie trudu, aby zostawić bardziej szczegółowe instrukcje dla swej następczyni. Choć faktycznie jej zgon nastąpił nagle, niewątpliwie niczego nie zostawiła przypadkowi. Zadbana o rzeczy najistotniejsze i to na długo przed ostatecznym odejściem: testament, list, powierzenie mi kota, schowanie klucza od zielarni, by jedynie godny zaufania William mógł mi go wskazać. A więc mogłam przyjąć, że brak wskazówek co do drogocennych zasobów zielarni był także celowo pomyślany.

W jakiej sytuacji więc mnie to stawia? Czy sugerowała, abym

przejęła jej czarodziejską szatę zielarki i uzdrowicielki? Tak jak dzisiaj zrobiłam to z jej ubraniem? Okoliczności zdawały się to potwierdzać. Możliwe że jej wiedza i umiejętności przejdą na mnie, myślałam, choć niezupełnie serio, przypominając sobie olśniewające fragmenty obrazu, który ujrzałam dzisiaj...

Wyraźnie pamiętam ten dzień, dawno temu, nad rzeką Eden, gdy kuzynka Geillis zdecydowanie stwierdziła: Jedyne szczęście, które się liczy w życiu, to wrodzone zdolności. Reszta zależy od ciebie.

Ciężka praca nie była mi obca. Daj mi trochę czasu kuzynko Geillis, tak jak dałaś mi ten cichy zakątek, narzędzia i beczenną samotność. Daj mi czas, abym odnalazła siebie, poznała siebie i przyzwyczała się trochę do szczęścia. Reszta będzie zależała ode mnie.

Zanim spróbowałam znaleźć drzwi na strych, przygotowałam i zjadłam lunch. Zmyłam nawet

naczynia i z rozmysłem zasiadłam beztrudnie nad filiżanką kawy, zanim wróciłam przez dawną kuchnię do domu.

Teraz, kiedy już wiedziałam, wydawało się to oczywiste. W czasach, kiedy w domu trzymano

służbę, schody do pokoi na facjacie prowadziły z kuchni. Pierwsza z szaf ściennych, jak przypuszczałam wcześniej, była schowkiem na szczotki. Za drugą rozpoczynały się wąskie, strome schody, które biegły między wykładanymi boazerią ścianami. Nie było poręczy i stopnie były gołe.

Na wybrukowanej ścieżce usłyszałam czyjeś kroki. Odwróciłam się, sądząc, że zobaczę Agnes. Był to jednak młody człowiek, chłopak około szesnastu lat. Miał na sobie poplamione spodnie i podarty sweter, a w ręce niósł torbę. Nie zatrzymał się przy drzwiach, ale wszedł od razu do domu i rzucił worek na stół. Nie musiałam pytać, kim jest: brązowe włosy, niebieskie oczy, świeża cera, potężnie zbudowana postać. Od razu wiedziałam, że to z pewnością Jessamy Trapp, syn Agnes Trapp.

— Uważałbym idąc na górę, z całą pewnością uważałbym — powiedział - Sądzę, że pod dachem jest wiele dziwnych rzeczy.

11

— Jesteś pewnie synem pani Trapp? - spytałam.

— Zgadza się. Nazywam się Jessamy. Wysłała mnie tutaj z zapiekanką dla pani na kolację i abym powiedział, że piekła dzisiaj dwie, jedną dla pani, a większą dla niej, dla mnie i dla babci i ma pani nie myśleć, że to był kłopot, i słoiczek marynaty własnej roboty do tego. W jego sposobie mówienia, w szerokim uśmiechu było coś, co można było nazwać, w najlepszym tego słowa znaczeniu, ograniczoną inteligencją, coś co ludzie na wsi określają: Pan Bóg poskąpił mu rozumu albo, potocznie: brak mu piątej klepki. Jessamy Trapp nie odpowiadał z pewnością określeniu głupi Jasio, ale przypuszczalnie można było o nim powiedzieć, że nie ma zbyt dużo rozumu. Mówił dalej pogodnie, ciągle z uroczym uśmiechem, błękitne oczy promieniowały łagodnym, zwykłym zainteresowaniem.

— Mama przysłała to wszystko, ponieważ nie zrobiła pani zakupów. Nie przejeżdżała pani koło nas, więc mama wie, że nie była pani w mieście. Czy pojedzie pani dzisiaj?

— Nie. Jestem zajęta tutaj. Ale ona nie powinna zadawać sobie tyle trudu. To zbyt uprzejme - nadto jest życzliwa - proszę, podziękuj jej ode mnie. - Wyjęłam zapiekankę i słoiczek z torby, i postawiłam na stole. Byłam zakłopotana i próbowałam to ukryć.

— Ależ to wygląda smakowicie! I ta marynata ze śliwek. Ubóstwiam ją. Czy to ze śliwek z własnego ogrodu?

— Nie, nie mamy własnych. To panine.

Spojrzałam szybko przypominając sobie drzewa w sadzie Thornyhold, bez owoców; w jego słowach nie było żadnej przebiegłości ani prowokacji, po prostu stwierdzenie faktu. Znowu uśmiechnął się szczerze.

— Czy znalazła pani rower pani Saxon?

75

— Tak, był w drwalni, ale nie mogę znaleźć pompki. Może wiesz, gdzie mam jej szukać?

— Skądże. Spytałam mamę - mówiąc to rozglądał się bezmyślnie. — Może jest gdzieś w starej kuchni, ale będzie pani bardzo trudno znaleźć cokolwiek w tym bałaganie.

— A ty masz rower?

— Tak. Ale najczęściej chodzę na piechotę. Jest ścieżka, na przełaj przez las, która jest krótsza o prawie pół mili. Jak pani zechce, mogę ją pokazać.

— Dziękuję, może kiedy indziej. A więc podziękuj matce ode mnie, Jessamy, i powiedz jej, że jutro spróbuję zrobić trochę zakupów. Do widzenia.

Odwróciłam się, by wspiać się po schodach na strych, ale okazało się, że Jessamy Trapp nie miał najmniejszego zamiaru odejść i stał tuż za mną.

— Nie wiem, co tam pani znajdzie. Wiele czasu upłynęło odkąd ktoś przyłożył tam miotłę - powiedział.

Ponieważ nie znalazłam grzecznej formy, by uwolnić się od jego towarzystwa, poszłam na górę, a on za mną.

Schody były zakurzone, ze śladami stóp, jakby były używane. Na poziomie pierwszego piętra był mały kwadratowy podest i tutaj schody skręcały w kierunku tyłu domu. Na szczycie następnego zakrętu były drzwi oświetlone świetlikiem w dachu. Były zamknięte, a kiedy

dotknęłam klamki okazało się, że są zamknięte na dobre. Ale obok, na gwoździu, wisiał klucz yale.

Otworzyłam drzwi i weszłam na strych, a Jessamy deptał mi po piętach.

Było tam tylko jedno długie pomieszczenie biegnące przez całą długość domu, oświetlone trzema mansardowymi oknami, które widziałam z ogrodu. W to słoneczne popołudnie pełno było tu światła i powietrza, ale było ogromnie brudno. Pod ścianą naprzeciw okien stał podwójny rząd odwróconych do góry dnem skrzynek. Na każdej była drewniana grzęda pokryta ptasimi odchodami. Na kilku skrzynkach znajdowały się także kamionkowe miski, a w nich było coś, co wyglądało jak stare gniazda. Na środku podłogi stał przykryty karmnik, jak latarnia pod dachem, by ochraniać pożywienie od brudu, zaś w pokrywie były dziury, przez które mogły się odżywiać ptaki. Obok stała metalowa niecka na wodę. Nie było ani pożywienia, ani wody. Wszędzie pełno było piór, kurzu i ptasich odchodów.

76

Mansarda w rzeczywistości była nie używanym gołębnikiem.

Nie całkiem nie używanym. Z trzepotem i gwizdem skrzydeł sfrunął z grzędy na jedną ze skrzyń gołąb i usiadł na niej ufnie, skręcając głowę w kierunku karmnika na środku pokoju.

— Tak więc - powiedział za mną Jessamy - jeden z nich powrócił.

— Powrócił, skąd?

— Nie wiem. Zawsze zostawiała otwarte okno; pozwalałam im fruwać swobodnie, mówiła. Ale gołębie zawsze wracają do domu.

— Ile ich było?

— Nie wiem. Widziałem często całe stado, kołujące nad lasami. Miłe ptaki, gołębie.

Przyjazne ludziom.

— Wygląda na to, że nie było ich tutaj od dłuższego czasu. Miska jest sucha i nie ma żywności, by je zwabić. Na początku choroby panna Saxon z pewnością prosiła kogoś...

— Pożywienie jest tam - wskazał.

Między oknami stał duży garnek, jakiego moja matka używała do przechowywania jajek w szkle wodnym na zimę. Był przykryty ciężkim drewnianym denkiem. Jessamy podniósł pokrywkę, wygarnął garść mieszanki zbożowej i rzucił na podłogę w stronę gołębia. Ptak przestał uderzać skrzydłami i zaczął zapalczywie dziobać ziarno.

— Woda jest na dole - powiedział Jessamy. - Zwykle przynosiła ją w dzbanku. Cóż, matka przypominała jej ciągle o tym jej przeklętym kocie.

— Kocie. Co masz ...?

Zamilkłam. Było jasne, co miał na myśli. Na podłodze, za drzwiami, leżał zdechły gołąb.

— Mówiła jej. Mama mówiła - powiedział Jessamy, schylając się, by podnieść ptaka.

Chwyciwszy zwisające skrzydła, włókł go po podłodze wznosząc nieznaczny tuman kurzu. Szyja wisiała luźno, głowa dyndała nad ziemią.

— Hodża? - spytałam niepewnie, nie odwracając oczu od zdechłego ptaka. - Przecież drzwi były zamknięte, więc jak kot mógł dostać się do środka?

77

— Okno - krótko powiedział Jessamy. - Mówiłem, że zawsze było otwarte dla ptaków. A więc, wie pani o Hodży.

— Wiem, że był tutaj, a ona bardzo była do niego przywiązana. Poszedł sobie, nieprawdaż, Jessamy?

— Tak. Dobrze, że nigdy się nie dowiedziała o jego sztuczkach. Poszedł sobie na drugi dzień po jej wyjeździe. Gołębie zniknęły i kot także. Wygląda na to, że nic nie mogło pozostać, kiedy ona odeszła. A pani pewnie także nie będzie chciała mieć z nimi kłopotów. Proszę się tym nie trapić. Zabiorę go z sobą.

Podniósł rękę, w której trzymał martwego ptaka. W tym czasie żywy ptak, który zachłannie

nam się przyglądał niespokojnymi rubinowymi oczami, ciężko wzniósł się w górę, rozpylając chmurę kurzu w powietrzu. Wylądował znowu na skrzynce, z której wyfrunął. Sprawnym ruchem, szybko, jak to mógł uczynić tylko kot, Jessamy dotarł do skrzynki, zanim podniecony ptak mógł znowu pofrunąć. Chwycił go, podniósł i odwrócił się kołysząc i tuląc go w ręce.

— Jak powiedziałem, nie będzie pani chciała zawracać sobie głowy tymi ptakami. Wezmę również tego i sądzę, że znajdzie sobie dobry dom.

— Jeśli jesteś pewien, że znasz kogoś...

Tym razem nie było to olśnienie ani znak z przestworzy. Był jednak wyraźny błysk pamięci, jak gdyby ktoś odsłonił zakrytą latarnię. Jessamy stał przede mną, uśmiechając się, obejmując

żywego ptaka dłonią, z dyndającym niżej martwym gołębiem. Ptak był czarny i wyglądał jak wrona, którą powieszono, by odstraszała swoich pobratymców.

Podświadomie nie to jednak widziałam: w tym niecodziennym stłumionym świetle zobaczyłam wikarego, zabierającego mojego królika, aby zrobić z niego pasztet.

Szybko powiedziałam: - Nie, chciałabym go zatrzymać, przynajmniej na razie. Będę ci wdzięczna, jeżeli zabierzesz i zakopiesz zdechłego ptaka, ale zostawmy tego drugiego, dobrze?

— W porządku - powiedział uprzejmie i oddał mi gołębia. — Czy mam przynieść wody z dołu?

— Nie, dziękuję. Zrobię to później sama. W każdym razie okno jest otwarte. Dziękuję Jessamy, że przyszedłeś i podziękuj twojej matce.

78

Odetchnęłam. Zrozumiał, że ma odejść i zaczął schodzić w dół. Podeszłam do okna z gołębiem w dłoni, patrząc jak się oddalał. Gdy usłyszałam szcęk zamykanej furtki, odwróciłam się, by bliżej przyjrzeć się temu wzruszającemu gołębnikowi.

Niewątpliwie bardzo wyraźnie pachniał gołębiami, a w powietrzu unosił się pył z piór ptaków, które z pewnością gubiły je przez cały czas. Były jednak oznaki, o których nie mówiłam z Jessamym, że z tego pomieszczenia korzystają także inne ptaki. Na krokwiach - mansarda była bezpośrednio pod dachem - znajdowały się opuszczone gniazda jaskółcze, a na

zakurzonej podłodze, w pobliżu karmnika i na głębokich framugach okien były liczne odciski nóg mniejszych ptaków.

Bardziej interesująca niż inne rzeczy była, być może, mała szara „kulka” wielkości łupinki dużego orzecha, która leżała pod belką w najciemniejszym kącie. Malutka sowa z nastroszonymi piórami. Obejrzałam ją dokładnie. Można było sądzić, że niezależnie od tego, jak mile były widziane wszystkie dzikie ptaki, sowa nie była persona grata na strychu, gdzie mieszkały gołębie. Musiała przybyć na grzędę wtedy, gdy gołębnik został opuszczony przez zadomowione ptaki i ich opiekunkę. Z pewnością po wyjeździe kuzynki Geillis. Była to młoda sówka, ciemnoszara i ciągle jeszcze wilgotna. Po chwili znalazłam jeszcze dwie i tylko jedna z nich zaczynała schnąć przybierając jaśniejszy szary kolor.

A więc wszystkie ptaki zniknęły. Nie było w tym nic dziwnego. Ciekawe, że William nic o nich nie mówił.

Rozluźniłam dłonie i oswobodzony gołąb sfrunął na podłogę u moich stóp i dalej zajął się jedzeniem. Opuściłam mansardę, zamykając za sobą drzwi. Przekręciłam klucz, tym razem włożyłam go do kieszeni i zesłam na dół. A potem poszłam jeszcze raz do ogrodu.

Rower znowu znalazł się w składziku na narzędzia, z pewnością za sprawą Williama, który zgodnie z obietnicą napompował opony. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaginiona pompka została dyskretnie zwrócona, ale jej nie było. Szukając jej, znalazłam coś, co niewątpliwie

wyglądało na „posłanie Hodży w składziku” -

79

spora sterta worków, stary dywan i gazety, w rogu za metalowym pojemnikiem na herbatę, który służył jako skrzynia na tyczki ogrodowe i miotłę z witek brzoźowych. Nie było śladu kota, a worki i gazety wyglądały na nie używane. Poszłam wybrukowaną ścieżką do ogródka zielarskiego wołając jego imię, ale nic z tego nie wyszło. Nie miałam ochoty na wypad do miasta. Zdecydowałam, że trochę zajmę się sprzątaniami, a spizarnię odłożę do jutra. Zapewne najbardziej zadziwiającą sprawą tego dnia było odkrycie, że praca domowa

sprawia mi przyjemność. Dom moich rodziców, plebania, oczywiście nie należał do nas, ale w każdym razie „pomaganie matce” to nie to samo, co praca dla siebie, we własnym domu. Po jej śmierci niewątpliwie byłam panią domu, co dawało mi pewną satysfakcję, ale nigdy nie miałam świadomości, że plebania i jej otoczenie są moje.

Ten dom rzeczywiście był moją pierwszą, autentyczną własnością. Przez całą moją młodość

nic nie należało do mnie naprawdę. Nawet w czasach dzieciństwa: zabawki i książki, obrazki i skromne ozdoby z mojej sypialni usuwano po cichu i oddawano innym dzieciom, gdy byłam w internacie szkolnym. Także królika i psa, i wszystko inne, co uważałam za własne. Ta myśl, że dzisiejsze drobiazgi mogą w przyszłości okazać się cennymi pamiątkami nie przyszły do głowy ani mnie, ani mojej matce. Wszelkie drobiazgi, które przypominają czas dorastania, zniknęły. Przybyłam do Thornyhold niemal z pustymi rękami, jak młoda panna pozbawiona posagu. A teraz...

Kuzynka Geillis musiała dostrzec to i rozumieć jak wpłynie to na wzrost mojego poczucia własności, które zawsze miałam, wraz z tęsknotą, by należeć do kogoś lub czegoś i odwrotnie. Konsekwencją tego było głębokie poczucie odpowiedzialności i pewność, że Thornyhold, ze wszystkim co tutaj jest, w moich rękach będzie bezpieczne.

Tak więc przez resztę dnia sprzątałam moją kuchnię, każdą szafę, każdą półkę. Wszystkie garnki zostały wyszorowane, wszystkie naczynia porcelanowe wymyte. Zasłony zostały zamoczone w wannie, a chodniki wyłożone na słońce.

Kiedy poczułam się naprawdę zmęczona, a większość rzeczy znalazła swoje miejsce, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Na tyle dobrze, że wyszłam i zerwałam duży bukiet astrów i lwich

80

paszczy z zarośniętego ogrodu na froncie domu, a wazon z nimi postawiłam na parapecie okna. Na stole był czysty obrus, ale pokrycia poduszek z rzeźbionych krzeseł i starego bujanego fotela ciągle moczyły się w wannie razem z zasłonami. Postanowiłam powiesić je następnego dnia i miałam nadzieję, że wyschną aa wietrze.

Zmrok przypomniiał mi o kolacji. Włożyłam zapiekankę Agnes do pieca do podgrzania i poszłam na górę, by przygotować sobie porządną, gorącą kąpiel. Kiedy już wykąpana włożyłam szlafrok i ranne pantofle, na dworze było całkiem ciemno. Gdy zaciągałam zasłony w sypialni, tuż koło mnie usłyszałam hukanie sowy. Jutro, pomyślałam, miasto i moja lista zakupów, bank, żywność, telefon. Reszta sprzątaniami może poczekać. Aż do czasu kiedy będę miała gości? Z zastanawiającą satysfakcją zdałam sobie sprawę, że nie pragnę towarzystwa. Nigdy nie czułam się tak szczęśliwa.

Kiedy idąc do kuchni otworzyłam obite drzwi, zdawało mi się, że usłyszałam jakiś hałas z tyłu domu. Głuchy odgłos, jakby coś spadło. Minęłam drzwi. Nic nie zobaczyłam. Drzwi na tyłach domu były otwarte, więc wyszłam i stałam kilka chwil nasłuchując. Wieczór był ciepły, pachniało przyjemnie i świeżo. Przez gałęzie drzew spojrzałam na niebo pełne gwiazd i powoli przesuwające się pasma chmur. Znowu odezwała się sowa. Zastanawiałam się, czy wraca do gołębnika pod dachem, ale w ciszy wieczoru nie było słyhać żadnych szmerów.

Kiedy odwróciłam się, zamierzając wrócić do domu, pachnące rzędy mięty musnęły brzeg mojego długiego szlafroka i poczułam zapach rozmarynu.

Szczęście, zakłócone na chwilę przez niepokój wywołany nieoczekiwanym odgłosem, szybko

powróciło. Dotarłam do jaśminu i sięgnęłam po klucz wiszący na gwoździu. Potem weszłam do cichego, czekającego na mnie, mojego domu i zaryglowałam drzwi za sobą. Zasunęłam zasuwkę. A teraz czas na szklaneczkę sherry i kolację... I wtedy, przy kuchence Aga, zobaczyłam go. Na macie siedział duży czarny kot. Chudy, futro bez połysku, z wielkimi oczami, z rozszerzonymi bardzo jasnymi źrenicami, które spoglądały najwyraźniej na mnie, czarny z białym podgardlem i łapami, z sierścią na grzbiecie ciągle jeszcze nastroszoną ze strachu czy nienawiści.

Ale nie mnie się bał. Wstał, przeciągnął się, miauknął i zaczął mruzczyć.

81

— Czy to ty zabiłeś gołębia? - zapytałam.

Było to w jakiś czas potem. Trzeba zacząć od najważniejszych spraw, a najważniejszy był fakt, że kot był głodny. Podgrzałam trochę mleka i postawiłam na podłodze, potem wygrzebałam puszkę z pokarmem dla kota, którą widziałam w szafie i nałożyłam mu olbrzymią porcję. Pochłonął jedno i drugie żarłocznie, ale nie zaniehbując dobrych manier i znowu przeciągnął się, skoczył prosto na rzeźbione krzesło i zaczął się myć. Mył się, kiedy piłam sherry, mył się dalej, kiedy przygotowywałam kolację; mył się, kiedy jadłam jabłko; dopiero kiedy skończyłam pić kawę uznał, że jest gotowy do zajęcia miejsca przy kominku. Zwinął się w kłębek głośno mrużąc, ciągle jednak bystro spoglądając na mnie.

— Nie musisz odpowiadać - powiedziałam mu. - W każdym razie to było głupie pytanie. Jeśli zabiłeś gołębia, to go zjadłeś. Ale nie zrobiłbyś tego, tak naprawdę. Bo oczywiście jesteś Hodżą?

Ruch głową, błysk tych wspaniałych oczu, to było potwierdzenie.

Nalałam jeszcze jedną filiżankę kawy, usiadłam w fotelu bujanym i przyglądałam mu się.

Hodża. Kot kuzynki Geillis, który zniknął, gdy opuściła Thornyhold i który powrócił do domu natychmiast po moim przyjeździe, ale dopiero wtedy, gdy byłam w nim sama.

Nawiasem mówiąc, to on spowodował ten hałas, który zaniepokoił mnie, kiedy schodziłam na dół po kąpieli.

Bardzo się ucieszyłam na jego widok oraz z tego, że był tutaj i nie groziło mu niebezpieczeństwo. Zdałam sobie sprawę, jak się martwiłam z powodu jego zniknięcia, bo przecież mógł już nie żyć. Opiekuj się Hodżą... Będzie mu mnie brakowało. To jedyne szczególne życzenie kuzynki Geillis, a ja nie mogłam dotąd

82

go spełnić. Co więcej, choć wydawało mi się, że jestem daleka od pragnienia towarzystwa, byłam z tego towarzystwa zadowolona, to był idealny towarzysz. Hodża, kot tego domu.

Kot czarownicy.

Tak powiedział William. Zniknął, wybrał głód albo i jeszcze coś gorszego, kiedy ona odeszła.

A teraz, kiedy ja jestem tutaj, powrócił. Przypomniałam sobie pytanie Williama:

— Czy pani też jest czarownicą? Zaśmiałam się i odsunęłam pustą filiżankę.

— Czy naprawdę jestem? - spytałam Hodżę. - Sądzę, że jakoś to wyjaśnimy i to niezadługo. Idę do łóżka. Gdzie jest twoje łóżko? A, rozumiem. Powinnam się domyślić.

Kiedy wstałam, kot zeskoczył z krzesła, aby mnie odprowadzić do schodów, a jego ogon był wysoko wzniesiony. Kiedy byłam gotowa do wejścia do łóżka, okazało się, że mnie wyprzedził i zwinięty na poduszce, mrużał.

Musiał być nie tylko głodny, ale i zmęczony. Zanim zmorzył mnie sen, mrużenie nagle ustało, a kot czarownicy cicho, głęboko spał.

Miałam wrażenie, że obudziłam się natychmiast. Ciągle jeszcze było całkiem ciemno, ale wiedziałam, że musiałam spać głębokim snem, gdyż czułam się całkowicie obudzona i rześka.

Co więcej, pragnęłam wstać. Było mi duszno i zapragnęłam świeżego powietrza.

Próbując nie poruszyć kota, wyslizgnęłam się z łóżka i powlokłam do okna.

Za górnymi gałęziami migotało kilka gwiazd i uwięziony w chmurach księżyc. Ich łagodne światło służyło jedynie do ukazania ciemnego rysunku gałązek. Ale moje własne zdolności widzenia w ciemności dziwacznie się wyostrzyły; mogłabym przysiąc, że widziałam całkiem wyraźnie parę sów siedzących wysoko na buku, za składzikiem na narzędzia. Siedziały przytulone do pnia drzewa i wtedy zobaczyłam, że jeden z ptaków wyciągnął się na tyle, że przypominał wielkością i sztywnością polano drzewa, a jego głowa obraca się w koło w niespotykany sposób. Ptak obserwował coś, co działo się za drzewami.

83

Światło, żółte światło tańczyło i opadało. A razem z nim, choć ze znacznie dalszej odległości, śpiewali ludzie. Nigdy nie słyszałam tej pieśni: niski dźwięk przypominający pogrzebowy, monotony śpiew, mało melodyjny, ale z równym, mocnym rytmem, który wiązał się, a z czasem przejął bicie serca, odczuwane coraz wyraźniej, gdy wychyliłam się przez okno. Jakbym patrzyła z wysokości na kołyszące się fale morskie; rytmiczne uderzenia, delikatne poruszania wiatru w gałązkach, oddalające się i powracające światło; wszystko po to, by pociągnąć śpiącego w ciemność, w noc.

Ale ja nie śniłam. Nie spałam. Pokój, ogród, wszystko było swojskie i niezbyt odległe; jakby w odpowiedzi na muzykę zabrzmiało trwożne szczekanie psa. Ten sam pies, byłam przekonana, którego szczekanie słyszałam poprzedniego wieczoru. A teraz koło mnie, na parapecie okna, znalazł się Hodża. Z groźnie naprężoną sierścią, z szeroko rozwartymi oczami, mruczając i prychając pokazywał zęby i język.

Tak, to kot czarownicy. To zaś, co usłyszałam i to, co zdradzało światło, to co zapraszało w głąb lasu, było spotkaniem czarownic. Sabatem miejscowych wiedźm. Zdawałam sobie z tego sprawę, jak gdyby świadomość tego zrodziła się w nagłym olśnieniu, niewątpliwie pochodzącym z zaczarowanego błysku światła. A więc to prawda, że istnieją jeszcze czarownice. A może to prawda, że kuzynka Geillis była jedną z nich? Czy było to więc znakiem, że ja, Geillis z Thornyhold, byłam wybraną następczynią? Była to uparta myśl i przez całe moje ciało i mózg przebiegał prąd magicznej mocy, silny, chłodny, rozkoszny. Hodża zeskoczył z parapetu w ciemność, a ja, wychylając się, by go złapać, gdyż odległość była zbyt duża nawet dla kota, straciłam równowagę i upadłam.

Nigdy nie dotarłam do ziemi. I naprawdę to wcale nie upadłam. Wiatr, powiew mocnego powietrza wyrwał mnie z okna i pociągnął w górę, wysoko ponad drzewa z taką łatwością, jak

gdybym była ptakiem lub zeschlým liściem. Powietrze wokoło było sprężyste i stawiało opór jak woda. Mogłam kontrolować swój lot, prawie jak gdyby było to pływanie. Potrząsnęłam głową i moje włosy płynęły na wyścigi z wiatrem. Otworzyłam usta i wciągnęłam powietrze. Każdym porem skóry, każdym włoskiem odczuwałam ekstazę. Była w tym siła i moc.

Cokolwiek miało się zdarzyć było warte tych przeżyć!

84

Poniżej rozpościerał się ciemny, cichy las, jak gdyby wcale nie było wiatru. Prąd powietrza, który mnie unosił, płynął wysoko między ciemnymi gałęziami i gwiazdami. Unosiłam się ponad księżycem. Ten opadał coraz niżej, wkrótce zniknęły drzewa, a przede mną wyrosło w ciemności wzgórze i czarnym łukiem przekreśliło tarczę księżyca. Na wzgórzach, rozrzucone chaotycznie na murawie leżały masywne bloki kamienne, zwalone lub sterczące w górę.

Światło, które wyrwało mnie z okna poruszało się między nimi, ginęło i ukazywało się na przemian.

Zaczęłam spadać w ich kierunku, lądując bez wysiłku, tak lekko jak rybitwa na wodzie. W odległości kilku metrów leżał ogromny głaz, a na nim misa z płomieniem skaczącym po słodko pachnącej oliwie, która ją wypełniała. Przy misie coś się piętrzyło, pióra? Może skrzydła? Czarny gołąb z ukreconą szyją.

Wśród kamieni pełzały cienie. Ludzie. Trudno ich było dostrzec, ale ze wszystkich stron dochodził ten sam rytmiczny śpiew bez słów, który przyniósł mi wiatr do Thornyhold. Nieśmiało, nie przerażona, ale pełna obaw i obezwładniającego podniecenia, zbliżyłam się do połyskującego światłem głazu. Czułam pod bosymi stopami lodowate zimno. Było mi potrzebne. Ciągle jeszcze paliła mnie gorączka, jak gdybym była zanurzona w gorącej wodzie. Oszałamiająca euforia opuszczała mnie. Bolały mnie oczy. Światło, choć delikatne, dokuczało; pod powiekami czułam piasek. Wyciągnęłam rękę w kierunku leżącego głazu. Ze śpiewu, który wzrastał i nabierał siły wywnioskowałam, że wśród stojących bloków kamieni skupiają się cienie ludzi. Księżyc prawie zniknął. Wypełniał tylko miedziany pierścień, a chmura zostawiła ślady na tarczy.

Ktoś stał między mną a kamieniem. Była to wysoka kobieta, ubrana w długą szatę, która powiewała wokół niej. Przypominała mi kogoś, jakby wspomnienie sceny na łące, gdy miałam sześć lat.

— Kuzynka Geillis? - krzyknęłam, ale nie usłyszałam żadnego dźwięku. Kobieta nie poruszyła się, ale usłyszałam szelest u moich stóp, stanęłam i spojrzałam w dół. Wśród trawy, piszcząc i sapiąc, stał jeź. Nisko przeleciał ptak. Nawet w martwym świetle księżycy widziałam błysk ciemnego błękitu kosa. Hodża skoczył w pogoni za nim; był tuż obok, mały cień wśród innych cieni. Zasyczał między moimi stopami i popchnął mnie. Upad-

85

łam na twarz. Murawa była zadziwiająco miękka i już nie była zimna.

Chwyciły mnie czyjeś ręce i odwróciły na plecy. W Żółtym świetle, płynącym w ciemności, zobaczyłam twarze. Większość z nich była mi nieznana, ukryta za mgłą, a pod moim spojrzeniem zmieniały się, jak twarze we śnie. Były jednak dwie, które pozostały niezmienione i które znałam.

— Czy będzie z nią dobrze? - spytał Jessamy Trapp. W jego głosie odczułam niepokój.

— Tak, wszystko będzie dobrze. - Agnes uśmiechnęła się do mnie, tryumfująca, zadowolona z siebie. - Byłam tego pewna. Wszystko w porządku, proszę pani..., a następnym razem będzie jeszcze lepiej. Teraz proszę zamknąć oczy i wszystko będzie jak przedtem.

Zanim skończyła, moje oczy pośpiesznie się zamknęły, jak oczy lalki, która nie decyduje za siebie. Znowu miałam mgliste wrażenie, że płynę i unoszę się, a potem już żadnych wrażeń. Jak gdyby polecenie Agnes zaćmiło moją świadomość... Prawdopodobnie albo zemdlałam, albo zapadłam znowu w głęboki sen, gdyż kiedy wreszcie znowu otworzyłam oczy, byłam w łóżku w Thornyhold, okna były zamknięte, kot Hodża spał u moich stóp i był już poranek. Obudziłam się i uznałam, że to był sen.

Potrzebowałam trochę czasu, by otrząsnąć się z tego dziwnego snu, mglistego i przytłaczającego. Musiał to być przecież sen. Teraz, w łagodnym świetle dziennym, uważanie go za magię czarnoksiężką było absurdalne.

Na pewno tak było. Wyciągnęłam się na poduszkach i zastanawiałam się, co się stało.

Jednak

podświadomie czułam, że coś się stało. Naprawdę; bardziej wierzyłam w to, że spędziłam noc szybując w powietrzu, by spotkać się z czarownicami, niż w to, że miałam burzliwe sny we własnym łóżku. Teraz bolała mnie głowa. Uczucie piasku pod powiekami jeszcze trwało. Odczuwałam także delikatne ciepło na skórze. Pościel pachniała potem i choć wiedziałam, że pocenie szło w parze z gwałtownymi przeżyciami sennymi, to jednak ten zapach był trochę inny.

Ale czy to oznaczało, mój Boże, że fruwałam? Fruwałam nad lasem? Że obserwowałam



taniec czarownic nad głazami Druidów i próbowałam dotrzeć do tego, co było przypuszczalnie

86

światłem na ich ołtarzu, a wśród tłumu krążyli Agnes i Jessamy? Śe widziałam wysoki cień przypominający kuzynkę Geillis i zdechłego gołębia ze strychu Thornyhold? Powtarzałam sobie, że wszystko wskazuje na to, że to były koszmary nocne. Sen składał się z wrażeń wczorajszego dnia i dalekiej przeszłości — jeź, kos, sama kuzynka Geillis. Przyjmując zaś, że działo się to naprawdę, jak Trappowie mogli sprowadzić mnie z powrotem na ziemię? Jak dostali się do środka? Zarówno drzwi frontowe, jak i kuchenne były zamknięte i zaryglowane. A teraz, w świetle dziennym, słuchając strzyżyka śpiewającego w krzewach

ogrodu, nie przyjmowałam do wiadomości, że wfrunęli ze mną przez okno mojej sypialni i, za sprawą czarów, zamknęli je na zatrzask po wyfrunięciu z pokoju?!

Właśnie Hodża otworzył oczy, wysunął łapę i przeciągnął się.

— Czy fruwałaś ostatniej nocy? - spytałam go.

Nie było odpowiedzi. Kot z całą pewnością poruszał się w nocy, gdyż ułożył się do snu tuż przy mnie, a teraz leżał na końcu łóżka, na zostawionym tam szlafroku.

To oczywiście niczego nie dowodziło. Ale zdrowy rozsądek (nietrudno o niego w świetle dziennym) mówił mi, że Hodża był po prostu częścią koszmaru, który prawdopodobnie został

spowodowany duchotą w pokoju. Zapomniałam bowiem otworzyć okno...

Nie zapominałam otworzyć, jak sobie przypominam, zrobiłam to, tuż przed pójściem do łóżka. A teraz było zamknięte.

Usiadłam wpatrując się w zamknięte okno, podczas gdy zdrowy rozsądek przegrywał bitwę z wyobraźnią. Być może, mówiłam sobie, wiekowy mechanizm do opuszczania okien ustąpił ze starości i ciężkie okno samo przez się spadło (nie budząc mnie?), a w ciepłym pokoju spałam

bardzo mocno i miałam złe sny. Sny wystarczająco żywe, by wyczerpać mnie i pozostawić rodzaj kaca. Teraz jednak obudziłam się i był to piękny słoneczny dzień, normalny dzień, kot był w domu i czekało na mnie dużo pracy. Praca, lekarstwo na każdy koszmar. Na początek postanowiłam sama posprzątać mój pokój i zmienić raz jeszcze całą bieliznę pościelową. Odrzuciłam kołdry, spuściłam nogi z łóżka i sięgnęłam po szlafrok.

— Chodź - powiedziałam do kota - będziesz musiał... - Nie

87

skończyłam zdania, gdy kot poruszył się wraz ze mną i teraz skoczył na podłogę ziewając i przeciągając się. Tam gdzie leżał, na moim szlafroku, zobaczyłam parę żdźbeł trawy, splaszczonych pod jego ciężarem podczas snu, a w połowie drogi między łóżkiem a oknem, na zielonym tle dywanu, leżał żółty zeschnięty liść.

Miałam w pamięci przeczytany kiedyś ustęp z Coleridge'a. Nie mogłam zacytować go dokładnie, ale siedząc na brzegu łóżka, z jedną ręką wyciągniętą po szlafrok, przypominałam

sobie sens słów, które pokonały słabo opierający się zdrowy rozsądek.

Jeśli człowiek we śnie mógł wędrować w Raju i dano mu kwiat na znak, że jego dusza rzeczywiście tam była i jeśli znalazł ten kwiat w ręku po obudzeniu, to co wtedy?

— Faktycznie, co wtedy?

Nie było odpowiedzi dla kobiety, która przeszła przez cienisty przedsionek Zaświatów i po obudzeniu znalazła zeschniętą roślinę jako dowód...

Z góry odezwał się odgłos stukania, drapania pazurów. Hodża gwałtownie spojrział w górę, Żółte oczy zwężyły się i skoncentrowały.

— Zapomniałam zanieść wodę na górę - powiedziałam głośno, lecz by to powiedzieć,

musiałam odchrząknąć. Teraz chwyciłam szlafrok, odesłałam Coleridge'a do jego narkotycznych cieni i poszłam wziąć kąpiel.

Po kąpeli i ubraniu się sen stracił ostrość, tak jak to dzieje się ze snami, a wrażenia jakie wywołał jeszcze bardziej osłabły. Zanim zrobiłam śniadanie wypuściłam na dwór kota kuchennymi drzwiami i wtedy dopiero nalałam wody do emaliowanego dzbanka i zniosłam go na strych.

Delikatnie otworzyłam drzwi i weszłam do środka. W mansardzie były dwa gołębie. Jeden, przyjaciel od wczoraj, zbierał ziarno z podłogi, ale na parapecie okiennym, patrząc na mnie oczami koloru meksykańskiego opala, siedział nowy gołąb, błękitno szary, z białymi pstrokatymi skrzydłami. Z jego gardła wydobywał się delikatny dźwięk, przestępował z jednej nogi na drugą, jak gdyby był zdenerwowany. Rozrzuciłam garść ziarna i schyliłam się, by nalać wodę do korytka. Błękitno szary gołąb sfrunął od razu na podłogę i pochylił się nad wodą.

Wtedy zobaczyłam obrączkę na jego nodze.

Delikatnie, uważnie złapałam ptaka. Nie próbował uciekać.

Udało mi się odczepić maleńką obrączkę. Wtedy postawiłam ptaka z powrotem na podłodze, by mógł się pożywić.

Przy świetle okna rozpostarłam cieniutki papier. Było w nim przesłanie wypisane dużymi literami: *WITAM CIĘ, MOJA DROGA, KUZYNKA GEILLIS.*

Zanim wyjechałam do Arnside, wkrótce po południowym posiłku, starannie zamknęłam drzwi frontowe i kuchenne.

Arnside jest przyjemnym miastem targowym z kilkoma dobrymi sklepami, brukowanym rynkiem i kościołem raczej za dużym na dzisiejsze potrzeby. Nie za bardzo można było wybierać, jeśli chodzi o sklepy. Zdecydowałam się szybko i zarejestrowałam się na towary spożywcze i mięso. Zakupiłam to, co było możliwe, a potem poszłam do banku i przedstawiłam się sympatycznemu dyrektorowi o nazwisku Thorpe, który ciepło mówił o mojej kuzynce Geillis i wydawało mi się, że chętnie pomoże mi w każdej sprawie, jeśli będę tego potrzebowała. Doręczyłam dokumenty z firmy Martin i Martin, podpisałam odpowiednie papiery, aby otworzyć nowy rachunek bankowy i zostałam powiadomiona o nad wyraz obiecującym stanie konta. Gdy zapytałam o możliwości instalacji telefonu, pan Thorpe zadzwonił w moim imieniu do kilku miejsc. Powiedział mi, że ciągle jeszcze nie jest to łatwe, ale ponieważ Thornyhold leży na odludziu, uważa, że może przyspieszyć moją sprawę i telefon z pewnością będzie założony przed nastaniem zimy. Powiedział także, że owszem, zna garaż Hannakera w St. Thorn i jeśli będę widziała konieczność zakupu samochodu, znajdę się w dobrych rękach.

Wreszcie, na moją wzmiankę o pani Trapp, połączył się z firmą Martin i Martin i wyszedł z pokoju, kiedy wzięłam do ręki słuchawkę. To co od nich usłyszałam, uspokoiło mnie.

Oczywiście, zawiadomili panią Trapp o bliskim przyjeździe panny Ramsey we wrześniu, a panna Saxon zatrudniała ją od czasu do czasu. Pani Trapp miała własny klucz, czy raczej wiedziała, gdzie klucz wisiał. Wyciągając z tego wniosek, adwokaci uznali, że będzie najodpowiedniejszą osobą do przygotowania domu na mój przyjazd. Mieli nadzieję, że wszystko było w porządku? Czy jestem zadowolona ze stanu rzeczy, jaki zastałam po przyjeździe? Za-

90

pewniłam ich, że tak, podziękowałam, podziękowałam panu Thorpe, a potem, pod wpływem wiadomości o stanie konta, weszłam do sklepu tuż obok i zakupiłam, z uczuciem całkiem absurdalnej przyjemności, pierwszy prezent dla mojego nowego domu: kilka ścierek do naczyń i trzy żółte ściereczki do kurzu.

Wtedy udałam się w drogę powrotną. Po jakiejś mili skręciłam w pustą drogę wiejską, która wiała się w cieniu wysokiego nasypu, porośniętego bluszczem i ukoronowanego drzewami. Od czasu do czasu pojawiały się wzdłuż drogi, od dawna nieeksploatowane, kamieniołomy, gdzie kiedyś wydobywano kamień drogowy. Teraz porastał je gąszcz tarniny i jeżyn, a na czerwonych dojrzewających jagodach odbijały się migoczące promienie słoneczne.

Przypominałam sobie puste słoje w składziku na narzędzia, czekające na galaretkę jeżynową, którą zamierzałam zrobić.

Z takich małych rzeczy składa się szczęście. Naciskałam pedały przy wtórce metalowych puszek w koszyku i wkrótce skręciłam w kierunku bramy prowadzącej do Thornyhold.

Kiedy mijałam bramę wejściową, zobaczyłam Agnes w maleńkim ogródku położonym z boku, zdejmującą ze sznura ręczniki i parę kraciastych koszul Jessam'ego. Powiesiła woreczek z klamerkami do wieszania bielizny na sznurze i zamachała ręką, zbliżając się do mnie. Zatrzymałam się, a ona podeszła z uśmiechem.

— Była pani w mieście?

— Tak i wyprawa bardzo się udała. To piękna trasa dla roweru. Od lat nie jeździłam na rowerze, ale to prawda, że nie zapomina się tej umiejętności. Zanim dojechałam do końca alei, już czułam się na rowerze doskonale, a na głównej drodze nie było dużego ruchu.

— Zdarzają się trudne sytuacje, kiedy zjeżdżają farmerzy w dni targowe. Ale to miłe miasto.

— Bardzo. Nie zwiedziłam go tak naprawdę, gdyż chciałam szybko wracać, ale wygląda na to, że jest wiele do zobaczenia. Kościół jest piękny z zewnątrz, prawie jak katedra. Czy mają tutaj dobrą muzykę?

— Muzykę? - wyglądała na zakłopotaną - Niewiele wiem o muzyce. Nigdy zresztą nie byłam w środku. Chodzi więc pani do kościoła?

Zaśmiałam się. - Wychowywano mnie w dyscyplinie chodzenia do kościoła z regularnością zegara.

91

Szybkie spojrzenie. - Inaczej niż pani ciotka.

— Nie ciotka, ale kuzynka. Nie zaskakujesz mnie. Pamiętam, że nie była zbyt wierząca.

— Hm... - Skinienie głową, jakby potwierdzające. A potem jeszcze jedno badawcze spojrzenie na mnie.

— Czy wszystko w porządku w domu? Wygląda na to, że pani nie spała dobrze. Czy ptaki ze strychu nie przeszkadzały? Jessamy powiedział mi o gołębiu. Różne odmiany wchodziły tam szukając pożywienia. Wstrętne stworzenia. Robactwo, tak je nazywam, ale ona kochała je wszystkie, gdyż była prawdziwą damą. Pewnie nie dały pani zasnąć?

— Nie. Był tylko jeden i nie słyszałam go wcale.

— Powinna pani dać go Jessam'emu, by wyniósł go razem ze zdechłym ptakiem. I zamknąć to okno na górze.

— Myślę o tym. Ale spałam zupełnie dobrze, dziękuję.

— A więc w porządku. Tylko zdawało mi się, że wygląda pani dość marnie. Nie ma mi pani za złe tego pytania?

— Oczywiście, że nie. - Pytania, z pewnością trochę zbyt liczne, by były tylko zdawkowym zainteresowaniem, kazały mi ją sprawdzić.

— Prawdę mówiąc miałam zły sen.

— To przykre, jeśli jest pani sama w domu. O czym był sen? - To nie było obojętne pytanie.

— Już nie pamiętam - powiedziałam niedbale. - Jednak, nie. Było tam coś z muzyki. Ale wiesz, jak to jest ze snami. Zdają się bardzo żywe, a po przebudzeniu znikają.

— Myślałam, że może to było o mnie, jeśli to był zły sen. - Zaśmiała się wesoło, patrząc na mnie bokiem.

— A jednak... - powiedziałam powoli - Zdaje się, że w jakiś sposób w nim się znalazła...

Ale to brzmi nieuprzejmie... Ależ tak, miałam cię o coś spytać. W nocy słyszę szczekanie psa i zdaje się całkiem blisko. Czy wiesz czyj to pies i gdzie mieszka? Tak się zastanawiam, czy nic złego się nie działo?

— Trudno powiedzieć, muszę przyznać. Wkrótce przyzwyczai się pani do hałasów na wsi. Ja sama nic nie zauważyłam.

— To nieważne, muszę już wracać. Ale pani Trapp...

— Agnes. Proszę nazywać mnie Agnes.

— A więc Agnes. Kiedy dojrzewają tutaj jeżyny, aby można było robić dżem?

92

— Jeśli dalej będziemy mieli słońce, za tydzień będzie ich bardzo dużo. Rosną przy drodze, którą pani jechała.

— Wiem, widziałam je.

— A więc robi pani własny dżem?

— Tak, to znaczy jeśli znajdę przepis. Panna Saxon zostawiła spory zapas cukru. Z jeżyn zrobię raczej galaretkę niż dżem, ale nigdy nie pamiętam proporcji, a moje własne książki jeszcze nie nadeszły. Czy masz dobry przepis?

— Mam, ale lepiej skorzystać z przepisu panny Saxon. Ona ma mnóstwo książek, znajdzie tam pani i przepis. Bez przerwy próbowała nowych sposobów, a jeśli okazywały się udane, zapisywała je. Jej dżemy i inne przetwory były naprawdę smaczne. Lepsze niż czyjekolwiek.

— Jeśli więc znajdę przepis, to go zastosuję. Czy nie dała go tobie?

— Nigdy nie dawała nikomu swoich przepisów. Ale jeśli pani znajdzie jej notatki i nie będzie miała nic przeciwko temu, chętnie je zobaczę. Trochę szukałam w kuchni, kiedy odkurzałam książki, ale tam nie znalazłam. Sądzę, że są w zielarni, razem i miksturami, które tam przygotowywała. Robiła wino i różne inne rzeczy, nazywała je kordiałami, a były bardzo dobre. Ale h ciążę ostatniego roku nie zadawała sobie już tyle trudu. A czy pani robi wino?

— Nie, ale chciałabym się nauczyć. Poszukam przepisów i możemy spróbować.

— Chętnie skorzystam. A czy pani robi własne wypieki? - spojrzała na mąkę do wypiekania chleba w moim koszyku. - Dostała więc pani swój przydział żywności. Ładna kura. Czy u Bojlera? Miała pani szczęście, bo widzę, że sprzedał pani dwa jajka. W tych czasach mają wartość złota, proszę uważać, by puszki ich nie uszkodziły. Jeśli pani zechce, mogę dać na nie pudełko.

— Dziękuję, ale nie warto. Jestem o krok od domu i bardzo uważam. Potem będę dostawała tylko jedno na tydzień. Dzisiaj wykupiłam przydział na dwa tygodnie.

— No tak - powiedziała Agnes - kiedy lepiej pozna pani ludzi... - zatrzymała się, a potem dodała znacząco: - Pani ciotce nigdy niczego nie brakowało, o ile wiem.

— Tak wygląda. Od widoku jej spiżarni serce rośnie. A więc, do widzenia Agnes. Mamy piękny dzień do suszenia bielizny, nie-

93

prawdaż? Wywiesiłam swoje pranie i sądzę, że jest gotowe do prasowania.

Kiedy wróciłam do domu, wtoczyłam od razu rower do komórki i zaskoczyło mnie, że drzwi kuchenne są szeroko otwarte. Na schodkach stał William.

— Jak dostałeś się do środka, Williamie?

Nie odpowiedział. Promieniał z podniecenia.

— Czy pani wie, że powrócił Hodża?

— Tak, wrócił wczoraj wieczorem. Ale jakim sposobem wszedłeś do domu? Wszystko w porządku. Nie mam nic przeciwko temu, widząc że to ty, ale byłam pewna, że zamknęłam drzwi na klucz, a wiem, że drzwi kuchenne były zamknięte na zasuwę. Wyszedłam frontowymi.

— W oknie kuchennym z tyłu jest zepsuta kłamka. Uszkodzona była od dawna, ale panna Geillis nie zwracała sobie tym głowy. Kiedy tu przyszedłem, kot siedział na oknie i

pomyślałem, że dopiero powrócił i że jest głodny, dlatego wspiałem się do okna i dałem mu trochę mleka. Czy pani na pewno się nie gniewa?

— Nie.

— Powiedziała pani, że kot wrócił. Jak go pani znalazła? Gdzie był?

— Wrócił sam, wczoraj, późnym wieczorem. Był strasznie głodny i wyglądał, jakby ktoś mocno go przestraszył. Ale Williamie, czy wiedziałeś, że panna Geillis trzymała gołębie?

— Oczywiście. W mansardzie. Przylatywały tam wszystkie ptaki. Ja zwykle pomagałem je karmić. Ale zanim poszła do szpitala, przyszedł ktoś z wielkim koszem i zabrał je. Proszę mi dać pani koszyk. Ależ on jest ciężki. Ach, ma pani dwie puszkę pożywienia dla kotów i czyż to nie ryba tak pachnie? Niepotrzebnie pytałem, czy Hodża powrócił. Wygląda na to, że tylko on będzie jadł.

Śmiała się idąc z nim. - Kupiłam kurę i aż dwa jajka, a więc nie będę głodować jeszcze jakiś czas, chyba że kot skorzysta z moich zapasów.

— Prawdopodobnie tak się stanie. Ale przyniosłem pani parę jajek. Przysyła je mój tata. Dlatego właśnie przyszedłem. Jest ich dwanaście, wszystkie ciemne. Położyłem je na stole kuchennym.

94

— O, jak to miło. Dziękuję bardzo. Podziękuj ode mnie twojemu ojcu. Gdzie jest twój dom, Williamie?

— W górę, w kierunku Tidworth. Nazywa się Boscobel. Kiedyś nazywano go Farmą Tagga, ale tata zmienił nazwę.

— Boscobel jest przyjemniejszą nazwą niż Farma Tagga. Czy twój ojciec jest farmerem?

— Nie. Teraz to nie jest farma, tylko dom. Tata pisze.

— Co pisze?

— Książki. Nigdy żadnej nie przeczytałem do końca. Próbowałem kiedyś, ale trochę trudne. Zdaje się, że jest dość sławny, ale nie pisze pod swoim nazwiskiem.

— Jakie to nazwisko?

— Peter Vaughan. Czy pani czytała coś jego autorstwa?

— Obawiam się, że nie. Ale z pewnością znam to nazwisko. Będę musiała poszukać jego książek, teraz, kiedy poznałam ciebie. Czy on teraz pisze?

— Tak i zazwyczaj jest wtedy wściekły. Wychodzę więc - powiedział krótko William. - Przeszkadzam mu w domu w takich chwilach.

Robiło to wrażenie echa często słyszanych uwag. Uśmiechnęłam się.

— A twoja matka? Czy ona też ukrywa się wtedy?

— Jeszcze lepiej. Opuściła nas - powiedziane to było całkiem obojętnym tonem. - Czy Hodża jadł już obiad?

— Tak. Zanim wyjechałam do miasta. Ale, jeśli chcesz, możesz mu dać kawałek ryby, zanim zdejmem płaszcz.

Kiedy wróciłam do kuchni kot był pod stołem, z brodą w miseczce, a William klęczał przy nim. Jego twarz była skupiona i pełna czułości. Pomyślałam o moim własnym dzieciństwie, w którym pełno było praktycznej troski, ale nie uwzględniano w nim prawdziwych potrzeb samotnego, obdarzonego wyobraźnią dziecka. Zastanawiałam się, jak to jest możliwe, że chłopiec o żywym charakterze zdawał się być tak szczęśliwy, przebywając najpierw z moją kuzynką, która mogła być jego babką, a obecnie ze mną. Teraz wiele się wyjaśniło: zajęty sobą ojciec, nieobecna matka, długie dni wakacji szkolnych. Nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, że pozwalam mu przychodzić tutaj i pomagać sobie; przypuszczalnie jego ojciec wie, gdzie on jest, ale któregoś dnia muszę poszukać drogi do Boscobel, przedstawić się i sprawdzić, czy dziecko nie jest potrzebne we własnym domu.

95

William spojrział na mnie. - O czym pani myśli? Wygląda pani na zasmuconą.

— Nie jestem smutna - powiedziałam - i nie myślałam o czymś szczególnym. Pierwsze było prawdziwe, w drugim - skłamałam. Myślałam o trzech sprawach. Po pierwsze, że Agnes Trapp zbadała zawartość mojego koszyka i nie uznała za stosowne zrobić uwagi na temat paru puszek z pożywieniem dla kota i wilgotnego, pachnącego pakunku skrawków ryby, który oddzielał jajka od puszek. Kobieta, która o wszystkim miała coś do powiedzenia?

Stąd wynika, że wiedziała o powrocie Hodży.

Poza tym, z pewnym zainteresowaniem spytała, jak spałam w nocy.

Po trzecie, jeśli ktoś wiedział o zepsutej kłamce w oknie z tyłu domu, mógł wejść do środka ostatniej nocy. Jeśli William mógł się wcisnąć do środka i otworzyć drzwi, to tak samo mógł to zrobić Jessamy.

Szalona myśl, tak szalona jak nocny koszmar, ale czy to możliwe, żeby Agnes i jej syn Jessamy byli w mojej sypialni ostatniej nocy i przynieśli źdźbła trawy i suchy liść? Czy w momencie mojego przebudzenia rzeczywiście pochylali się nad moim łóżkiem i spostrzegli Hodżę - choćby na krótką chwilę - bo z pewnością zeskoczył z poduszki i schował się?

Ale dlaczego? William powiedział mi, że Agnes wyróciła dom do góry nogami „szukając czegoś”, a ja, z jej punktu widzenia, z pewnością przyjechałam zbyt szybko. Odrzuciłam jej pomoc w sprzątaniu i od tego czasu zamykałam dobrze drzwi. Ale, tak naprawdę, to wszystko jest absurdalne. Jeśli chciała przeszukać dom, mogła poczekać aż wyjdę, jak dzisiaj, a nie zakradać się w nocy i ryzykować, że mogę się obudzić. Chyba, że domieszała mi coś do jedzenia, abym mocno spała. Jeszcze bardziej absurdalne. Jak? Kiedy? Gdy byłam na górze w łazience? Hałas, który słyszałam? Łatwiejsze pewnie było dodanie czegoś do zapiekanki, którą mi dała na kolację? Jakiegoś leku, by sen był twardy, a ten wywołał nieprawdopodobny koszmar? Zapomnij o tym Gilliy i nie myśl źle o tej kobiecie. Uwierz, że jest bardzo życzliwa

i pomocna, i że w tym domu i w jego sprawach nie ma nic niesamowitego, gdyż Thornyhold jest rajem i kochasz go.

— Williamie - powiedziałam nagle - o której przyszedłeś tutaj dzisiaj?

96

— Około drugiej. Musiało to być wkrótce po pani wyjeździe, gdyż pani Trapp przyszła zaraz

potem i powiedziała, że widziała panią przejeżdżającą przez główną bramę.

— Była tutaj?

Coś uderzyło go w moim tonie. Przyglądał mi się, kiedy posiedział: - Tak.

— Jaki był powód jej przyścia?

— Nie powiedziała. Powiedziała tylko, że to dziwne, że uprała pani znowu prześcieradła, które były świeżo położone i chciała wziąć jajka, by położyć je w spiżarni i wnieść prześcieradła do środka, bo były suche. Powiedziałem, że to niemożliwe, gdyż drzwi są zamknięte, a pani zabrała klucz i że ja popracuję trochę w ogrodzie i zaczekam na panią. Milczałam.

— Widzi pani, ja zamknąłem ponownie drzwi. Po tym jak dałem kotu mleko, wyszedłem, aby wnieść jajka - nie mogłem ich przenieść wspinając się przez okno - i wtedy zobaczyłem ją zbliżającą się od strony lasu, więc zamknąłem drzwi i włożyłem klucz do kieszeni. Westchnęłam.

— Pomyśli, że nie mam do niej zaufania - powiedziałam niepewnie.

— Panna Geillis nie ufała jej. Powiedziała mi to.

— Tak? - Jakieś pozostałości wychowania wiktoriańskiego zwróciły mi uwagę, jak niewłaściwe było pozwolić dziecku tak mówić, lecz William był bardziej wrażliwy niż wielu dorosłych moich znajomych. Poza tym musiałam się dowiedzieć.

— Czy powiedziałaś jej, że Hodża powrócił? Czy może zobaczyła go?  
— Nie. Po wypiciu mleka poszedł na górę. Nie powiedziałem jej, ponieważ ona go nienawidzi. Dlatego uciekł. Po śmierci panny Geillis pani Trapp miała zamiar go utopić.  
— Williamie!  
— To prawda. Słyszałem, jak to mówiła.  
— Komu?  
— Jessamy'emu. On jest w porządku, ale trochę ograniczony, strasznie się jej boi i robi wszystko, co mu każe.  
— Rozumiem. - Wiele spraw zaczynało mi się wyjaśniać. Uznałam, że jego obawy są uzasadnione.

97

— To dlatego tak się martwiłeś po zniknięciu Hodży? - Pokiwał głową. - Widokiem nietkniętych miseczek z jedzeniem?  
— Tak. Nie przyznałem się do tego, bo nie chciałem martwić także pani.  
— Wiesz, możliwe, że miałaś rację z miseczkami. Zapewne nie widziałeś miejsca zaśmieconego zdechłymi ptakami i myszami polnymi?  
— Nie. - Uspokojony uśmiechnął się. Zadowolony, że go nie wyśmiałam.  
Mnie oczywiście było bardzo daleko do śmiechu. Po chwili milczenia powiedziałam wolno:  
— Tak. Wszystko to może być prawdą, ale trzeba być w dobrych stosunkach z sąsiadami, a więc bądź pobłażliwy dla pani Trapp, nawet jeśli jej nie lubisz, dobrze? A nawet, co jest ważniejsze, jeśli Hodża jej nie lubi. Jak dotąd była dla mnie bardzo dobra i chciałabym, aby to trwało. O.K.?  
— O.K. - powiedział rozsądny William. - Była życzliwa dla taty i dla mnie. Robiła dla nas ciastka i różne rzeczy, a gotuje kapitalnie. Ale miała zwyczaj pozostawać u nas i mówiła bez przerwy, a tata nie znosił tego. Mówiłem pani, że ja też muszę wychodzić, kiedy on pracuje. Prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko niej. Gdyby nie kot.  
— Prawdopodobnie żartowała tylko. To nie takie proste utopić dorosłego kota, nawet gdyby dał się złapać. W każdym razie, teraz nic mu nie grozi.  
— Ani nam - powiedział William, trochę do siebie, a trochę do Hodży, który zostawił miseczkę i zaczął myć pyszczek.  
— Teraz pójdę trochę popielić, jeśli pani sobie życzy. - Zatrzymał się w drzwiach. - Przy okazji, czy pani widziała, że pompka od roweru jest z powrotem na swoim miejscu? Jest na półce w składziku. Spodziewam się, że przyfrunęła.

14

Nastała piękna jesień. Słoneczne dni były bezwietrzne, a tylko czasami powiew wiatru porywał z drzew parę liści. Najpierw kasztanowce przybrały złocistożółty kolor, następne były czereśnie z barwami purpury, szafranu i nefrytu. Ani śladu przymrozków. Astry i chryzantemy rozsiewały jeszcze słodki zapach, całe bogactwo woni. Któregoś dnia przy drzwiach frontowych znalazłam jesiennego krokusa, a na murze od północnej strony zaczynały pęcznieć przed zimą szorstkie baze leszczyny.  
Nigdy w życiu nie pracowałam tak ciężko fizycznie i z całą pewnością nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Nadszedł mój bagaż z meblami i różnymi rzeczami, których nie pozbyłam się z plebanii, a więc zanim zaczęłam wszystko urządzać, jak sobie obiecałam, zrobiłam gruntowne sprzątanie. Bawialnię, mały gabinet, jadalnię, hali - wszystko wymiotłam, wyszorowałam, wypucowałam. Któregoś dnia przyszedł Jessamy i zaproponował, że wejdzie na górę, by wyczyścić rynny na dachu. Agnes przyszła kilka razy, ponawiając oferty pomocy z taką natarczywością, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie potrzebuje pieniędzy. W końcu zgodziłam się, by wyczyściła nieużywaną dziś kuchnię, przybudówki na tyłach domu, a potem, muszę przyznać, że to było z rozmysłem, także gołębnik. Trzeba oddać jej

sprawiedliwość, że wykonała zadanie dobrze, ale zdaje się, że gołębnik przeważył szalę, gdyż potem, gdy już jej podziękowałam i zapłaciłam, nie powróciła więcej z propozycjami pomocy

i w ten sposób miałam wreszcie spokój.

Nareszcie dom, wyszorowany, wypolerowany i pachnący jesiennymi kwiatami, był tak czysty, jak tylko to było możliwe. Trzy czy cztery dni poświęciłam na przemeblowanie pokoi, by znaleźć miejsce na moje własne sprzęty, pozostawiając powieszenie obrazów - co zawsze wymaga dużo czasu - na koniec. Przewiesiłam większość obrazów z hallu i bawialni, po wyczyszczeniu ich,

99

ale odłożyłam kilka, by pomieścić moje własne kompozycje o tematyce kwiatowej, które malowałam dawno temu, a które mój ojciec uznał za zasługujące na oprawienie. Uważałam, że pasują do akwareli kuzynki Geillis, bardzo ładnych zresztą. Jej gust był konwencjonalny, ale subtelny: jak się wydaje, wszystkie jej odczucia i energia były skierowane na ogród i pracownię.

Jeden z jej obrazów zaintrygował mnie. Był to bardzo wyblakły, kolorowy rysunek Thornyhold, widzianej od strony tarasu; jego południowa strona, bez pnączy, robiła wrażenie trochę obce. Także ogród był inny, ze ścieżkami przecinającymi nisko przycięty trawnik i klombami kwiatów. Wysokość otaczających żywopłotów dochodziła zaledwie do piersi człowieka.

Nie było nic dziwnego w znalezieniu „widoku” domu wykonanego wiele lat temu, ale moja ciekawość wzbudził podpis: wpleciony monogram G.S. Czyżby Geillis Saxon? Z całą pewnością nie znała Thornyhold, kiedy tak wyglądał. W tym czasie mogła nawet jeszcze nie urodzić się. A więc kto? Byłoby zbyt fantastyczne, gdyby miała być jeszcze jedna Geillis... Fantazja poruszyła we mnie coś od dawna zapomnianego. Przyglądając się regularnym trawnikom i krzewom na rysunku, po raz pierwszy od czasów szkolnych pochłonęła mnie odwieczna tęsknota za malowaniem. Nie, by „być artystką”, nie ambicja wystaw w Londynie albo marzeń o wielkich płótnach wiszących na ścianach galerii, ale pragnienie utrwalenia piękna roztaczającego się wokół mnie, by raz jeszcze Thornyhold znalazła się na płótnie. Zacznę jeszcze w tym tygodniu i wkrótce, gdy nabiorę wprawy, uchwycę wygląd domu, tak jak go zobaczyłam - i poznałam - z całym zachwytem pierwszego dnia. A wraz z tym, w pewien sposób, wzmocnię moje prawa do niego.

Na razie trzeba doprowadzić do porządku ogród, tak jak to zrobiłam z domem.

William, zgodnie z przyrzeczeniem, przychodził od czasu do czasu, by pomóc w ogrodzie. Wspólnie wypieliliśmy i uprzątnęliśmy na zimę pas na froncie domu i rozpoczęliśmy pracę w

ogrodzie warzywnym i zagonach z ziołami. Większość zbiorów kuzynki Geillis będzie stracona, gdyż do tej pory nie bardzo wiedziałam, jak zbierać i suszyć jej rośliny, wiedziałam

jednak co robić z ziołami więc zebrałam rozmaryn, szalwię, tymianek i gałązki laurowe, a także wyszukałam słoiki do przygotowania ga-

100

laretki z jeżyn. Nie było owoców w sadzie (jeśli zebrała je rodzina Agnes Trapp w okresie bezkrólewia, to wszystko w porządku), ale będzie moc jeżyn. Jeśli dotrę do słynnej książki kuzynki Geillis, będę mogła skorzystać z nowych sposobów przygotowania tego, co pozostało w ogrodzie.

Ale wnikliwe poszukiwania nie dały wiele: tylko stary tom przepisów wiejskich, zebranych przed laty przez miejscowe Kółko Kobiące. Jeśli było coś szczególnego w konfiturach kuzynki Geillis, to niestety musiało pozostać tajemnicą, ale dzemy i galaretki w książce K.K.



opisane były wystarczająco i ten obszerny zbiór przepisów musiał obecnie wystarczyć.

Któregoś pięknego dnia zrobiłam sobie wakacje i pojechałam zbierać jeżyny.

William wskazał mi z grubsza kierunek. Przez furtkę w bramie z boku domu, wzdłuż leśnej ścieżki, potem aleją z wyrytymi koleinami, prowadzącą w końcu, jak powiedział William, do

dawnych kamieniołomów, znajdujących się wśród dużych pastwisk. Od dawna nie eksploatowane, porośły krzewami jeżyn, a ponieważ słońce docierało tu bez przeszkód, jagody wspaniale dojrzewały.

Przymocowałam koszyk do roweru i wyruszyłam w drogę. Była to kiepska jazda, ale pokonałam wreszcie trzy albo cztery mile (tymczasem odległość szosą wynosiła z pewnością sześć mil). Popołudniowe słońce mocno grzało i nie docierał tu wiatr. Na mój widok króliki zmykały po stromych ścieżkach skalnych i znikały wśród kamieni. W dole była woda, rodzaj sadzawki, otoczona wspaniałą, obskubaną przez owce, trawą. Rzeczywiście, były tam jeszcze owce, ale pierzchy na mój widok. Ich smętne beczenie odbijało się od skał kamieniołomów, przy akompaniamencie słodkiego śpiewu drozda. Nie było innych odgłosów. Kwitł jeszcze dziki tymianek, a tu i tam zwieszały swe kielichy dzwonki.

William nie wprowadził mnie w błąd. Miejsce było wielkim morzem jeżyn, jagody były duże i lśniły dojrzałością. Wzięłam się do roboty.

Gdy koszyk był prawie pełen, stopniowo uświadomiłam sobie, że beczenie owiec nie ustało wraz z oddaleniem się stada. Pozostał uporczywy, żalosny bek jednego zwierzęcia. Odrobinę zaciekawiona, ale i rada z okazji wytchnienia, wyprostowałam się

101

i rozejrzałam wokoło, żadnego śladu. W niskiej murawie przy wodzie gościła tylko pstrokata pliszka, rzucając się na owady zwabione ciepłym promieni słonecznych. Drozd sfrunął na krzak w pobliżu i cicho zanucił swój melodyjny refren. Gdzieś z gąszczu skłębionych jeżyn żaliła się owca.

Teraz, kiedy przysłuchiwałam się uważnie, rozpoznałam w tym głosie coś więcej niż typowe

utyskiwanie bez powodu. Był w tym strach. Postawiłam koszyk i poszłam zobaczyć, co się dzieje.

Owca zaplątała się w ciernistym gąszczu, jak biblijna owieczka Abrahama. Próbując się wydostać zaciągnęła tuzin kłujących gałązek, które utkwily w jej runie, a kiedy starała się uwolnić, inne gałęzie wbijały się w nią jak oszczepy i hamowały jej ruchy jak sieć

zarzucona

na ryby. Nie mogła się poruszyć w plątaniu jeżyn.

Na mój widok jeszcze raz zapłakała i zaraz ucichła. Ostrożnie torowałam sobie drogę przez kolczaste gałęzie i z trudem starałam się wyplątać ją z matni.

Było to straszne zadanie. Nie miałam rękawiczek, a by wykonać je, nie raniąc się, należałoby mieć grube, skórzane rękawice i sekator. Może nawet nożyce do przecinania drutu kolczastego, gdyż przy odciąganiu gałązek z runa owcy - co wymagało wielkiej siły, lecz, jak mi się zdawało, nie raniło wcale zwierzęcia - gałązki odskakiwały z powrotem i na nowo chwytaly wełnistą sierść, zanim zdążyłam sięgnąć po następne. A każdy taki ruch powodował

bolesne zadrapania rąk i ramion. Podrapana i krwawiąca, musiałam dać za wygraną i zaczęłam przeszukiwać kamieniołomy, pewna, że na pewno jakiś niedbały wycieczkowiec, nie bacząc na piękno krajobrazu, rzucił gdzieś butelkę lub puszkę z ostrym brzegiem.

Wkrótce znalazłam. Poza resztkami dawnego ogniska, w pobliżu sadzawki leżała rozbita butelka po whisky. Zaczęłam ciąć nią gałęzie jeżyn i odwlekać je na bok; po paru minutach wyglądało na to, że można będzie owcę wyciągnąć; bałam się jednak, że kiedy się zorientuje,

że jest wolna, może ode mnie uciec i znowu wpaść w kolczaste sidła.

— Co wyrabiasz na litość boską? - usłyszałam nagle tuż za mną wzburzony głos.

Poderwałam

się z miejsca i odwróciwszy się zobaczyłam, że zbliża się jakiś człowiek. Stąpał bezszelestnie

po aksamitnej murawie pokrywającej kamieniołomy. Był wzrostu więcej niż średniego, w ciemnych włosach widać było gdzieniegdzie

102

dzie parę siwych nitek, a szare oczy podkreślały ciemne brwi. Opalenizna o ciepłym brązowym odcieniu świadczyła o jego zdrowiu. Był ubrany w strój robotnika do pracy, ale głos zdradzał wykształcenie. Przez ramię miał przewieszoną lornetkę, a w ręku trzymał kij. Musi być pasterzem albo farmerem. Z ulgą otworzyłam usta, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, powtórzył ostro pytanie:

— Co u licha chciałaś zrobić z owieczką?

Patrzyłam oniemiała. Złapana na uczynku miłosierdzia, oczekiwałam, że pasterz skoczy mi na pomoc, ale on robił wrażenie zatrwożonego i zagniewanego.

— A co u licha wyobrażasz sobie? - odpowiedziałam opryskliwie. Zaraz jednak, idąc za jego wzrokiem, zdałam sobie sprawę, co zobaczył.

Moje ręce obficie krwawiły, a krew spływała na futro zwierzęcia. W zakrwawionej ręce trzymałam jedną z najstraszniejszych broni, stłuczoną butelkę.

Odezwałam się raczej cicho: - To moja krew. Czy uważa pan, że kaleczę ją z myślą o pieczeniu?

— O Boże! - powiedział. - Rozumiem. Kiedy jednak przyłapie się kogoś z rozbitą butelką w rękach i zobaczy całe miejsce we krwi... Bardzo mi przykro. Czy to duże skaleczenie?

— Prawdę mówiąc, nie. To nie są skaleczenia szkłem; używałam butelkę do ścinania tych przeklętych gałęzi. Była w nich całkowicie uwięziona, a teraz jest prawie oswobodzona, a ja rozpaczliwie podrapana. Czy może pan teraz pomóc?

— Oczywiście. Proszę wyjść z gąszczy, abym mógł się tym zająć.

Wyciągnął z kieszeni składany nóż i za pomocą kija zaczął odciągać pozostałe łądygi jeżyn, które więziły owieczkę. Masę ich odciął i zaraz podał mi koniec kija.

— Tym je proszę przytrzymać, a ja ją wyciągnę. Wzięłam kij i przytrzymałam kolczaste łądygi. Przedarł się

przez pozostałe kolczaste gałęzie, chwycił obiema rękami gęste futro owcy i cofnął się gwałtownie. Szła, ale dziko walczyła. On przytrzymał ją jednak i wreszcie wyswobodził.

Przeżrana próbowała znowu umknąć, ale udało mu się ją zawrócić. Płacząc żałośnie, czmychnęła bezpieczna na drogę, którą odeszły jej siostry. Z wyjątkiem śladów krwi i zwichrzonego runa, nie ucierpiała, zdaje się, wcale.

103

— Dziękuję - powiedziałam.

— Dziękuję pani - powiedział pasterz. - Gdyby nie pani, mogłoby to z pewnością zakończyć się jej śmiercią.

— Sam by pan ją znalazł.

— Tak to wygląda, ale to był czysty przypadek, że znalazłem się tutaj.

— I dzięki Bogu, że tak się stało. Nawet gdyby mi się udało uwolnić ją z kolczastych więzów, wątpię, czy dałabym radę stąd ją odciągnąć. Są nieprawdopodobnie silne. Oto pana kij.

Wziął go ode mnie. - Teraz pani ręce. Czy bardzo pokaleczone?

Wyciągnęłam dłonie. - Podrapane, ale wygoją się. Tyle krwawiły, więc sędzę, że nie są zanieczyszczone. Myśli pan, że woda jest w porządku? Chciałabym je umyć.

Uklękłam nad sadzawką i zmyłam ślady krwi. Zadrapań było dużo i powodowały ból, ale

tylko jedno było głębokie. Jeszcze ciągle obficie krwawiło. Stał bez słowa, a gdy skończyłam podał mi czystą chusteczkę. Zaprotestowałam szukając własnej, ale okazało się, że nie mam chustki.

— Proszę wziąć - nalegał - może ją pani zwrócić bez kłopotu. Mieszkam za tym wzgórzem. Chodźmy już. Przyłożymy coś na te skaleczenia. Na pewno znajdziemy i plaster. W każdym razie, sędzę, że filiżanka herbaty z pewnością dobrze pani zrobi.

— Chętnie się napiję - powiedziałam cicho.

— Czy ma pani wystarczającą ilość jeżyn?

— Prawie. Przecież mogę tu powrócić kiedy indziej. - Obejrzałam ręce. - Nie bardzo miałabym ochotę zbierać w tej chwili. Czy to jest pana ziemia? Czy przechodziłam przez pana grunty?

— Ależ nie. To wiejska ścieżka, a kamieniołomy nie są prywatne. Zanim zostały zasypane, o ile wiem, używali ich Cyganie w czasie postępu tutaj. Proszę mi dać koszyk. O, widzę, że pani ma rower.

— Czy to bezpieczne, zostawić tu rower, jeśli będę wracać tą samą drogą?

— Myślę, że tak, ale nie będziemy ryzykować. Będę go prowadził. Pójdziemy tędy. Ta droga jest stroma, ale znacznie krótsza.

Popychając rower zaczął iść szlakiem, którym oddaliły się owce. Szłam za nim. Kiedy doszliśmy do szczytów kamienio-

104

mów, zobaczyłam otoczony lasem buków niski szary budynek farmy, z rozciągającymi się z jednej strony zabudowaniami folwarcznymi. Słychać było uwijające się wśród drzew gawrony, bydło gromadziło się przy bramie, w miejscu gdzie droga skręcała za budynki i zniknęła z oczu.

— Może pani wracać tędy - powiedział pokazując ręką. - Droga, którą pani przyszła łączy się z tą, tuż za tym szczytem. Domyślałam się, że pani mieszka gdzieś w okolicy. Czy też może jest

pani na wakacjach? Musi pani być tutaj od niedawna, bo na pewno spotkalibyśmy się już wcześniej i łatwo bym tego nie zapomniał.

Jego spojrzenie sprawiło, że odebrałam to jak komplement; roześmiałam się.

— Jestem tutaj niespełna miesiąc, ale wyobrażam sobie, że i tak wie pan o mnie dużo.

— Co pani ma na myśli?

Wskazałam głową bramę. Mała postać przemknęła przez nią biegnąc do nas.

— Tatusiu! Panno Geillis!

— To William powiedział mi o kamieniołomach i jeżynach.

Ojciec Williama chwycił swego syna jednym ramieniem i posadził na siodelku mego roweru. Teraz przyjrzał mi się uważnie znad kierownicy.

— A więc jest pani naszą nową czarownicą - powiedział uśmiechając się.

15

— Tak - powiedziałam. - Nazywam się Geillis Ramsey i wszyscy sądzą, że jestem taka sama jak moja kuzynka. To były także niemal pierwsze słowa Williama. Czy dużo historyjek naopowiadał o mnie?

— To było nieuniknione. Jego skłonności do fantazjowania przewyższają nawet moje. Choć to ja uchodzę za twórcę fikcji, a przynajmniej płacę mi za mój wysiłek, William jest bliski zakasowania mnie. W każdym razie, udało mu się przedstawić nas sobie, co dobrze o nim świadczy. Witam panią, panno Ramsey. Jestem Christopher Dryden.

Po dotarciu do bramy, zepchnął lekko Williama z siodelka i powiedział.

— Biegnij szybko, aby nastawić czajnik - a mnie zapytał: - Jak się pani czuje w Thornyhold?

— Wspaniale.

Oparł rower o ścianę: - Czy życie tutaj nie jest zbyt samotne?

— Ależ nie. Rodzina Trappów była bardzo pomocna, a także William. I tak zamierzałam odwiedzić pana, by spytać się czy nie jest pan przeciwny tak częstym wizytom Williama u mnie. A poza tym, by podziękować za jajka, które pan przysłał. To strasznie uprzejmie.

— Zupełnie bez znaczenia. Z jajkami i mlekiem nie ma tutaj problemów. Ciągle jeszcze częściowo należymy do farmy, a państwo Yelland są bardzo uczynni.

— A z Williamem, czy wszystko w porządku? Bardzo lubię jego wizyty, a poza tym dużo mi pomaga, ale może pan woli, aby więcej przebywał w domu?

— Ani trochę. Jestem zajęty przez znaczną część dnia i obawiam się, że nie zajmuję się nim

wystarczająco. A on ubóstwia Thornyhold. Myślę też, że bardzo mu brakuje pani kuzynki.

— Tak też myślałam. A więc świetnie. Obawiam się jednak, że biedny William ma u mnie zbyt dużo roboty.

106

— On to lubi. A ja jestem za to pani wdzięczny. Boję się, że w wirze pracy nad książką jestem bardzo niedobrym towarzyszem. Próbowałam tak zaplanować moje pisanie, aby mieć czas, gdy on ma wakacje szkolne, ale nigdy to się nie udaje. Ciężko przykładałam się do pisania całe lato i nie miałem wiele czasu dla biednego chłopca. Czy wejdziemy teraz do środka? Pokażę pani, gdzie się można umyć, ty zaś, Williamie, przynieś pudło z plasterami i środkami opatrunkowymi z łazienki - zanim skończymy robienie opatrunku, woda w czajniku powinna się już zagotować.

William wykonał, co mu polecono i zniknął zajęty swoimi sprawami. Weszłam za moim gospodarzem do kuchni; wielkiego, długiego, niskiego pomieszczenia. Był tam staroświecki kominek, ale jego paleniska do gotowania nie były z całą pewnością obecnie używane. W końcu pomieszczenia stała elektryczna kuchnia. Dwa okna wychodziły na pastwiska, a na parapetach leżały sterty arkuszy papieru, ułożone, jak się wydawało, w pewnym porządku. Mniej więcej w środku pokoju stał duży stół o wyszorowanym blacie, z przygotowanymi talerzami i nakryciami; można było się domyślać, że po posiłku, natychmiast po umyciu, ustawiono je na stole. Stała tam miseczka z masłem, puszka soli, do połowy wypróżniona butelka czerwonego wina i ketchup pomidorowy. Żywoć kawalerski w najlepszym wydaniu. Kuchnia musiała być czysta, by ułatwić życie, a pewien nieład jest zrozumiały, gdy ma się do czynienia z zapracowanym mężczyzną, który sam prowadzi gospodarstwo.

Dzbanek do herbaty i kubki czekały w pogotowiu. Zaparzył herbatę i otworzył okrągłe metalowe pudełko z herbatnikami.

— Proszę usiąść. Trochę mleka i cukru?

— Proszę o mleko, ale bez cukru. Dziękuję. Rozejrzałam się wokoło.

— Charakterystyczne dla starych domów, które kiedyś należały do farmy, jest to, że wszyscy przebywają w kuchni. Pełno tu słońca i naprawdę jest to piękna izba. Czy używa pan kominka?

— Palę w nim prawie każdego wieczoru, chyba, że jest gorąco. William odrabia tutaj lekcje. Ja pracuję w pokoiku za kuchnią - sędzę, że był to gabinet farmera. Ciemno tam, jak w szybie kopalni, a widok rozciąga się na stare chlewy.

— Mogąc wybierać z całego domu... - zaprotestowałam.

107

— Tak, wybrałam to właśnie. Kiedy się siedzi przy stole i ma przed sobą piękne widoki, pisanie nie posuwa się wcale. Można wtedy obserwować ptaki albo myśleć, co chciałoby się robić, zamiast zmuszać siebie do pracy po prostu z nudów.

— Pan żartuje.

— Zapewniam panią, że to nie żarty. To ciężka praca, której nie można wykonać dobrze, gdy uwaga jest rozproszona. Od czasu do czasu pozwalam sobie na spacer, by się przewietrzyć.

— Jak Bunyan piszący swój utwór w więzieniu. Tylko że on prawdopodobnie nigdy nie wychodził na spacer.

— Faktycznie, choć wydaje mi się, że pozwalano mu wychodzić od czasu do czasu, ale odsiedział dwanaście lat w całości, więc postępy w jego pracy były dobre.

— Tak - powiedziałam - jeśli porównamy to z więzieniem, to ma pan szczęście.

— Wiem. Muszę pani wyznać, dlaczego jestem szczęśliwy, że William panią polubił. Pani kuzynka była dla niego ogromnie życzliwa i po jej śmierci był kompletnie zdruzgotany. Miała szczególny dar zjednywania dzieci.

— Wiem.

— Więc może pani sobie wyobrazić, jak byłem rad, kiedy mi powiedział, że odwiedził panią i że pani także jest kapitalna. Cytuję.

— I do tego także czarownica, nie należy o tym zapominać.

— Oczywiście. Zorientowałem się, że pani magiczne oddziaływanie na jego fretkę nie jest ani trochę mniej skuteczne niż panny Saxon.

— Zastosowałam tylko jej lek, to William wskazał mi ten właściwy. Przy okazji, jak pan dał sobie radę z resztą lekarstwa?

— Doskonale. Tylko jedno małe ukąszenie, ale nieskuteczne dzięki moim grubym rękawiczkom, używanym do jazdy samochodem i komentarz Williama, bardzo krytyczny, jeśli chodzi o moje umiejętności w porównaniu z pani metodami.

Zaśmiałam się. - Wygląda na to, że Puszek znowu jest w formie. Czy moja kuzynka często zajmowała się leczeniem?

— Istotnie. Odkąd tutaj zamieszkaliśmy, słyszeliśmy o niej jako miejscowej uzdrowicielce. Czy zna pani dobrze te strony?

— Wcale. Jestem tutaj tylko dlatego, że kuzynka Geillis zostawiła mi w testamencie Thornyhold.

108

— Widzi pani, w pewnym sensie ten zakątek hrabstwa jest ciągle jeszcze dość prymitywnym miejscem. Sądzę, że pani wie, że kuzynka kiedyś studiowała zielarstwo zawodowo i faktycznie jej główną pracą była uprawa ziół i dostarczanie pewnej wielkiej firmie w Londynie przez siebie zrobionych leków. Ale zawsze chętnie pomagała miejscowym ludziom, którzy ją o to prosili i bardzo często leczyła zwierzęta. Dlatego też, naturalnie, przylgnęła do niej opinia czarownicy z Thornyhold - dobrej czarownicy, oczywiście. Miejscowej „uzdrowicielki”. Czy wie pani, że Thornyhold uchodzi za dom czarownicy? Taką ma historię.

— Naprawdę? Wiem, że jest w nim jakaś magia, ale dom czarownicy? Zawsze wyobrażałam sobie chatkę czarownicy jako mały ciemny dom bez okien, z zakopconą strzechą i kociołkiem nad ogniskiem, a Thornyhold jest tak... tak szacowna w swoim osiemnastowiecznym stylu. To uroczy dom.

— To prawda. Ale w połowie dziewiętnastego stulecia znalazła w nim schronienie wdowa po dziedzicu i zajęła się czarami na wielką skalę. Mieszkała tam siedemdziesiąt lat, aż do śmierci w wieku dziewięćdziesięciu dwu lat i odtąd dom okrywa sława starszej, dobrej Pani Gostelow.

— Boże! Thornyhold? Przynajmniej mam nadzieję, że była także dobrą czarownicą?

— Z całą pewnością. W rzeczywistości nieszczęsna kobieta była bardzo religijna. Została wygnana z domu przez męża hulakę, który był filarem miejscowego, budzącego grozę klubu i, jak głosiły wieści, uprawiał także kult szatana. Tak więc, Lady Sybil zaczęła bronić siebie i swego domu, który wniosła w posagu, przeciwko zakusom szatana. Thornyhold był wtedy domem zarządcy, lecz ten ożenił się z dawną nianią i oboje zabrali ją do siebie. Niewątpliwie, dziedzic Gostelow, jeśli był dość trzeźwy, mógł zjawić się w każdej chwili i wszystkich

wyrzucić, ale wkrótce zmarł i zapanował spokój.

— Na szczęście dla Lady Sybil. Wydaje mi się, że powiedział pan, że była dobrą czarownicą?

— Nie miała nic wspólnego z jego śmiercią. Miejscowe kroniki mówią, że „w młodym wieku pokonało go nieumiarkowane życie”. Nie miał czterdziestu lat. Majątek przeszedł na bratanka, który, zdaje się, nie przyjeżdżał tu prawie nigdy; w każdym razie zostawił w spokoju dom wdowy. Dwór spłonął, o ile pamiętam,  
109

w 1912 roku, a ostatni potomek rodziny został zabity nad Sommą. Stara Lady Sybil - teraz już dobra Pani Gostelow - pozostała więc w Thornyhold, ciągle broniąc siebie przed zakusami szatana i mieszkała tam spokojnie aż do śmierci w 1920 roku. Czy coś się stało?

— Właściwie nic. Ale jej inicjały, S.G.... w bawialni jest stara akwarela, widok domu, a w rogu są inicjały S.G. Myślałam początkowo, że to jest monogram G.S., ale to z pewnością jej dzieło.

— Możliwe. Wszystkie młode damy w tamtych czasach uczone rysować, nieprawdaż? Uśmiecha się pani.

— Mnie także uczono tego w szkole. Miałam zamiar naszkicować parę widoków domu i ogrodu, tak jak wygląda dzisiaj.

— Ten dom rzeczywiście kontynuuje tradycje.

— Chyba nie powie pan, że kuzynka Geillis też rysowała? Nigdy o tym nie słyszałam.

— Ach, nie. Ogród i zioła zajmowały ją całkowicie i tylko to przyciągnęło ją do Thornyhold. Zobaczyła dom, poszukując ziół w Westermain, a stare małżeństwo, które tam mieszkało po śmierci Lady Sybil pokazało jej wszystko i nie mogła oprzeć się urokowi tego miejsca.

— Coś takiego usłyszałam od niej. Nie, dziękuję - to powiedziałam, gdy ponownie przysunął mi pudełko z herbatnikami. -Ale będę wdzięczna za trochę herbaty, jeśli jeszcze jest. Połowa wystarczy... cudownie. Dziękuję. Co pan miał na myśli mówiąc: ochrona przed szatanem i tak dalej?

— Nie zauważyła pani, jaki jest plan tego miejsca? Mam na myśli ogród.

— Plan? A więc ogród ziołowy, oczywiście, ale co poza tym? Co jest takie szczególne?

— Broni się przed czarami i czarną magią. Przy południowo--zachodnim rogu domu rośnie cis i jałowiec, jest także jesion i jarzębina oraz krzew laurowy, a dalej kolczasty żywopłot, w który wplecione są cierniste krzewy ze świętego miejsca Druidów w Glastonbury. Pani kuzynka pokazała mi któregoś dnia to wszystko. Była oczarowana historią domu i dołożyła starań, aby zachować pierwotny stan.

— Wilcze ziele, werbena, koper, koniczyna wszystkie czary powstrzyma.

110

— Co to znaczy?

— To zasuszone pachnące zioła kuzynki Geillis. Chroniła także swoją zielarnię.

— Tak, to mnie nie dziwi. Więc nigdy nie powiedziała pani nic na ten temat?

— Nie, nigdy nie opowiedziała mi historii domu. Powiedziała tylko, że „zdawał się być zbudowany dla niej” i że „przejęła go”. Teraz rozumiem, co to znaczy. Prawdę mówiąc wcale nie znałam jej dobrze. Odwiedziła mnie dwa czy trzy razy, kiedy byłam dzieckiem i to wszystko. W dzieciństwie byłam raczej samotna - i dość nieszczęśliwa - i wyglądało na to, że zjawiała się, kiedy jej potrzebowałam. Zabierała mnie na spacer. Ogromnie lubiłam spacerować z nią i mam wrażenie, że dużo się od niej nauczyłam. Nie myślę o zielarstwie ani podobnych sprawach, ale nauczyła mnie rozróżniać rośliny i kwiaty, i bardzo dużo dowiedziałam się od niej o zwierzętach i ptakach. Spytałam ją raz, czy jest czarownicą, ale roześmiała się tylko. Myślę, że kiedy byłam dzieckiem uważałam, że wokół niej roztacza się atmosfera siły magicznej.

A teraz, pomyślałam, wiem to na pewno.

— Gdzie był pani dom?

— Mój ojciec był proboszczem w wiosce górniczej na północnym wschodzie. Było to szkaradne miejsce, krajobraz ubogi, roślinność skarłowaciała. Byłam w szkole w Krainie Jezior i to było wspaniałe. Zdążyłam być rok na uniwersytecie w Durham, zanim umarła moja matka. Nie mogłam jednak co tydzień odwiedzać domu, ze względu na koszty przejazdów, tylko po to, żeby nałyczać się wiejskiego powietrza. Potem umarła matka i powróciłam, by zająć się tatusem i znowu były szyby górnicze i cmentarze. Widzi pan więc, dlaczego Thornyhold jest dla mnie rajem. Pewnie któregoś dnia mogę poczuć się samotna albo znudzona, ale obecnie kocham każdą chwilę tu spędzoną. Wystarczy, że budzę się ze śpiewem ptaków i zasypiam w ciszy - zamilkłam, stawiając pusty kubek z lekkim stukotem. - Przepraszam, że tak się rozgadałam. Jest pan za dobrym słuchaczem, ale możliwe, że gdy żyjemy w samotności, bez względu na to czy to lubimy, stajemy się gadatliwi. Był pan więc na spacerze, aby się przewietrzyć. Myślałam, że pan jest pasterzem.

— Tak, mam już za sobą dzisiejszą normę.

111

— A więc nie odrywam pana od pracy? W każdym razie muszę już iść. Dziękuję za herbatę.

— Dlaczego pani musi? Mogę panią zapewnić, że doszedłem do takiego punktu książki, że mogę spacerować i pozostawić podświadomości dalszy wątek. To prawda, proszę nie mieć takiej podejrzliwej miny. To oznacza, że mogę się oderwać od widoku chlewików i wyjątkowo opuścić dom na tak długo, jak długo będę miał na to ochotę i jak długo pani wytrzyma w moim towarzystwie.

Mówił przekonująco, ale iskierka wesołości sprawiła, że natychmiast wróciła moja nieśmiałość. Powiedziałam niepewnie:

— To bardzo miło z pana strony, ale powinnam już iść. Są jeszcze jeżyny do zbierania, a wieczorem chciałam zrobić galaretkę. A poza tym jest kot Hodża. Nie było go w domu, gdy wychodziłam, a wszystko pozamykałam, więc będzie szukał swojej kolacji.

— W tych stronach nie musi pani zamykać drzwi na klucz. Nie sądzę, aby ktokolwiek to robił.

— Wiem, ale... Przypuszczam, że to przyzwyczajenie z domu.

Szybko spojrzał na mnie.

- Gzy miała pani jakieś kłopoty?

— Nie, z pewnością nie. To nie kłopot. Ale... zdaje się, że pan zna panią Trapp? Ze stróżówki.

Zobaczyłam zmianę w jego spojrzeniu. To było coś nieokreślonego, jak nagle zmarszczenie cichej wody.

— Tak - powiedział.

— Kiedyś pomagała mojej kuzynce, a potem adwokaci prosili ją o posprzątanie domu przed moim przyjazdem. Mam wrażenie, że wydaje jej się, że zna dom lepiej niż ja.

— I ciągle jeszcze uważa, że może przychodzić i wychodzić kiedy tylko ma ochotę?

— Rzeczywiście. Ale czy ludzie na wsi tak nie postępują? Wchodzenie bez pukania i tym podobne rzeczy?

— Do pewnego stopnia. Miała też zwyczaj dość często przychodzić tutaj, bardzo życzliwa i pomocna, ale oczywiście nie mogę przerywać pracy co chwilę, tak że musiałem jej to powiedzieć.

Myślałam o tym, co powiedział mi William. Postanowiłam być tak bezpośrednia, jak on.

— Czy pan ją lubi?

Znowu ten słaby błysk, który mógł oznaczać zakłopotanie.

112

— Czy lubię? Doprawdy, nie wiem. Jak powiedziałem, jest bardzo uprzejma, ale...

— Czy pan jej ufa?

— Oczywiście. To pewno William naplotkował... Powiedziałem pani, że ma zbyt dużą fantazję. Prawdę mówiąc, przynosiła zazwyczaj przeróżne potrawy, a jest doskonałą kucharką, ale trudno zapamiętać o tym, co ludzie mówią...

— Plotki?

Zawahał się, zanim spojrział z uśmiechem.

— No cóż. Mieszka pani teraz tutaj, więc wkrótce pani i tak usłyszy. Pani Trapp należy do miejscowych kobiet, które, jak pani kuzynka, zajmują się zielarstwem. Uzdrowicielka. Czarownica, jeśli pani woli. Jestem pewien, że chciałaby, aby pani tak myślała. Rzekomo zastosowała swojej matce jakiś lek, który pozbawił staruszkę rozumu. Nikt nie obwinia jej, a nawet sądzi się na ogół, że pani Trapp postąpiła szlachetnie nie trując jej z miejsca, staruszka była bowiem jędzą. Teraz jest łagodna jak kociątko i bardzo jej z tym dobrze. Spędza całe dni w bujanym fotelu przy oknie, wyglądając, choć nie ma na co patrzeć, albo szydełkując i podśpiewując sobie.

— Myślę, że ją widziałam za firanką w stróżówce, po prawej stronie.

— Właśnie. Ja osobiście myślę, że pani Trapp podaje jej jakiś rodzaj środka uspokajającego i być może dawka jest troszkę przesadzona. Staruszka jest jednak szczęśliwa, zadbana i dobrze karmiona, a Agnes i Jessamy mają trochę spokoju dla odmiany. - Zaśmiał się widząc moją minę. - Widzi pani teraz, dlaczego trochę mnie niepokoją jej ciastka i zapiekanki.

— Oczywiście. Co też ona chciała panu zrobić?

— Nie mam pojęcia. Zanim doszły do mnie opowieści o staruszce, jadłem je i byłem wdzięczny. Zniechęciłem ją, gdyż - jak już pani mówiłem - nie mogłem zgodzić się na przeszkadzanie mi w pracy, a ona miała zwyczaj przychodzić z potrawami i wypiekami o różnych porach i oczywiście trzeba było przerywać pracę, próbować i dziękować jej.

— Karmelki - powiedział William w drzwiach - i robione przez nią toffi były kapitalne. Tatusz prawie nigdy nie je słodczy, więc dawał wszystko mnie. Czy chciałaby pani zobaczyć teraz Puszka?

113

— Czy jest już zdrowy?

— Ma się świetnie.

— Pozwolisz więc, że obejrzę go innym razem. Podniosłam się: - Naprawdę muszę już iść. Dziękuję za herbatę i opatrunek.

— Było nam bardzo miło. - Mój gospodarz wstał razem ze mną. — Williamie, weź, proszę, koszyk panny Ramsey i przymocuj go do roweru. - Kiedy chłopiec wybiegł, powiedział: - Proszę nie martwić się panią Trapp. Ona bardzo podziwiała pannę Saxon i jestem pewien, że będzie pani bardzo życzliwa. Właściwą odpowiedzią na pani pytanie byłoby: Agnes jest uczciwa. Czy kuzynka zostawiła spis inwentarza?

— Tak. Kopia została dołączona do testamentu. Nigdy nie sprawdzałam go, a może powinienam?

— Tylko, by rozwiązać wątpliwości. Okaże się, że nic nie brakuje. Z naszej Agnes może nie być wiele pociechy w roli czarownicy, ale jestem pewny, że jest uczciwa. Czy naprawdę musi pani już iść? Mam nadzieję, że pani znowu nas odwiedzi, bez względu na porę. Będzie nam bardzo miło. Teraz wyjdziemy razem z panią i pokażemy drogę.

16

Oczywiście była to miłość od pierwszego wejrzenia. Mówię „oczywiście”, gdyż (z biegiem czasu zdałam sobie z tego sprawę i mogłam to udowodnić) żadna mniej czy bardziej wrażliwa kobieta nie mogłaby znaleźć się w jego orbicie nie poddając się uczuciu; posiadał trudny do wytłumaczenia, nadzwyczajny urok: nie osobowości, gdyż zbyt silna może odpychać i często tak się dzieje, nie fizyczny, o czym można powiedzieć to samo.

Emanowało od niego to, co



można nazwać po prostu magnetyzmem, doprawionym mieszanką obu tych elementów. Był jednym z tych ludzi, którzy czasami z pożytkiem, ale częściej na swoją zgubę, są magnetyczną, wyjątkowo jasną gwiazdą. Literatura jest pełna femmes fatales, ale istnieje również homme fatal, bez porównania rzadziej pojawiający się typ i niech Bóg ma w opiece wrażliwą, samotną kobietę, która spotyka go na swej drodze.

Gdy zaś zaprosi ją do domu, gdy jego syn polubi ją, gdy sprawi, że będzie się czuła swobodnie w jego towarzystwie i obdarzy go swoją przyjaźnią, gdy zaprosi ją, by znowu go odwiedziła bez względu na porę, to będzie skłonna...

Niech cię ręka boska broni, biedna, samotna, niezamężna Geillis Ramsey. Wracalam do domu, wokół mnie powoli szarzał jesienny wieczór, stopy naciskały pedały roweru, pokonując nierówną drogę leśną, głowa w obłokach słodkiej fantazji, rozsądek całkowicie uśpiony.

Aż do momentu, gdy droga obniżyła się gwałtownie i zanurzyła w błotnistym rowie. Zaskoczona, zachlapałam się do kolan czarną wodą i zakląłam.

Kiedy popychałam rower przez następny rowek, rozsądek znowu powrócił. Czyżbym czuła, że omdleam w jego ramionach, w jego łóżku i w ogóle? Ależ on ma żonę i dziesięcioletniego syna. Jest znakomitym pisarzem, który wynajmuje położony na uboczu, niewygodny dom tylko dlatego, że do pisania potrzeb-

115

na mu samotność. Był dla mnie uprzejmy, gdyż pomyliwszy się co do moich intencji wobec tej głupiej rannej owcy, zaskoczył mnie i przez chwilę był szorstki, a przecież był wdzięczny za uwalnianie go czasami od opieki nad Williamem. Ma syna i jest żonaty. Nawet jeśli żona go opuściła (kiedy? - muszę spytać Williama), to jednak jest żonaty. Zaś moje zasady, podyktowane przez życie w probostwie i bardzo już staroświeckie, wykluczały jakikolwiek romans. Moja wymarzona gwiazda, wyjątkowa gwiazda znajdowała się poza moim zasięgiem i była najbardziej szalonym i najbardziej czarownym kaprysem fantazji.

Jego włosy, gęste i ciemne, gdzieniegdzie zaczynały siwieć. Ile może mieć lat? Około czterdziestu, a może przed czterdziestką? Powinien być w encyklopedii Who's Who więc będę mogła znaleźć informacje o nim w bibliotece publicznej i wypożyczyć wszystkie jego książki do przeczytania. Był kilkanaście centymetrów wyższy od mnie; akurat tyle ile potrzeba, ale był lekko pochylony, zapewne z powodu długich godzin spędzonych przy biurku. Lubił samotność i krajobraz wiejski. Odpowiadało mu to, co ten - raczej ponury — dom na farmie miał mu do zaoferowania. Był samotnikiem, tak jak ja. Gdyby przeniósł się do Thornyhold,

do mnie, miałby dokładnie taki sam spokój i byłoby mu wygodniej...

Jest żonaty. Żonaty. Nawet gdyby Wlw's WJio podało, że jest rozwiedziony, to kto ci Geillis Ramsey powiedział, że wybierze ciebie? Wróc więc na ziemię. Możesz mieć predyspozycje do zostania czarownicą, ale skuszenie i zatrzymanie takiego mężczyzny jak Christopher Dryden wymaga większego wysiłku i nie stać cię na to.

Biała furtka była otwarta. Minęłam ją, przedostałam się przez kępę osłaniających wjazd jarzębin i czarnych bzów do bastionu obwarowanego przez kolczasty żywopłot i zatrzymałam się przy komórce. Hodża siedział na parapecie okna na tyłach domu, ale wstał, by mnie powitać, wyciągając rozkosznie łapy i pokazując różowy język w szerokim ziewnięciu.

— Czy ktoś przychodził? - spytałam go, a odpowiedzią była pogodna postawa kota.

Weszłam do środka, a on mrucząc wszedł za mną. Nakarmiłam go, a potem, gdy już umyłam się i położyłam świeże plastry na ręce, zaczęłam przygotowywać jeżyny. O zmierzchu, gdy się smażyły, usłyszałam stukanie do

116

drzwi na tyłach domu. Zanim tam dotarłam, usłyszałam, że się otwierają; wiedziałam więc kogo zobaczę.

— Wróciła więc pani, jak widzę - uśmiechała się Agnes Trapp.  
— Właśnie. Proszę wejść. Witam, czy wszystko w porządku?  
— Dziękuję, świetnie - weszła i wciągnęła powietrze nosem. - Jeżyny. A więc robi pani galaretkę?  
— Tak. Doprawdy, to była przyjemność. Bardzo lubię zbierać jeżyny.  
— Ależ pani mocno podrapała ręce.  
— Istotnie. - Zamieszałam owoce. Ona usadowiła się przy stole.  
— Kto pani powiedział o kamieniołomach?  
— William. Skąd pani wie, że byłam w kamieniołomach? Ominęła to pytanie, mówiąc tylko: - Ależ tak, mieszkają tuż za wzgórzem, za kamieniołomami. Czy pani wiedziała?  
— Dowiedziałam się dopiero dzisiaj, gdy spotkałam ojca Williama w czasie jego popołudniowego spaceru. William powiedział mi, że zamieszkałam w Thornyhold. Skaleczyłam dość poważnie rękę, więc zaprosił mnie na farmę, aby opatrzyć ranę. Cisza. Znowu wymieszałam owoce.  
— To jest bardzo odizolowane miejsce. Nawet dla pisarza -powiedziałam. — Mam na myśli fakt, że nikt nie zajmuje się domem.  
— Jeśli o to chodzi, to od czasu do czasu pomagałam, ale to za daleko dla mnie. Teraz przychodzi tam pewna kobieta do sprzątnia dwa razy w tygodniu. Bessie Yelland, żona farmera z Black Cocks. Mówi, że nigdy go nie spotyka. Zdaje się, że pisarze są dziwakami. Pewnie zaprosił panią do środka?  
— Rzeczywiście. Zrozumiałam, że doszedł do miejsca w książce, gdzie trzeba było zrobić przerwę. Czy znałaś jego żonę Agnes? Czy może opuściła go zanim tutaj zamieszkał?  
— Opuściła go? - zdawała się być zdziwiona.  
Zagryzłam wargi. - Być może nie powinnam o tym wspominać. Powiedział mi o tym William

i sądzę, że było to jakiś czas temu. Nie wiem czy z powodu innego mężczyzny? Czy rozwiedli się? William nie mówił o tym, a oczywiście nie mogłam go spytać.

— Oczywiście. Ale to zdarzyło się zanim tu przyjechał. Nie wiem, jaki był powód. Nie słyszałam, aby ktoś mówił o rozwodzie. Pan Dryden nigdy o tym nie wspominał.

117

Wróciłam do owoców i znowu zamieszałam. Jeszcze raz zapanowała cisza i to dość długa. A potem już innym tonem zapytała:

— Czy znalazła pani przepis?

— Jaki przepis? - Moje myśli odbiegły daleko.

— Przepis na galaretkę z jeżyn. - Zdawała się być zniecierpliwiona, prawie nieuprzejma. Spojrzałam na nią. Ona odwróciła się ode mnie, obrzucając wzrokiem kuchnię, i zwracając uwagę na porządek, błyszczące szkło, emaliowane naczynia bez plamy, czyste zasłony i poduszki, kwiaty na parapetach okien. Zobaczyłam iskierki w jej oczach, jakiś rodzaj siły, której przedtem nie zauważyłam. Zastanawiałam się przez moment, czy moje zmagania z nieporządkiem nie były dla niej obrazą, ale przecież pomagała mi i nie było żadnych oznak, że czuła się dotknięta, nawet przy sprzątniu gołębnika.

— Powiedziała pani, że poszuka dla mnie książki z przepisami - dodała.

— A tak, rzeczywiście, pamiętam, że o to prosiłaś, ale niestety nie miałam jeszcze czasu na poszukiwanie. Robię tę galaretkę według zwykłego przepisu. - Znowu wymieszałam owoce. - Zdaje się, że są gotowe. Teraz odstawię, by je odcedzić.

— Pomogę pani. - Zanim mogłam zaprotestować, już wstała i była przy szafie.

— Nie do wiary. Zrobiła pani już wszystko. Teraz dom wygląda naprawdę przyjemnie i elegancko. Ta miska na pewno się nada. Proszę mi pozwolić.

Zgodziłam się. Razem wyłożyłyśmy gorący miąż do worka i razem zaniósłszy miskę i

worek do spiżarni, wieszając worek nad miską, by sok ociekał. Zauważyła wyszorowane półki, czyste haki do wieszania, żywność już przygotowaną na kolację.

— Ach, kupiła pani rybę. Ale na pewno będzie pani miała ochotę na moją zupę. Przyniosłam w banieczce trochę zupy porowej, którą zrobiłam. Podgrzeję ją.

— To bardzo uprzejmie, ale naprawdę nie powinnaś mnie rozpieszczać. Muszę nauczyć się dawać sobie radę sama.

W kuchni z ożywieniem wyciągnęła rondel i przelała zawartość błękitnej emaliowanej bańki. Uśmiechając się obrzuciła mnie zaskakującym spojrzeniem, ostrym jak igła.

— Wygląda na to, że już daje sobie pani radę, panno Ramsey. Zrobiła pani cuda w tym domu.

118

— Widzisz - powiedziałam trochę zirytowana, słysząc w swoim głosie usprawiedliwiający ton - tak to jest. Pokoje, które przygotowałam były piękne, ale kiedy przysłano moje rzeczy, musiałam wszystko gruntownie posprzątać, a wiadomo, że każdy lubi urządzić wszystko na swój sposób. A to najlepszy sposób, by dowiedzieć się, co jest w domu.

— Zdawało mi się, że był spis - powiedziała - w papierach adwokatów. Zaczęli od tego, że przysłali ludzi do wyceny wszystkiego.

A ponieważ milczałam, spytała: - Czy nie ma spisu?

— Rzeczywiście, zdaje mi się, że jest. Nie miałam jednak czasu, aby go przejrzeć.

Delikatnie postawiła garnek na kuchni i odwróciła się. Napięcie, czy cokolwiek to było, zniknęło. Pan Dryden miał rację, pomyślałam, byłam przeczulona. Myśl o spisie inwentarza nie zakłopotowała jej: przeciwnie, wydawało mi się, że ją uspokoiła.

Ze swobodą powiedziała: - Ona zawsze robiła wrażenie kogoś zorganizowanego, pani ciocia.

A jak się przedstawia jej zielarnia? Czy już ją pani uporządkowała?

— Jeszcze nie. Przynajmniej nie całkowicie. Sprzątnęłam pokój, ale jeszcze nie przejrzałam zawartości półek. Jutro, naprawdę, przejrzę te książki. To najbardziej prawdopodobne miejsce

przechowywania specjalnych przepisów. Faktycznie, w spisie może być lista książek i jeśli znajdę tę, którą chciałabyś mieć, zaraz ci ją zaniosę.

— To będzie bardzo uprzejme. Czy będzie pani jeszcze zbierała jeżyny?

— Nie myślałam o tym, ale jeśli chciałabyś trochę jeżyn, chętnie tam pójde, jeśli utrzyma się pogoda.

Z głośnym trzaskiem zakryła swoją bańkę i chwyciła sweter z oparcia krzesła.

— Nie warto. Koło nas jest ich masa. Nie musi pani tam znowu chodzić. Mam nadzieję, że zupa będzie pani smakowała. To pory z naszego ogrodu i dodałam śmietanę.

I wyszła.

Kiedy trzasnęły kuchenne drzwi, Hodża wyszedł spod krzesła, gdzie się schował i wrócił do swojej miseczki.

— Czy to ty masz rację Hodża, czy pan Dryden? Powiedz mi, jak się dowiedziała, że byłam w kamieniołomach? I jak się

119

dowiedziała - bo przysięgam, że wiedziała - że byłam na farmie. I dlaczego nie chciała, abym znowu tam poszła?

Hodża nie odpowiedział, ale podniósł głowę znad miseczki i obserwował, jak zdejmowałam rondel z kuchni. Obserwował z zainteresowaniem i widoczną aprobatą, kiedy podeszłam do zlewu i wylałam świetnie pachnącą zupę. Było to absurdalne i, po tym co dzisiaj usłyszałam, zapewne głupie, ale pamiętałam zapiekankę, która także wspaniale pachniała, noc po jej zjedzeniu i koszmarnie sny. A teraz, wbrew temu co powiedział ojciec Williama, by mnie uspokoić, przypominałam sobie starą kobietę bujającą się bez końca za koronkowymi

firankami w oknie małej stróżówki. Jeśli naszą Agnes jest czarownicą, nie mogę mieć zaufania do jej produktów kulinarnych, a jeśli na dodatek nie jest „wykwalifikowaną” czarownicą tym bardziej nie będę miała do niej zaufania.

— Cóż - powiedziałam do Hodży, odkręcając kurek z zimną wodą, by zmyć resztki zupy. - Może będziemy mieli spokojną noc, bez koszmarów.

Księżyc był wysoko, a noc przypominała martwą naturę malowaną czernią i srebrem. Pewnie

kuszeniem Opatrzności była chęć powtórzenia zdarzeń pamiętnego wieczoru, ale przed pójściem do łóżka zaciągnęłam zasłony, otworzyłam szeroko jedno skrzydło okna i wychyliłam się, by popatrzeć na noc.

Kot wskoczył na parapet koło mnie i zanim zdołałam się powstrzymać chwyciłam go, ale tego

wieczoru w powietrzu nie było czarów. Ani dalekiej muzyki, ani migocących świateł. Tylko olbrzymi jesienny księżyc, prawie w pełni, jasno widoczny na końcu alei w lesie i znaczący jasną ścieżką przez rzekę.

Gdzieś blisko zahukała sowa. Spojrzałam w tę stronę. Zobaczyłam tylko czarną masę drzew

w lesie, upstrzoną z rzadka szarym światłem księżyca.

Dla nowej czarownicy z Thornyhold ten wieczór był, dzięki Bogu, zwyczajnym wieczorem. Nie było zwid oświetlonych ostrym światłem. Nic. Żadnego dźwięku prócz nieprzerwanego, zwyczajnego mrużenia kota.

120

Nagle Hodża zeszywniał w moich rękach i zaczął się wyrywać. Mruczenie raptownie ustało. Puściłam go, a on po cichu wycofał się do pokoju i cicho prześlizgnął się jak cień do łóżka. Futro na grzbiecie zjeżyło się, a uszy przyległy płasko do głowy.

Po paru chwilach usłyszałam to, co przede mną usłyszał Hodża: dalekie, uporczywe ujadanie psa. W czasie pierwszych kilku nocy w Thornyhold niepokoiło mnie to, ale jeśli jakiś farmer czy robotnik leśny trzymał psa na łańcuchu, nic nie można było poradzić, nie reagowałam więc i przyzwyczaiłam się do szczekania. Podczas ostatnich paru wieczorów nic nie było słychać i zapomniałam o tym. Teraz ujadanie powróciło i tej cichej nocy było głośniejsze i bliższe. To już nie było szczekanie, ale głos wilka wyjącego do księżyca.

Niesamowity, niepokojący głos, podnoszący włosy na głowie. Gdy zaczęłam reagować jak kot, wmawiałam sobie, że to nic, po prostu atawizm, prymitywna reakcja na głos wilka w nocy; że tak właśnie reaguje szczekaniem pies na głos innych psów. Korzysta z jedynej swobody, na jaką może sobie pozwolić pies na łańcuchu, przyjemności porozumiewania się z

tym samym gatunkiem zwierząt.

Ale nie było to przyjemne. Wreszcie przeszło w ostry głos bólu czy strachu. A potem dzikich skomleń. I zaraz cisza.

Znalazłam się przy frontowych drzwiach i nagle pobiegłam ścieżką do frontowej bramy, zanim jeszcze zdałam sobie sprawę, że biegnę. Ale nie było siły, która by mnie powstrzymała. To nie mogło być świadome szukanie przygody w lesie, podczas nocy. To byłoby dobre dla bohaterki, a nie dla wrażliwej osoby, jaką byłam. Ale jakiś element w mojej wrażliwości zareagował gwałtownie i nie myśląc już, na głos cierpienia psa znalazłam się przy furtce, szukając po omacku klamki.

Drzewa nie zasłaniały księżyca, a za cieniem rzucanym przez kolczasty żywopłot wjazd był tak jasny jak w zimowy dzień. Zobaczyłam go, zanim usłyszałam. To Jessamy Trapp biegł w moim kierunku; kroki przytłumione na trawie wjazdu, oddech nierówny i szloch. Wtedy zobaczyłam, że miał jedno ramię wygięte, lewe przedramię przyciskał ręką do klatki piersiowej, tak że cała postać była wykrzywiona i w biegu słał się na nogach.

Nie widział mnie. Biegł w kierunku ścieżki z boku domu i do skrótów drogi, do stróżówki.  
121

— Jessamy!

Zatrzymał się wstrzymując oddech, pełen strachu, obrócił się, zobaczył mnie i podszedł wolno do ścieżki, z ciągle skurczonym ramieniem.

— Co się stało? Co ci się przydarzyło? Czy jesteś ranny?

— Och, psze pani...

To nie był tylko brak tchu, to był płacz. Jessamy połykał łzy. Wydawał się znacznie młodszy, niż był w istocie. Jak małe dziecko wyciągnął ramię, abym zobaczyła. Podtrzymał je kurczowo drugą ręką i między palcami dojrzałam ciemną plamę.

— Ugryzł mnie. Ugryzł mnie bardzo. To boli. Dziabnął mnie w rękę, naprawdę.

— Lepiej wejdźmy do domu. Oczyszczę ranę i obejrzę ją. Chodź.

Bez pytań. Na to przyjdzie pora. Poszedł za mną do kuchni, usiadł na krześle przy stole, które mu wskazałam i czekał potulnie, gdy nalewałam gorącą wodę do miednicy. Dzięki Bogu, kuzynka Geillis wierzyła także w konwencjonalną medycynę, tak jak w lekarstwa z jej zielarni. Wzięłam pudełko z lekami do udzielenia pierwszej pomocy i zaczęłam oczyszczać ranę Jessamy'ego.

Była to brzydka rana, głębokie, zasiniaczone przebicie ostrych zębów. Jessamy, z suchymi już oczami, z pewnego rodzaju stoicyzmem, gdy szok minął, przyglądał się coraz swobodniej, a w końcu z pewną dumą.

— Czy bardzo źle, psze pani?

— To brzydkie ugryzienie. Teraz powiedz mi, co się stało? Na pewno to nie był twój pies?

— Nie, nie, nie mam żadnego psa. Mama nie lubi ich. Mówi, że są brudne.

— Tak? Czyj to więc był pies i co się stało?

— Po prostu pies, pewnie zabłąkany. Wypuszczałem go, ale mnie ugryzł.

— Skąd wypuszczałeś? - zobaczyłam, że w zaciśniętej z bólu dłoni trzymał kosmyk czarnej sierści.

— Czy to były sidła? Teraz trzymaj się Jessamy. To może boleć. Czy ktoś zastawia sidła w lesie?

Wstrzymał oddech, gdy środek antyseptyczny zaszczypał po dostaniu się do rany. Lecz zaraz energicznie potaknął: - To praw-

122

da. Sidła. Pewnie nastawili Cyganie. Ja go wypuściłem, a on mnie ugryzł. Dzikus.

— Gdzie to było?

W spojrzeniu z ukosa było pewne wahanie. Niepewnym ruchem zdrowej ręki wskazał na las od strony zachodniej.

— Tam. W lesie. W kierunku dworu.

— No tak, może jutro mi pokażesz?

Z niepokojem myślałam o kocie. Bezwzględnie muszę się zająć takimi rzeczami, jak sidła.

— Czy uwolniłeś psa? Dlaczego ugryzł? Czy był zraniony?

— Nie sądzę. Nie widziałem. Uciekł.

Skończyłam zawiązywać bandaże. - Gotowe. To wszystko, co mogę zrobić i to na razie powinno wystarczyć. Lepiej pokaż to jutro rano lekarzowi.

— Ona nie uznaje lekarzy. Sama leczy. Będzie bardzo wściekła na mnie, jak się dowie. Mam nauczkę.

— A jednak powinienes to pokazać. Jak się czujesz teraz?

— Świetnie. Ciągle jeszcze trochę boli, ale świetnie. Niespokojne spojrzenie dziecka powróciło.

— Nie powie jej pani? Jeśli spuszczę rękaw, nigdy się nie dowie.

Nie było sensu perswadować mu. Wyglądał lepiej. Na pobladłą ze strachu twarz wracały

kolory, a rana była czysta. Wylałam brudną wodę i podniosłam pokrywę pieca.

— Dobrze. Zechciej podać mi szmaty. Spalę je. I tę brudną sierść psa... Czy to wszystko? Dobrze. Przyjdź jutro pokazać mi ranę. Zdecydujemy wtedy o doktorze.

Błysnął tym swoim olśniewającym uśmiechem, zupełnie jak jego matka i starannie wyprostował rękaw, zakrywając bandaż, podczas gdy ja zrobiłam mu kubek mocnej słodkiej herbaty i ukroiłam plaster ciasta, które wczoraj upiekłam. Zadałam jeszcze kilka pytań, ale odpowiedzi nie miały większego sensu. Zaczęłam się zastanawiać, co Jessamy robił nocą w lesie. Czy oglądał sidła, które sam zastawił? To było prawdopodobne. Ale teraz nic nie było można zrobić ani powiedzieć. Zobaczymy jutro. Dałam więc za wygraną i pozwoliłam mu jeść i pić w milczącym porozumieniu; wkrótce opuścił mnie, a ja zamknęłam na zasuwkę drzwi i poszłam do łóżka z nadzieją na spokojną noc bez snów.

17

— Czy wiesz kto zakłada pułapki w lesie? - spytałam Williama.

Przyszedł zaraz po śniadaniu i przyniósł znów jajka. Wyraził chęć skończenia pielenia ogrodu

ziołowego. Poszliśmy razem do komórki z narzędziami.

— Nie, nie wiedziałem, że ktoś to robi. To nie jest dozwolone prawda?

— Nie, dzięki Bogu nie chodzi o potrzaski, ale sidła? Twój ojciec powiedział, że bywają tu czasami Cyganie. Mogą próbować łapać króliki.

— Możliwe. Nie było tu jednak Cyganów od bardzo dawna. Dawniej koczowali w kamieniołomach, gdzie tata spotkał panią z owcą, ale teraz zarosło tam bardzo i dano im plac z drugiej strony lasu. Stary trakt, odkąd powstała nowa droga, jest już nie używany.

Widziałem ich tam. Ale to daleko od nas. Pan Yelland nie wpuszcza ich tutaj. Dlaczego pani pyta?

Drzwi od komórki były uchylone. Otworzyłam je szerzej.

— Gdyż ostatniej nocy...

Stałam jak wryta. William wpadł na mnie i zaczął przeproszać, ale też nie dokończył zdania. Obydwoje staliśmy jak wryci w drzwiach komórki na narzędzia, spoglądając na coś w

kącie.

Na legowisku Hodży, zwinięty w kłębek wśród worków i gazet, starając się sprawić wrażenie

mniejszego niż był w istocie, przymilnie spoglądając na nas przerażonymi oczami, leżał pies. Pies collie, chudy, brudny i trzęsący się ze strachu. Czarno-biały. Duch z przeszłości, z dawnego marzenia.

Nie wydaje mi się, że pamiętałam w tym momencie o Jessamym i jego pogryzionej ręce. Już klęczałam przy psie, jak kiedyś na podłodze plebanii. A obcy pies skulił się, drżał, a ogon, jak u szczura, przycisnął do siebie, tylko samym końcem usiłował lekko pomachać. Wysunął język próbując polizać ogon, ale wo-

124

kół szyi miał postrzępiony sznur, który niestarannie zawiązany zacisnął się okrutnie. Koniec był przegryziony.

William także klęczał koło mnie, głaszcząc łeb psa.

— Jest strasznie chudy. Umiera z głodu.

— Tak. Uważaj. Jestem pewna, że nie robi nic złego, ale jeśli go zranisz, może chwycić zębami.

Mówiąc to przez cały czas głaskałam, gładziłam, pieściłam palcami psa, przemawiałam uspokajającym głosem i pamiętałam, aby moje ruchy były delikatne i powolne.

— Williamie, biegnij do kuchni i podgrzej trochę mleka. Nie za ciepłe. Sprawdź palcem. Pokrój do tego kromkę chleba, małe kawałki i przynieś w misce. Nie wypuszczaj Hodży.

Przynieś też ostry nóż kuchenny, abym mogła pozbyć się tego sznura.

— Wszystko w porządku malutki, wszystko w porządku malutki. Leż cicho.

William pobiegł do domu. Pies podniósł łeb i polizał moją brodę. Ciągle mówiłam do niego i głaskałam go. Był strasznie chudy, nos miał popękany i suchy, sierść poplątaną i brudną, ale stopniowo dygotanie osłabło i tylko od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz, aż ustąpił zupełnie. Na gazetach na których leżał, zobaczyłam ślady krwi; badając go bardzo ostrożnie stwierdziłam u nasady ogona gołą łatę, świeżą i ciągle jeszcze trochę krwawiącą w miejscu, które pies wylizywał, jak gdyby wyrwano mu kawałek skóry, wraz z kosmykiem sierści.

Niewątpliwie to on zaatakował Jessamy'ego, a jeśli Jessamy nieostrożnie dotykał rany, kiedy wyswobadzał psa, to można wytłumaczyć to „brzydkie ugryzienie”. William wszedł ostrożnie z miską i nożem kuchennym. Nie dopuszczając, aby pies zobaczył ostrze, udało mi się wcisnąć nóż pod sznurek i przeciąć go. Upadł daleko. William postawił miskę na ziemi i delikatnie zapraszał do niej psa. Pies wstał i niepewnie poczołgał się do miski, ciągle jeszcze skulony i przestraszony. Milcząc patrzyliśmy, jak chłeptał jedzenie. Połykał zdaje się z trudnością, ale udało mu się zjeść prawie całą zawartość miski. Potem odwrócił się i poczołgał z powrotem do swego legowiska.

— Czy przynieść może trochę jedzenia Hodży?

— Nie, zbyt długo głodował, chleb i mleko na razie wystarczą. Dajmy mu teraz się przespać.

— Czy mogę go pogłaskać?

125

— Oczywiście. Mów coś do niego, a ja wyprowadzę rower na zewnątrz. Poruszaj się powoli. Nie sądzę, aby miał obecnie dobre mniemanie o gatunku ludzkim.

Zostawiliśmy psa, zamykając drzwi od komórki.

— Czy dlatego pytała pani o sidła? - spytał William.

— Tak.

— Ale przecież nie wiedziała pani o psie.

— Nie. Ale w pewnym sensie wiedziałam. Słuchaj. - Powiedziałam mu o nocnej przygodzie z Jessamym. - Jeśli pies przytrzasnął sobie ogon w sidłach, a Jessamy skaleczył go przy próbie uwolnienia, to wiemy już, dlaczego został pogryziony. Rana wygląda zbyt groźnie jak na pułapkę, chyba że pies sam poszarpał sobie ogon. Bez względu jednak na to, jakie to są sidła, znajdę je i zabiorę.

— Czy mogę pomóc?

— Oczywiście. Liczę na ciebie, Jessamy powiedział, że to było „w kierunku dworu”. Czy to daleko?

— Niezbyt daleko. Około pół mili.

— A więc chodźmy.

Choć „dwór” z pewnością był dość duży, z łatwością można było stwierdzić, że w okazałych,

walących się ruinach nie było sideł w normalnym tego słowa znaczeniu. Albo Jessamy mnie nie zrozumiał, albo wykorzystał łatwo nasuwające się wyjaśnienie, aby uniknąć dalszych pytań.

Schodki na froncie były jeszcze w stosunkowo dobrym stanie. Wznosiły się harmonijnym zakrętem do drzwi frontowych, odgraniczając rodzaj suchej fosy, tworzącej jakby wąskie podwórze, gdzie zapadnięte małe okna oświetlały pokoje w suterenie. Były tam zapewne pokoje, gdzie mieściła się administracja, pokój bilardowy, magazyny broni, garderoby, a na tyłach domu kuchnia, spiżarnia, pokój w którym trzymano buty do konnej jazdy i kotłownia. Piwnice musiały być jeszcze niżej.

— Nikt by nie zastawił tutaj sideł - powiedział William, gdy ostrożnie wspinaliśmy się po schodach i przez balustradę spoglądaliśmy na dawne pomieszczenia suterenu.

126

— Trudno to sobie wyobrazić. Jeśli pies dostał się tutaj, mógł gdzieś upaść i w ten sposób uwięził się.

— Ze sznurem wokół szyi?

— Masz rację, to niemożliwe.

— Zejdę na dół i zajrzę przez tę szczelinę, dobrze?

— Idź, ale, na litość boską, bądź ostrożny.

Patrzyłam jak chłopiec schodził ostrożnie w dół przez obsunięte i rozwalone bloki kamieni, aż dotarł do resztek jednego z okien sutereny.

— Czy widzisz coś?

Nie było odpowiedzi. Zaraz jednak, nie odwracając się, przywołał mnie skinieniem ręki. Zeszłam i stanęłam obok niego. Wyteżyłam wzrok. Zobaczyłam pozostałości małego pokoju, którego popękane ściany i sufit przepuszczały światło. Na podłodze leżała gruba warstwa pokruszonego tynku, kamieni i dawno spróchniałych wiórów drzewnych. Do futryny drewnianych drzwi oderwanych od muru przywiązany był kawał postrzępionego sznura. Obok leżała poobtlukiwana emaliowana miska, pusta i sucha. Odchody psie, dużo tego, walały się na małej przestrzeni wokół futryny.

Atmosfera strachu i rozpacz, która unosiła się w tym więzieniu, zabijająca zaufanie i miłość, była silniejsza od woni odchodów.

Zachowaliśmy milczenie. Musiałam mocno zaciskać wargi, by nie powiedzieć, co czułam, a myślę, że William połykał łzy.

Wyszliśmy z tego wilczego dołu na świeże powietrze i w ciszy zawlekliśmy się do naszych rowerów. William nie próbował wsiąść na rower. Stał trzymając go. Nie patrzył na mnie, ale na ruiny dworu.

— Czy mogą zażądać, abyśmy go zwrócili?

— Kto?

— Ci, którzy go tu zostawili. Mówiła pani, że Jessamy powiedział, że to Cyganie.

Potrząsnęłam głową. - Ktokolwiek to był, jeżeli skazał psa na głód, nie ma szansy. Nie ma żadnej szansy, by dostać go z powrotem. Będą mieli szczęście, jeśli unikną sądu. Nie, jeśli to Cyganie, to już tu nie wrócą.

— Czy więc zatrzyma go pani?

— Ależ tak. Ale - zawałam się - czy twój ojciec pozwoli ci przez krótki czas zaopiekować się nim?

127

— Ja miałbym...? - Wyglądał na uszczęśliwionego, ale w jego pytaniu był cień wątpliwości.

— Tak. Jest kilka pytań, na które muszę odpowiedzieć, a dopóki tego nie zrobię, wydaje mi się, że nie powinniśmy nadawać rozgłosu tej sprawie. Widzisz, to dziwna sprawa. To znaczy...

Od razu się zorientował. - Czy pani ma na myśli, że mogą mu zrobić krzywdę? Czy Jessamy, tak naprawdę, wcale nie próbował go oswobodzić?

— Nie wiem. Wiem tylko tyle... Ma to jakiś związek z... Ach, nie mogę ci jeszcze powiedzieć, Williamie. Naprawdę, czy mógłbyś na razie zostawić to mnie?

Nie mogłam mu powiedzieć, że to miało związek z koszmarami czarnej magii i pewnym przyrzeczeniem, jak pamiętałam, uczynionym nad rzeką Eden. Ale moje przypuszczenia zgadzały się z jego podejrzeniami i on o tym wiedział. Dodałam powoli:

— Wszystko w porządku na zdrowy rozum... Pies szarpał sznur i zapewne sam go przegryzł. A kiedy sznur został przerwany, mógł wyskoczyć stamtąd - i zrobić to - i uciec. Tak więc, jeśli nawet przyjmujemy, że Jessamy wszedł tam, aby go uwolnić, to dlaczego pies pogryzł go tak strasznie? Słyszałam głos wyrażający ból. Jeśli pies został skaleczony i przestraszony, to rzucił się na sznur, chwycił go zębami i wtedy uciekł. Widzisz więc, jak to się stało.

— Ta rana? Oczywiście, panno Geillis. - Wciągnął powietrze. — Oczywiście wezmę go. Z



miejsca.

— Czym prędzej, tym lepiej. Czy twój ojciec nie będzie przeciwny?

— Nie, jeśli mu powiem, co się zdarzyło. Dzisiaj nie mogę, bo pojechał do Londynu na spotkanie z wydawcą. Wróci późno. Ale wszystko będzie w porządku, jestem pewien. On lubi zwierzęta, naprawdę lubi, ale nie ma czasu, a pies, według niego, zabiera masę czasu. Muszę mu przecież o wszystkim powiedzieć?

— Oczywiście. I wytłumacz mu, że wezmę psa, gdy tylko wszystko się wyjaśni. Musisz na razie zaopiekować się nim i karmić go. Jestem przekonana, że nie jest tak chory, by serdeczność i dobre pożywienie nie wyleczyły go. Jak tylko będzie to możliwe, wezwę weterynarza. Pójdę do Arnside po żywność dla niego, ale na razie ciemny chleb i mleko, może też ubite jajko, a może nawet jajecznicza. Dasz radę?

128

— Z całą pewnością.

— A więc wracajmy, dobrze? Williamie, jesteś ekspertem od kluczy. Czy składzik można zamknąć na klucz?

— Tak.

— A więc wracajmy i zamknijmy go, zanim przyjdą następni goście!

Po powrocie do Thornyhold sprawdziliśmy, co się dzieje z psem; okazało się, że głęboko śpi. Zamknęliśmy na klucz składzik i poszliśmy do kuchni, gdzie zrobiłam dla siebie kawę, a Williamowi dałam kubek słodkiego kakao i kawałek ciasta, którym ostatniej nocy karmiłam Jessamy'ego.

William nie zadawał dalszych pytań. Zapewne wolał przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało i cieszyć się pasjonującą perspektywą opieki nad psem i pielęgnowania go, by wrócił do sił. Jego słowa nie docierały do mnie. Połowa mojej świadomości pogrążona była w dziwnym księżycowym świecie snów i wspomnień pełnych tajemnic czekających na wyjaśnienie.

— Kto w okolicy trzyma gołębie? - zapytałam.

— Gołębie?

William, któremu w pół zdania przerwałam jego opowieść o doświadczeniach z owczarkami i oszałamiających zaletach collie, powtórzył pytanie tonem, jakby chodziło o pterodaktyle z ery mezozoicznej.

Jego mina sprowadziła mnie z powrotem na ziemię i rozśmieszyła.

— Tak. Gołębie. Ptaki. Upierzone. Wydające dźwięki guu, guu i mieszkające w gołębnikach. Albo w mansardzie, jak moje. Powiedziałaś mi, że pomagałaś panie Geillis zajmować się nimi.

— Przepraszam - powiedział William, uśmiechając się. - O co chodzi z gołębiami, panno Geillis?

— Czy nie uważasz, że wystarczyłoby tylko „Gilly”? Może będzie mniej zamętu. I odrzuć „panna”.

— Ja... sam nie wiem.

— Spróbuj. Powiedz „Gilly”.

— Gilly.

129

— Jeszcze raz.

— Gilly.

— Świetnie. A teraz odpowiedz; pytałam cię po prostu, kto w okolicy trzyma gołębie?

Zmarszczył brwi. - Niech pomyślę. Więc po pierwsze, były kiedyś gołębie na farmie, nie w naszym domu, ale tam gdzie mieszka farmer, w Black Cocks, ale zdaje się, że to były dzikie ptaki, wie pani, skalne gołębie. Tata mówi, że wszystkie oswojone od nich pochodzą, tak że

chętnie szukają gniazd w skrzynkach i tym podobnych rzeczach, gdyż dzikie mają gniazda w pieczarach i w wydrążeniach skalnych.

— Nie mówię o dzikich gołębiach. Zdomowione gołębie pocztowe.

— Oczywiście. Muszą być w mieście. Koło mostu na rzece jest wielkie pole, podzielone na działki, wiesz, małe ogródki. Wielu ludzi na działkach ma gołębniki. Dlaczego? Czy masz zamiar znowu je trzymać?

— Wygląda na to, że powinnam. Teraz mam dwa gołębie. Drugi przyleciał tutaj wkrótce po moim przyjeździe, z listem.

— Z listem? - Z hałasem postawił kubek na stole, aż wylało się trochę kakao. - Przyleciał tutaj? Co było w liście?

— Pokażę ci.

Schowałam list w wewnętrznej przegródce torebki. Teraz wyłowiłam kawałek bibułki z przesłaniem.

— Czytaj!

Może to było głupie. Jednak, prawdę mówiąc, musiałam komuś się zwierzyć, a zapomniałam,

jakim jeszcze dzieckiem był William. Pod wieloma względami miał rozsądek, usposobienie i wytrzymałość chłopca dwa razy starszego i przed chwilą pozwoliłam mu nazywać się po imieniu, jak gdyby był moim rówieśnikiem. Wręczyłam mu karteczkę.

Wstał, aby ją odebrać. W czasie czytania zdrowy koloryt jego twarzy zniknął. Wargi rozchyliły się, zupełnie blade.

Z nagłą skruchą powiedziałam: - Williamie, przykro mi, nie powinnam ci tego pokazywać... Siadaj, proszę. Wszystko w porządku. Bez względu na to, kto to wysłał, trudno wyobrazić sobie coś przyjemniejszego i bardziej pożądanego. Przyszło w najwłaściwszym momencie. Gołąb musi być...

— Ona nie mogła tego przysłać. Przecież nie żyje. Byłam  
130

na jej pogrzebie. Poszedłem z tatą... Chciałem powiedzieć, że została pochowana. Widziałem.

— Williamie, Williamie. Przestań, bo czuję się okropnie. Nigdy bym ci tego nie pokazała, gdybym nie potrzebowała przyjacielskiej rady. To było....

— Tata nie chciał, abym poszedł, ale ja tak ją lubiłem i chciałem tam być. Nie byłem na pogrzebie mamusi, gdyż on powiedział, że jestem za mały, ale to było wiele lat temu, a tym razem pozwolił mi i wszystko widziałem.

— Williamie...

Nie słuchał. Doznał takiego wstrząsu, jak ja.

— Czy to oznacza, że ona była czarownicą? Wiem, że tak mówili ludzie, ale ona śmiała się z tego. Mówiła, że czasami może przepowiadać coś, co stanie się w przyszłości i żartowała mówiąc co może mi się przydarzyć, ale zawsze było to niepoważne. Mam na myśli, że to były tylko żarty. Czyż nie?

— Oczywiście, tylko żarty.

— Czy naprawdę była czarownicą?

— Nie wiem. Nie wiem, czy istnieją tacy ludzie. Wiem za to, że była wokół niej atmosfera siły magicznej i jest wielu ludzi, którzy „mogą przewidzieć coś, co stanie się w przyszłości”.

Bez względu jednak na to, kim była moja kuzynka Geillis, była, Williamie, dobrą kobietą i zupełnie słusznie ją lubieś. Spotkałam ją tylko kilka razy, ale ją kochałam. Nie kłopotz się już więc magią i czarami.. Nie wiem czy istnieją, czy nie, ale jeśli tak, to zaufaj Bogu, a one ci nie zaszkodzą. Dobrze?

— Dobrze. Już się nie niepokoję, naprawdę. Ale pani... co się dzieje panno Gilly? Gilly?

Czy czujesz się dobrze? Wyglądasz dziwnie...

— Naprawdę? Nic mi nie jest. Absolutnie nic. Tylko... myślałam, a może źle zrozumiałam, ale powiedziałaś mi, że twoja matka uciekła i zostawiła cię. To wszystko. Byłam zdziwiona, gdy powiedziałaś, że umarła. Przykro mi, naturalnie przykro mi.

— Mnie też. Dlatego, że skłamałam. - Spojrzał w głąb pustego kubka. - Kiedy to się stało, w pewnym sensie zmyślałem trochę fakty. Łatwiej mi było niejako to znieść. Ale nie powinienem powiedzieć oczywistego kłamstwa.

— W porządku. Rozumiem. To nieważne.

— Mogło postawić tatusia w kłopotliwej sytuacji.

— No, tak. Mogło, ale tak się nie stało.

Mój ton nie był z pewnością przekonujący, bo spojrzał na mnie z niedowierzaniem i zrezygnował z dalszego wyjaśniania. -A gdybyś rozmawiała o tym z kimś, kto wiedział? Agnes? Ona z pewnością wiedziała, ale nie wyjaśniła mi. Dlaczego?

To pytanie także mogło poczekać. Na razie powiedziałam wesoło:

— Zapomnij o tym, Williamie. A co do przesłania przyniesionego przez gołębia, to zapomnijmy o czarach, i spróbujmy domyślić się, jak to mogło się stać, dobrze? A więc powróćmy do gołębi.

Odsunął kubek na bok. - Tak. Ptaki. Upierzone. Wydające dźwięki guu, guu. Co z nimi? Szybko wracała mu rezolucja. Nalałam sobie jeszcze trochę kawy i znowu usiadłam.

— Niewiele wiem o nich. Z jaką szybkością fruują, na przykład?

— Nie więcej niż sześćdziesiąt mil na godzinę, ale to zależy oczywiście od wiatru i pogody.

— Sześćdziesiąt mil na godzinę? Mój Boże. Czy wiesz, czy moja kuzynka miała gołębnie pocztowe?

— Nie wiem. Wszystkie były domowe, oczywiście, można przyjąć, że wszystkie są.

— Ale nie widziałaś, aby moja kuzynka przysyłała wiadomości?

— Nie, ale to nie znaczy, że nie przysyłała. Robiła wiele rzeczy, o których nie mogłem wiedzieć.

— Czy orientujesz się, co się stało z jej gołębiami?

— Przyszedł ktoś i zabrał je, i to wszystko. Pani Trapp powiedziała mi, że już ich nie ma i że nie potrzebuję przychodzić, by je karmić.

— A więc jedynym wyjściem może być to, że moja kuzynka zostawiła gotową przesyłkę z instrukcją, by wypuszczono ptaka, gdy przyjadę do Thornyhold.

— Tak, ale to by oznaczało, że wiedziała, że przyjedziesz Mam na myśli, że wiedziała, że umiera. Musiała napisać tę karteczkę zanim ją zabrano do szpitala, zanim zabrano gołębnie.

— Wiedziała - powiedziałam cicho. - To była ta odrobina

132

wiedzy o przyszłości, której była pewna. Na długo zanim zachorowała napisała do mnie list i dała adwokatowi, aby wysłał go w określonym dniu, a mówił on: „Kiedy otrzymasz ten list Thornyhold będzie twoja”. Myślę, że poznanie przyszłości może zakłócać spokój, ale jednocześnie może być pozytywne; poznać ale się nie bać, mieć czas na zrealizowanie swoich

zamierzeń i wiedzieć, że rzeczy i ludzie, na których nam zależy, przechodzą w dobre ręce.

Czy nie myślisz tak samo?

Nie odezwał się, ale napięcie zniknęło z jego twarzy i przytaknął głową. Postawiłam filiżankę i wstałam.

— No tak. Ten dzień zaczął się niespokojnie dla nas obojga, biorąc wszystko pod uwagę. Zapomnijmy teraz o tym i zajmijmy się tym, co mamy do zrobienia, dobrze?

— Zanim wyjdę, czy mogę spojrzeć na niego? - zapytał William.

— Tylko jedno spojrzenie i nie obudź go.

— Jak go nazwiesz?

— Kiedyś znałam collie o imieniu Tramp. Co myślisz o tym? Zmarszczył nos. - Trochę pospolite. A może Gałgan?

— Myślę, że masz rację. Nie powracać do przeszłości. A więc idź już i dziękuję ci za wszystko. Daj znać, co powie twój ojciec.

Odprowadziłam go do drzwi kuchennych. Już ze ścieżki odwrócił się:

— Ach, tata powiedział, abym się zapytał czy z twoimi rękami jest lepiej?

— Świetnie. Podziękuj mu proszę.

— Dobrze. Do zobaczenia.

Widziałam, jak zajrzał przez okno składziku, potem skinął głowę w moim kierunku, naśladując sen psa. Pomachał ręką i odszedł.

Patrzyłam za nim aż do momentu, gdy zniknął w lesie, a potem spojrzałam w górę. Dalekie chmury zdawały się tworzyć olbrzymi znak zapytania.

18

Przygotowałam dla siebie lunch, nakarmiłam kota i psa, i pozostałam z nim jakiś czas. Był teraz spokojniejszy i zdawał się cieszyć z mojego widoku, a nawet udawało mu się w czasie jedzenia, mieszaniny ciemnego chleba i kawałków kury w rosole, machać połową ogona. Gdy wypuściłam go na krótko, nie okazał wcale chęci ucieczki, lecz załatwił swoje potrzeby i powrócił do bezpiecznego schronienia w komórce. Zamknęłam za nim drzwi i poszłam do kuchni. Przyrzekłam znaleźć „specjalną” książkę z przepisami, a jeśli to by się powiodło i dostarczyłabym ją Agnes, może udałoby się utrzymać z daleka rodzinę Trapp, przynajmniej dopóki nie pozbędę się psa na jakiś czas. Podejrzywałam, że Agnes nie zależało wcale na przepisach, na przykład na galaretkę z jeżyn - cóż w tym mogło być specjalnego - ale na poznaniu sekretnych sposobów przygotowywania leków kuzynki Geillis. Jeśli chodzi o mnie, mogła je dostać. Jednej rzeczy mogłam być pewna, nie przyniosą nikomu szkody. Zamknęłam spis inwentarza wraz z kopią testamentu w biurku w małym pokoiku.

Wyciągnęłam go teraz, zaniósłam do bawialni i usiadłam, by zapoznać się z nim do końca. Spis był ułożony według pokoi. Zaczęłam od pobieżnego przejrzania spisu zawartości pokoju, w którym się znajdowałam: meble, tkaniny, obrazy, przedmioty dekoracyjne... W tym zakresie, jak mogłam to stwierdzić bez szczegółowego sprawdzania, wszystko było na miejscu. Pozostała zawartość wielkich regałów na książki. To, jeśli będę chciała być dokładna, będzie wymagało szczegółowego sprawdzenia, ale chwilowo wystarczy pobieżne przejrzanie listy. Sprzątając pokój sporo czasu poświęciłam półkom i mniej więcej pamiętam, co tam było. Był to bogaty zbiór powieści, kilka biografii (podobnie jak ja, nie przepadała za ni mi), wielki dział książek podróżniczych - opisów podróży do egzotycznych

134

krain, książki o zwierzętach. Trzy pełne półki o ptakach, jeszcze jedna o motylach i ćmach i dwie o drzewach, kwiatach i trawach. Lecz dział główny - i najbardziej pociągający - dotyczył ogrodów i roślin ogrodowych. Spojrzałam na kilka pozycji z tego ostatniego działu; książki o roślinach zostały wybrane przez ogrodniczkę, nie przez zielarkę. Niczego tutaj nie można nazwać zbiorem przepisów.

W każdym razie Agnes Trapp miała dostęp do tych półek, tak samo jak do książek kucharskich w kuchni i paru słowników i encyklopedii w małym gabinecie, a więc zielarnia była jedynym miejscem, w którym należało szukać.

Przekartkowałam spis inwentarza i znalazłam: „zawartość zielarni”, długie rzędy pozycji, strona po stronie chemikalii i roztworów, butle i słoiki z nazwami, wszystko uporządkowane. Na szczęście był krótki spis sprzętów i wreszcie trzy stronic tytułów książek. Nie było kłopotu, żadnego kłopotu. Pierwszy tytuł był podkreślony na czerwono. Tylko ten był tak wyróżniony. A tytuł upewniał o słuszności takiego wyróżnienia.

Leczenie domowe i przepisy Dobrej Pani Gostelow, starszej pani, która mieszkała tutaj przez siedemdziesiąt lat, której opinia, jako czarownicy, przeszła bezpośrednio na kuzynkę Geillis,

a teraz do pewnego stopnia na mnie. Dobra Pani Gostelow, znawczyni magii, która uczyniła Thornyhold zaczarowaną warownią, broniącą przed złem i pozwalającą rozwijać się i dojrzewać dobru; której Leczenie domowe prawdopodobnie studiowała i którym kierowała się moja kuzynka; której przepisy tak bardzo pragnęła zdobyć Agnes Trapp. Sprawdziłam, że drzwi były zamknięte, wzięłam ściereczkę do kurzu i poszłam na górę. Na pierwszy rzut oka nic nie wydawało mi się podobne do zbioru Dobrej Pani Gostelow, ale stały tam setki tomów, wiele z nich zniszczonych od częstego posługiwania się, niektóre nawet postrzępione i łatwo było przeoczyć mały zeszytek wetknięty w jakąś książkę. Zabrałam się do pracy metodycznie, wyjmowałam książki z poszczególnych działów, oglądałam je po kolei, odkurzałam i ustawiałam z powrotem na półkach. Była to ciężka praca i powolna, nie tylko dlatego, że czyściłam każdą książkę przed postawieniem jej na półce, ale także dlatego, że książki były pasjonujące i przeciągałam oglądanie wielu. Jeśli chodzi

135  
jak je hodować i pielęgnować, ale nie odwracałam oczu od psa. Przez parę chwil wędrował niespokojnie po pokoju, wachając, badając, spoglądając często na mnie, a ilekroć spotkał mój wzrok, ogon był gotowy do machania.

- Gałgan! - spróbowałam, a gdy przyszedł, klepałam go i głaskałam, aż w końcu z westchnieniem usadowił się koło mego krzesła, nos oparty na łapach, przymrużone oczy patrzyły w ogień.

Był to długi, spokojny wieczór. Pies spał, podrywał się tylko, gdy dokładałam drwa do ognia. Nie wiedziałam, czy był przyzwyczajony do przebywania w domu i do dywanika przed kominkiem, ale niewątpliwie zasmakował w tym od razu.

Wreszcie usłyszałam dźwięk, na który czekałam; Hodża chciał wrócić do domu. Spojrzałam na Gałgana. Podniósł łeb, zmierzył oczami okno, pomachał ogonem, ale nie ruszył się. Przeszłam przez pokój i otworzyłam okno. Hodża wpadł do środka, stanął bez ruchu, nastroszył sierść. Gałgan leżał cicho i przymilnie pomachał ogonem. Kot zbliżył się. Pies cofnął się do mego krzesła, ustępując w ten sposób.

Obserwując ten pojedynek woli obu zwierząt, byłam zadowolona. Pies z całą pewnością znał koty i lubił je; kot, zwierzę dominujące, potrzebował czasu, aby się oswoić z obecnością psa,

ale wiedział, że nic mu nie zagraża. Potrzeba tygodnia lub dwu i wszystko się ułoży.

Usiadłam jeszcze na chwilę nad książką, nie tracąc nic z oczu, gdy tymczasem pies powrócił do czujnego drzemania, a kot podszedł dumnym krokiem do fotela po drugiej stronie kominka i usadowił się tam, by dalej zająć się myciem, nie spuszczając psa z oczu.

Nagle zauważyłam, że coś się porusza na stole przy moim łokciu. Kula. Położyłam ją tam i zapomniałam, a płomienie z kominka spowijały ją ruchliwie, zmieniały się światła i cienie, barwy i szarości.

Duchy czarne, białe, bure i szare Zstąpcie, zstąpcie, zstąpcie W tę tu pieczarę.'

137

Cytowanie Makbeta było niefortunne. Ale ten właśnie rym nie pochodził z samego Makbeta, ale został tam zacytowany ze starej sztuki o czarownicach...

Hodża, kot czarownicy, z ciągle wyciągniętą jedną nogą, przestał się myć i przyglądał się uporczywie kuli. Oczy miał szeroko otwarte i błyszczące, ale sierść była gładka, świeżo wylizana i nieruchoma. Wyglądał po prostu na zainteresowanego i nic poza tym.

Chwyciłam kulę, zatrzymałam ją w dłoniach i zaczęłam w nią się wpatrywać.

Stado fruwających gołębi ciągle tam było wśród cieni i płomieni. Zupełnie jak gdyby patrzyło się na staromodny szklany przycisk do papieru, w którym po potrząśnięciu spadają płatki śniegu. Gołębie krążyły i krążyły, i na moich oczach złączyły się w jedną migocącą w locie chmurę, i wolno opadały w bezruchu.

Pies zdawał się być zadowolony z powrotu do legowiska w komórce. Zostawiłam go tam z

biszkoptem i miską świeżej wody, potem postawiłam miseczkę mleka dla Hodzy i zamknęłam na klucz drzwi. Kot, ciągle jeszcze trochę zdenerwowany, uspokoił się po zniknięciu psa i rytuale pieszczot przed snem. Majestatycznie wyprzedził mnie w drodze na górę i zniknął w mojej sypialni.

Pozostał jeszcze jeden element wieczornego rytuału. Napełniłam wodą dzbanek dla gołębi i udałam się na strych.

Wydaje mi się, że tego oczekiwałam, ale mimo to przez chwilę stanęłam jak wryta, a przysłowiowe ciarki przeszły mi po plecach. Były tam teraz trzy gołębie, siedziały na belkach jeden koło drugiego. Kręciły się gruchając. Trudno o bardziej niewinny obrazek, niż te trzy zwiastuny pokoju, ci wysłannicy zmarłych.

Nowy był inny niż pozostałe, błękitno szary, piersi mieniły się kolorami tęczy. Gdy wyciągnęłam rękę, by go zdjąć z grzędy, spojrzał na mnie spokojnie oczami w kolorze granatu.

Do jego nogi była przyczepiona karteczka z korespondencją. To było oczywiste. Delikatnie odczepiłam ją i umieściłam ptaka na grzędzie. Zanim rozwinęłam kawałek papieru, nasypałam pożywienie

138

i nalałam świeżej wody do rynienki. Ptaki sfrunęły do ziarna, a przybysz zanurzył głowę w wodzie.

Stojąc pod nieosłoniętą żarówką rozpostarłam skrawek papieru.

Było to inne pismo. Mały druk kapitalikami mówił:

*Witaj w Thomyhold i niech Bóg ma twój sen w opiece.*

Nie było podpisu.

Podeszłam do okna i długo stałam przyglądając się blednącym barwom nieba, na którym tej pamiętnej nocy widziałam sowy i poruszające się światła, a ja fruwałam ponad wysokimi drzewami z szeleszczącymi liśćmi. Zawsze dawał mi satysfakcję fakt, że wiedziałam, że w otaczającym nas świecie jest coś więcej niż to, co udaje nam się zrozumieć. Wydało mi się, że zbliżyłam się bardziej do spokojnego świata wiary. Jeśli nawet oznaczało to, że „koszmary nocne” zdarzyły się naprawdę, to zapewne mogłam je zaakceptować. Niech Bóg ma twój sen w opiece. Być może, jeśli wyrzucę z pamięci dawne koszmary, a przywołam pamięć tego wszystkiego, co było dobre w moim dzieciństwie i czego mnie nauczono, będę spokojna. Sądziłam, że Agnes nie będzie zwlekała i upomni się o upragnioną książkę, i miałam rację. Przyszła wkrótce po śniadaniu. Zanim trzasnęły drzwi kuchenne i kot uciekł na górę, zobaczyłam cień w oknie komórki na narzędzia; nakarmionemu psu nakazałam ciszę, kryształowa kula została zamknięta w biurku razem ze spisem inwentarza, a ja w kuchni myłam słoiki na galaretkę z jeżyn.

— A więc panno Ramsey? - Tak mnie powitała. Z pewnością szła szybko, bo brakowało jej tchu, a policzki były mocno zaróżowione.

Przywitałam ją ciepło: - O, Agnes, tak się cieszę, że przyszłaś. Miałam zamiar pójść do ciebie

trochę później, ale wczoraj całkiem zapomniałam o galaretkę i pomyślałam, że lepiej się tym zająć. Prawie cały litr soku, to nieźle, prawda? A teraz zastanawiam się...

— Przynęła pani poszukać książki - powiedziała ostro. Oskarżająco.

— Właśnie to było przyczyną, że zapomniałam o galaretkę. Znalazłam spis inwentarza i przejrzałam wszystkie książki ze spisem w ręku. Zajęło mi to wieki. Jest jedna książka, która zdaje się być interesująca i zastanawiałam się... ale czy możesz mi teraz powiedzieć, co dalej zrobić z galaretką? Nie znalazłam żadnego szczegółowego przepisu, wobec tego zastosuję taki, jaki mam. Kilogram cukru na litr soku. Udało mi się też znaleźć parę jabłek, które spadły

w sadzie.

— Zrobię to - wyrwała mi niemal sok. Rumieniec na twarzy pogłębił się, ale zdawało mi się, że nie z powodu mojej wzmianki o ogołoconych drzewach owocowych. Był to gniew. Na chwilę pohamowała jednak złość, by pokazać mi prezent, który jak zwykle mi przyniosła. Zwaliła z hałasem na stół duży koszyk jeżyn, aż zatrzęsły się owoce.

140

— Przyniosłam pani to. Mówiłam, że koło nas jest ich bardzo dużo. I dodałam do tego parę dzikich jabłek. Równie dobrze pomagają galaretkę ściąć się.

— O, dziękuję. Jak to miło.

Zdawało się, że powiedziała to z różnymi odcieniami nieszczerości, a każde następne słowo było coraz mniej przekonujące.

— To zaoszczędzi pani kolejnej wyprawy do kamieniołomów.

— Oczywiście.

Gdy szybko spojrzałam w jej oczy, nagle zasłonięte, już wiedziałam, że to właśnie był powód,

dlaczego przyniosła mi owoce. Dlaczego u licha tak chciała mnie powstrzymać od nowego tam pójścia? Odrzuciłam tę myśl i odwracając się do niej plecami mieszałam sok.

Z tyłu usłyszałam jej ostry głos: - Co do książki...

— Ach, tak. Domyślałam się, że widziałaś tę książkę? To znaczy, wiesz, że moja kuzynka ją miała?

— Ależ tak.

— Tak więc, pierwsza pozycja w spisie wydała mi się najbardziej prawdopodobna. Miała tytuł: Leczenie domowe i przepisy Dobrej Pani Gostelov. - Obrzuciłam ją spojrzeniem - Czy taki tytuł zapamiętałaś?

— To właśnie to - błękitne oczy zabłysły z wrażenia. — To właśnie to.

— Tak myślałam - powiedziałam mieszając. - Obawiam się jednak, że jej tam nie ma.

— Co pani przez to rozumie, że jej tam nie ma?

— Tylko to, co powiedziałam. Spis inwentarza obejmuje wszystkie książki i tak jak mogę obecnie stwierdzić, wszystkie książki tam są, z wyjątkiem tej jednej. Może pożyczyła komuś? Podniosła głos. - Nie zrobiłaby tego. Nie mogła. Gdyby chciała pozwolić komuś przejrzeć ją,

to byłabym ja. Jeśli miałyby mieć ją ta stara Madge..., ale ona by tego nie zrobiła. Nie panna Saxon.

Spojrzałam na nią z zaciekawieniem. Mój wzrok sprawił, że opanowała się. Powiedziała już spokojniejszym głosem:

— Wdowa Marget, która mieszka koło Tidworth. Nie przyjaźnię się z nią. Nie sądzę, by przyjaźniła się z nią panna Saxon.

— A więc prawdopodobnie nie pożyczyła jej książki. Jeśli

jednak ją znasz, dlaczego jej nie spytasz, kiedy będziesz przechodzić w pobliżu?

— Mogę - powiedziała Agnes i usiadła przy stole. Palce jej szarpały spódnice. Wyglądała na zatroskaną i przygnębioną. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, współczułam jej, nie zdając sobie sprawy dlaczego.

Zamieszałam galaretkę. - Czy faktycznie widziałaś książkę?

— Tylko jeden raz. Ale panna Saxon nie należała do tych, co dają przepisy drugim i wzięła ją zanim mogłam cokolwiek odcyfrować.

— Czy nie dała ci nigdy żadnego ze swoich przepisów?

— O tak, balsam żywokostowy i jakieś napary z ziół. Raz dała mi lekarstwo przeciw kaszlowi dla matki, które było niezastąpione. To było jej słowo: „niezastąpione”. Chętnie bym spojrzała na ten przepis przed nastaniem zimy.

— Oczywiście. - Schyliłam się, by powąchać gotujący się sok. Pachniał, jakby już był

gotowy. Łyżeczką zaczerpnęłam trochę i wlałam na zimny talerzyk.

— Powiedziałaś Agnes, że nie mogłaś jej odcyfrować. Czy to znaczy, że była pisana ręcznie?

— O tak. Była pisana i pismo w pewnych miejscach było niewyraźne i pokreślone. Było bardzo trudne do przeczytania, szczególnie dla mnie, bo mało czytam.

Po przechyleniu talerzyka galaretka zmarszczyła się, już tężejąc. Zdjęłam garnek z ognia, przeniosłam na stół i wzięłam podgrzane nad kuchnią słoiki.

— Słyszałam coś o Dobrej Pani Gostelow, Lady Sybil. Mówił mi pan Dryden. Myślałam, że ponieważ działo się to tak dawno temu i ze względu na wszystkie te, powiedzmy, opowieści o niej, książka może mieć pewną wartość. Być może więc jest u adwokatów albo kuzynka moja złożyła ją w banku, czy coś w tym rodzaju. Nie martw się, proszę, znajdę ją i dam ci znać.

Wyglądała na uspokojoną. - Będę bardzo rada. Nie, Żebym rozpaczliwie tego potrzebowała, ale kiedy ktoś obiecuje i oczekuje się tego... - Zawiesiła głos. - Galaretka zdaje się być gotowa. Proszę mi pozwolić. Dobiorę pokrywki. Czy patrzyła pani na półkach?

— Co? Tak, patrzyłam. Dobrze wiesz, że nie ma jej w kuchni ani w bawialni, ani w małym gabinecie. Jestem pewna, że nie

142

przegapiłam jej w zielarni, ale jeśli chcesz, sama możesz sprawdzić. Na kredensie leży klucz. Okazanie przeze mnie najlepszych chęci musiało ją uspokoić. Potrząsnęła głową.

— Nie, jeśli pani szukała. Nie umiem obchodzić się z książkami. Może się znajdzie. Proszę spytać adwokatów, może ja pójdę i wypytam wdowę Marget. Etykiety są gotowe. Pomogę pani oczyścić te nowe jeżyny.

Znalazła dużą miskę, wysypała jeżyny ze swego koszyka i zasiadła przy stole.

Skończyłam przelewać galaretkę i odstawiłam słoiki na bok do ostygnięcia. Miałam cztery słoiki i czułam się nieprawdopodobnie dumna z siebie, gdy światło słoneczne wpadające przez okno sprawiło, że ciemny kolor był jeszcze piękniejszy niż kolor wina.

— Czy dość dobre na wystawę dżemów? - spytałam ją, śmiejąc się.

— Mówiłam, że pani nie musi dużo się uczyć - odrywając szypułki, spojrzała na mnie. -

Doroczna wystawa już się odbyła, ale, znaczy się, będą inne. Któregoś dnia może pójdzie pani ze mną na spotkanie z innymi paniami. Mamy tu spotkania przez cały rok.

— Dziękuję. Chętnie pójdę - zaśmiałam się znowu. - Ale nie po to, by zaprezentować moje produkty. W każdym razie jeszcze nie teraz.

— Mamy dość czasu - powiedziała Agnes. Jeszcze jedno spojrzenie. — Czy smakowała pani moja zupa?

— Była znakomita. Co do niej włożyłaś, poza porami i śmietaną?

— To, co miałam pod ręką. Grzyby i tym podobne, i dzikie zioła z mojego własnego przepisu.

Po paru minutach, gdy włączyłam się, by pomóc jej w czyszczeniu jagód, powiedziała:

— Nie czuje się pani tu za bardzo samotnie? Czy śpi pani dobrze?

— Cudownie, dziękuję. Ten pies, Agnes, ten na którego narzekałam, wygląda na to, że sobie poszedł. Do kogo należał?

— Tutaj w okolicy wszyscy mają psy. Może dla odmiany zamknięto go.

143

— Miejmy nadzieję, że tak będzie dalej. O, jest jedna sprawa, o którą miałam zamiar spytać cię: czy nie wiesz przypadkiem, kto wziął gołębie panny Saxon? William powiedział mi, że ktoś przyszedł z koszykiem i zabrał je. Czy widziałaś kto?

Tym razem kiwnęła głową potwierdzająco.

— Człowiek, który wziął je, pracuje w okolicy Taggs Farm, dwie mile za Tidworth. Nazywa się Masson, Eddy Masson. To on zapoczątkował jej hodowlę, dając jej wylęg. Panna Saxon



nie interesowała się tym tak, jak on. Po prostu lubiła wypełniać swój dom takimi stworzeniami. Miała zwyczaj opiekować się ptakami, z którymi było coś nie w porządku i znowu oddawać zdrowe Eddy'emu. Powiedziała kiedyś, że jak odejdzie, to Eddy przyrzekł je zabrać. I rzeczywiście zabrał, ale nie wiem, czy je zatrzymał. Dlaczego?

— Tak się zastanawiałam. Przypuszczam, że w czasie gdy zabierano gołębie, tego którego tu zastałam akurat nie było. Ile ich miała?

— Dziewięć albo dziesięć - zaśmiała się - jeżeli nie liczyć tych, co przylatywały tutaj na jedzenie. Dzikie gołębie, wiewiórki, mnóstwo tego. I nie tylko do mansardy. Widziałam kiedyś drozda na stoliku do podawania herbaty, a ten przeklęty kot nawet się nie ruszył, aby go przepędzić.

— Straszne. A teraz, czy napijemy się kawy? Rozmawialiśmy przy kawie na luźne tematy. Nie wracała już do książki z przepisami.

— Czy mogłabym obdarować cię czymś z tego domu? - spytałam wreszcie, kiedy nic nie wskazywało na to, że zbiera się do wyjścia. - Właśnie wychodziłam do ogrodu, gdy przyszedł.

William pomagał mi, ale do tej pory jeszcze nie wiem, co tam mam. Wkrótce będę przerywała rośliny. Może coś by ci się przydało?

Ale ona potrząsnęła głową, pożegnała się i poszła w kierunku alei.

Jak tylko upewniłam się, że odeszła, wyprowadziłam Gałgana na spacer do ogrodzonego murem ogrodu, potem zaprowadziłam go na górę, na poddasze. Gołębie - ciągle tylko trzy -

144

zagruchotały i z szumem pofrunęły na belki, gdzie usiadły przestępując z nogi na nogę, trwożnie nas obserwując. Pies im się przyglądał, ale bez specjalnego zainteresowania. Wydawało się, że poza jedzeniem, spaniem i poczuciem bezpieczeństwa, niczego więcej nie potrzebował. Zostawiłam go z jedzeniem, wodą i starym pledem, a po wyjściu stamtąd zamknęłam drzwi na klucz. Wtedy wróciłam do schowka na narzędzia, aby usunąć wszelkie ślady jego pobytu. Zanim zabierze go William, nie mogę ryzykować.

Po lunchu skończyłam czyszczenie jeżyn, które przyniosła Agnes. Były bardzo dobre, pełne i soczyste. Kilka zbyt dojrzałych, razem z szypułkami i liśćmi, odłożyłam i wrzuciłam na kompost przy bramie na tyłach domu. Reszta owoców znalazła się w garnku do robienia galaretki.

Właśnie gdy zaczęły się gotować, usłyszałam trzask drzwi na tyłach domu. To chyba nie Agnes jeszcze raz. Czy może William przyszedł po psa? A może? - gwałtowne kołatanie serca powiedziało, kogo miałam nadzieję zobaczyć. A to był Jessamy z wypchaną torbą, mocno utrzymaną w zabrudzonych jeżynami rękach.

— Halo! Jessamy! Wejdz. Czy to dla mnie? Twoja matka dopiero tu była i przyniosła ich masę. Jak to miło z twojej strony.

Położył torbę na drewnianej desce do suszenia naczyń. Oddychał z trudem, a jego błękitne oczy, tak podobne do oczu matki, spoglądały niepewnie i w napięciu.

— One nie są dobre. Proszę nie dotykać ich, panno Geillis.

— Jeżyn? Dlaczego? Właśnie je wyczyściłam i wyglądają na medal. Co masz na myśli? Jego tępa twarz znowu była bez wyrazu. Odwrócił wzrok. - Nic, nic, ale proszę nie dotykać. Naprawdę, nie są dobre. Zebrałem inne. To są zdrowe jagody. I włożyłem do nich jagody czarnego bzu, aby odpędzić czary. Niech się pani nie niepokoi o nie. Pytałem, zanim włożyłem jagody bzu.

— Kogo pytałeś? Twoją matkę?

— Nie, nie. - Wyglądał na przerażonego. - Pytałem tę, co mieszka w drzewie.

145

Litości, oto znowu cień Starej Anglii... Na głos powiedziałam cicho: - Dziękuję ci, Jessamy. Teraz pozwól, że obejrzę twoją rękę. Jak się czujesz?

— Lepiej. Będzie wspaniale.

Podwinął rękaw i wyciągnął ramię. Mój bandaż zniknął, zamiast niego była czysta, ale pognieciona szmatka.

— Nie byłeś więc u doktora, kto ci zrobił opatrunek?

— Ona. Musiałem jej powiedzieć o psie, gdy dawałem jej diabelski kołtun. Ale ona nie wie, że byłem tutaj i że pani jeszcze wtedy nie spała. - Z ożywieniem próbował mnie o tym upewnić.

— Wcale jej nie powiedziałem, panno Geillis, wcale.

— W porządku - powiedziałam uspokajająco. — Nie martw się. Pozwól mi spojrzeć, dobrze?

Zdjęłam szmatkę wraz z grubą warstwą ciemnej, zielonej mazi. Pod nią rana wyglądała zadowolająco; czysta, nie zaczerwieniona, szybko się goiła. Sińce już zbladły do koloru żółtego, przebicia skóry zasklepiły się ładnie.

— Rzeczywiście wspaniale, Jessamy. Na miły Bóg, co ona położyła na ranę?

— Liście. Rosną na tyłach domu. I maść. Panna Saxon robiła ją co roku, zawsze z tej samej rośliny. Zapewniała, że jest niezastąpiona. I miała rację. Niczego innego nie stosowała.

Niezastąpiona, powiedział Jessamy, tak samo jak powiedziała jego matka. Powtórzył to jak dziecko, które zapamiętało lekcję:

— Niezastąpiona, do środka i na zewnątrz. Tak powtarzała. Zapach maści był znajomy, coś przypominał. Ale co? I kiedy? Pachniał podmokłą łąką, brzegiem stawu, strumieniem zapadającym się wśród zielonych drzew. Nieomal słyszałam szelest sukni kuzynki Geillis, czułam jej spojrzenie nad moim ramieniem, gdy zaczęłam zmieniać okład z żywokostu. Żywokost, to właśnie to, mówi się o nim, że pozwala kościom się zrastać, jest zielem na siniaki i daje siłę. Wypity wywarz korzeni ugotowanych w wodzie albo winie goi wewnętrzne rany, sińce, uszkodzenia i wrzody płuc. Korzenie zastosowane zewnętrznie leczą świeże rany czy skaleczenia natychmiast („niezastąpiony do środka i na zewnątrz”). Leczenie domowe albo przepisy - zaświtało mi w mózgu, jak gdybym znała to na pamięć: Na maść dusić korzeń

albo liście w rozgrzanej parafinie, zaczekać aż naciągnie i ostudzić... I niewyraźne, skądś z daleka dobiegło mnie zdanie:

146

żywokost rośnie w mokrych rowach, na bogatych urodzajnych łąkach, jest go pełno w moim ogrodzie.

— Jessamy - mój głos brzmiał prawie tak samo niewyraźnie i z daleka. - Jeśli potrzebujesz jeszcze balsamu, dam ci trochę. W zielarni jest tego mnóstwo.

— Dziękuję pani, dziękuję - spuścił rękaw. - I nie będzie pani dotykała jej jagód. Nie zjadła pani zupy, prawda? Proszę także nie jeść tych jagód.

— Jak dowie...? - przerwałam mrugając do niego, ogłupiała. Po cichu zaś powiedziałam - Była doskonała. Podziękowałam już twojej matce.

Gwałtowne syczenie z kuchenki i słodko-cierpki zapach palących się jagód poderwał mnie na nogi. Pospieszyłam, by odsunąć garnek. Za plecami usłyszałam głos pełen niepokoju.

— Proszę jej nie mówić.

— Czego? Ach, o jeżynach. Nie powiem jej. Ale uważaj, jeśli ramię zacznie ci choć trochę dokuczać, musisz pójść do doktora, bez względu na to, co powie matka. Czy chcesz zabrać torbę?

Potrząsnął przecząco głową, kierując się do drzwi. Przed wejściem zatrzymał się.

— Czy wyrzuci pani jej jagody? Ten rosół z ropuchy nie jest dobry dla nikogo.

Przez dobrą długą chwilę po jego wyjściu widziałam go w jasnym prostokacie, jaki tworzyły

otwarte drzwi. To była rzeczywiście Stara Anglia. Nie ośmieliłam się wierzyć własnym

uszom. Jessamy niewątpliwie uważał się za mojego dłużnika i nie zaszkodzi, gdy go posłucham.

W porządku. Choć było to absurdalne, to przecież Agnes dwukrotnie próbowała uspić mnie dosypując narkotyku do potraw. Za pierwszym razem udało się jej z zapiekanką; dlatego miałam koszmary. Za drugim razem nie udało się z zupą. A teraz trzecia próba z jeżynami. Rosół z ropuchy, istotnie. Trucizna? Mało prawdopodobne. A więc co? Coś by uspić mnie, by

Agnes mogła przeszukać dom? Ale czego miała szukać? Książki? To też nieprawdopodobne.

Jeśli nawet szukała przedtem nie miała powodu wątpić w moje przyrzeczenie, że dam jej ją obejrzeć. Już miała okazję spenetrować wszystko z wyjątkiem zielarni, a teraz nawet to jej zaproponowałam. A więc dlaczego?

Zdjęłam garnek z galaretką z ognia i postawiłam na drewnianej suszarce obok torby Jessamy'ego. Jessamy z pewnością miał wobec mnie dobre zamiary, ale nie mogłam uwierzyć, że miał rację - jeśli chodzi o jagody. Jeśli nawet z jakiś względów chciała, abym tej nocy twardo spała, nasypanie narkotyku do jeżyn nie mogło tego załatwić. Galaretka nie byłaby używana przed upływem tygodni, a nawet miesięcy, a i wtedy w małych ilościach i w czasie, którego nie mogła przewidzieć. Poza tym mogłam, jak to często bywa, dać komuś słoik czy dwa, albo wysłać je (tak faktycznie planowałam) na kiermasz do parafii.

Ale - wracając do pierwszego pytania - po co mnie w ogóle narkotyzować? Po raz pierwszy - zapiekanka - nie było to niczym innym jak tylko uzasadnionym podejrzeniem. Zupa wydała mi się jednak faktem. „Nie zjadła pani zupy” powiedział Jessamy, a ja się zastanawiałam, skąd wiedział. Ale od razu miałam odpowiedź. „Pani jeszcze wtedy nie spała”. Więc nie mieli zamiaru przyjść tutaj w nocy, gdyż z pewnością Jessamy ostrzegłby ją, że narkotyk nie podziałał. Agnes, przypominałam sobie teraz, zapytała mnie, czy spałam dobrze, tak samo jak pytała po pierwszej nocy.

Było jeszcze coś więcej. Wiedziała o psie. Jessamy jej powiedział. I choć wiedziała o pogryzieniu chłopca i ucieczce psa, nie wspomniała o tym, choć zrobiłam do tego oczywistą aluzję. Należy wnioskować, że wiedziała o pobycie Gałgana w dawnym dworze i sama wysłała tam Jessamy'ego. Nie po to, by go nakarmić, miska była sucha i pusta. Ani, by go uwolnić; sznur był przegryziony i poszarpany psimi zębami. Jeśli więc nie nakarmił psa i nie puścił go wolno, to po co został tam wysłany? I tutaj znowu znalazłam odpowiedź: w poszarpanej skórze psa, w szalonym skoku, który pozwolił mu zerwać sznur i uciec, w pogryzionym ramieniu i kłaku sierści w ręce Jessamy'ego. „Musiałem jej powiedzieć o psie, gdy dawałem jej diabelski kołtun”. Nie miałam pojęcia co to było, ale pewnie było to coś, jak zwichrzony splot włosów. Wyobrażałam sobie, że to była potargana płatanina sierści i niewątpliwie było, że Jessamy użył tego słowa do oznaczenia pęka, który ukrył w kieszeni, gdy oddawał mi brudne szmaty do spalania.

Na tym poprzestałam. Nie miało sensu dalsze zgadywanie. Mogę go zapytać przy następnym spotkaniu, a być może odpowie mi. William powiedział, że Jessamy jest poczciwy, tylko boi się

148

matki i robi wszystko, co mu każe. Z psem postępował po prostu głupio. Jeśliby wziął nożyczki, miałby swój diabelski splot bez pogryzienia, a oni ciągle jeszcze mieliby psa. Ciągle jeszcze mieliby psa. To było sedno sprawy. Agnes mogła do woli praktykować swoje czary: rosół z ropuchy, diabelskie kołtuny i jej „spotkania” - sabaty czarownic? - w kamieniołomach, jeśli przez to nie cierpiały zwierzęta. Dam sobie spokój z Jessamym. Przy następnym spotkaniu zabiorę się do samej Agnes i wyciągnę z niej prawdę.

Być może najbardziej zadziwiającą rzeczą w tym wszystkim było to, że choć byłam

zaintrygowana, gdyż nie wiedziałam co się dzieje, to jednak nie byłam przestraszona. Wydawało mi się, że Thornyhold wystawiła szranki przeciwko złu, natchnęła nerwową, niepewną siebie dziewczynę, jaką do tej pory byłam, pewnego rodzaju siłą (zawahałam się przed użyciem słowa „władza”), która stała się tarczą osłaniającą. Ciebie, albo raczej blask obecności kuzynki Geillis; gołębie, które przyniosły posłanie pokoju; pachnące kwiaty i zioła, które powstrzymywały czarownice od narzucania swojej woli. Wszystkie rosną w moim ogrodzie. Wszystko to, co powinnam powiedzieć, powiedziałam Williamowi: „Nie wiem czy to istnieje, czy nie, ale jeśli tak, to zaufaj Bogu, a nie zaszkodzi ci”. Oderwałam się od tych rozmyślań i wróciłam do miło pachnącej, normalnej kuchni.

Wyrzucę

jagody Agnes, a z nimi jagody Jessamy'ego. Pomyślałam, żeby przynieść balsam żywokostowy i posmarować ogon psa. „Do środka czy na zewnątrz, jest niezastąpiony”. Podniosłam ciężki garnek i zniosłam go na kompost. Jeżyny Agnes były z pewnością tak samo nieszkodliwe, jak Jessamy'ego. W każdym razie, aby nie ranić niczyich uczuć, muszę je

przysypać, aby nie było ich widać. Wypórniłam garnek, wzięłam torbę i wyrzuciłam ją także, potem poszłam do składziku na narzędzia po łopatę. Wykopałam w pośpiechu dół za kompostem i zaczęłam tam wrzucać łopatą niechciane owoce.

Kiedy robota zbliżała się do końca usłyszałam, że furtka przed frontem domu zaskrzypiała i za chwilę ujrzałam z boku domu ojca Williama, kierującego się do kuchennego wejścia. Podniósł rękę, by zapukać, ale w tym momencie zobaczył mnie i podszedł, by się ze mną przywitać.

149

Opierając się na łopacie wyprostowałam się i rękami noszącymi ślady jeżyn odgarnęłam włosy do tyłu.

— Dzień dobry. To miło, że pan przyszedł. Przypuszczałam, że pan wpadnie. Czy William prosił pana o przyjście w sprawie psa?

— Tak. To stało się wspaniałym pretekstem.

— Słucham?

Uśmiechnął się do mnie, a ja miałam wrażenie, że zaświeciło słońce i nagle wszystkie ptaki zaczęły śpiewać. Opanowałam trochę moje ogłupiałe myśli i powiedziałam cicho:

— Proszę wejść. Właśnie skończyłam.

— Gdybym przyszedł trochę wcześniej, zrobiłbym to za panią. Nie jestem praktyczny, jak William, ale lubię czasami występować w jego zastępstwie. Proszę mi dać szpadel, to wyrównam ziemię.

Poddałam się. - Czy pan przyszedł przez las?

— Nie, mój samochód czeka na podjeździe. Czy nie słyszała pani? Z tego co mówił William wywnioskowałam, że będzie to za daleki spacer dla biednego zwierzęcia. Skończone. Czy chciałaby pani, abym schował szpadel do komórki?

Gdy zobaczył opuszczony stos worków w kącie, spytał z niekłamanym niepokojem:

— Pies? Czy nie grzebała pani psa?

— Nie, nie. Tylko trochę owoców, które musiałam wyrzucić. On ma się doskonale.

— Dzięki Bogu za to. Nie miałbym odwagi wrócić bez niego.

— A więc William nie przyszedł z panem?

— Nie. Pojechał rowerem do Arnside, aby kupić obrozę, smycz i jedzenie dla psa.

— To strasznie miło z pana strony, że chce pan pomóc. Czy pan się zgadza? To będzie tylko na kilka dni, to znaczy, gdy wszystko ułoży się tutaj.

150

— Proszę się nie martwić. Oczywiście, zgadzam się. William powiedział mi, co się stało i będziemy radzi zrobić wszystko, co w naszej mocy. Gdzie on jest?

— W mansardzie. Bałam się, że mogą... że ktoś może go zobaczyć, jeśli był na dole. Właśnie zamierzałam tam iść, zobaczyć go i zanieść coś do opatrzenia ogona. Czy ma pan czas, by wejść do domu i wypić filiżankę kawy? O Boże, nie zdawałam sobie sprawy, która to

godzina - czy napiłby się pan sherry? Znalazłam duży zapas w kredensie.

— Bardzo chętnie. Znam sherry panny Saxon. Dziękuję. Wyglądało na to, że wie, gdzie jest przechowywana sherry, a także kieliszki. Podczas gdy myłam ręce i nalewałam wody do garnka po galaretkę, on przyniósł sherry i kieliszki do kuchni. Rozejrzał się z uznaniem.

— Zawsze lubiłem ten dom. Cieszę się, że pani niczego tutaj nie zmieniła.

— Kocham go. Od samego początku poczułam się w domu. Czy możemy teraz sprowadzić Gałgana i dać mu szansę przyzwyczajenia się do pana, zanim go pan zabierze?

— Słusznie. Nie miał dotąd za bardzo okazji do zaufania ludziom. Czy dowiedziała się pani gdzie był przedtem?

— Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć, bo nie oddam go. Ma pozostać tutaj. Drzwi na mansardę są tutaj, wchodzi się z kuchni.

— Wiem.

Szedł za mną i otworzył przede mną drzwi na schody.

— Nieźle zna pan dom.

— Przychodziłem tutaj dość często. Bardzo lubiłem pani kuzynkę.

Kiedy otworzyłam drzwi mansardy, zobaczyłam zupełnie innego psa, niż ten, którego uratowaliśmy z Williamem. Przyszedł, by mnie powitać, radośnie machając całym ogonem. Jego korpus był jeszcze ciągle zgięty i zwisał nad skurczonym brzuchem, ale oczy były inne, ożywione i pełne miłości. Uklękłam, by go przywitać, podczas gdy pan Dryden czule go głaskał. Zostawiłam ich, a sama zajęłam się ziarnem dla ptaków.

— Oczywiście, wie pan, że trzymała gołębie. Czy był pan kiedyś tutaj?

— Kilka razy - mówił coś cicho do psa, który próbował iść

151

za mną, ale pozwolił się zatrzymać. Spoglądał na ptaki, które przyfrunęły do ziarna. - Aż trzy?

— Tak. Czy William powiedział panu o korespondencji?

— Tak. Mam nadzieję, że miał powiedzieć. To znaczy, że nie miała pani nic przeciw temu.

— Ależ nie. Czy jeszcze ciągle niepokoi go to?

— Nie sądzę. Był zaintrygowany, to wszystko, a ja mu wytłumaczyłem.

Wstał, gdy wrzuciłam szufelkę od ziarna do garnka. Gałgan przysunął się do mnie bokiem, uszy płaskie, oczekujące głaskania i zaraz, wyprzedzając nas, zaczął schodzić nerwowo w dół, aż do pierwszego zakrętu; wtedy zaczekał na podeście, przedstawiając nieomal typowy wizerunek psa gotowego do przyrzeczonego spaceru.

— Szybko przychodzą do siebie - powiedział pan Dryden. - Nie sądzę, by był powód do niepokoju. Kiedy wróci do pani, będzie zdrowy jak ryba.

— Czy nie będzie pan miał trudności z żywieniem go? Czasami są trudności z karmieniem kota, a ja nigdy nie miałam psa.

— Proszę pamiętać, że mieszkamy na farmie. Mamy pod dostatkiem żywności. Ziarno, którym pani karmi gołębie, jest prezentem od naszych kur.

— Naprawdę? Jeszcze raz dziękuję. Co powiedział pan Williamowi?

Odwrocił się, by zamknąć drzwi na klatkę schodową.

— O czym?

— O gołębiu z posłaniem. Powiedział pan, że wytłumaczył mu.

— No tak. Powinienem powiedzieć, że wytłumaczyłem, jak mogłem.

— To znaczy?

— Wydaje mi się, że powiedziałem coś zbliżonego do tego, co pani mówiła. Jedyne wytłumaczenie to takie, że ktoś, kto wziął ptaka, wypuścił go po pani przyjeździe.

— Tak, ale jego naprawdę zaniepokoił fakt, że moja kuzynka sama napisała tę karteczkę, co oznacza, że musiała przewidzieć swoją śmierć.

— Wcale tak nie musiało być. Mogła równie dobrze widzieć siebie wracającą ze szpitala i panią ulokowaną tutaj, by dzielić z nią dom.

152

Potrząsnęłam głową. - Wiedziała, a nawet wiedziała znacznie więcej. Przewidziała również śmierć mego ojca.

Powiedziałam mu o liście dołączonym do testamentu i co mi powiedziała tego pamiętnego dnia nad rzeką.

— Powiedziałam Williamowi, że jeśli nawet przewidziała swoją śmierć, to z takimi rzeczami spotykamy się dość często, a faktycznie wiedziałam, że kuzynkę Geillis cieszyło to,

że wie -spojrzałam na niego. - Byłoby dobrze tak odczuwać te sprawy, ale nie mam pewności,

czy sama mogłabym tak czuć. A pan? -Potrząsnął głową. - Była o wiele twardsza niż mnie się to może kiedykolwiek udać.

— A więc w porządku. Spytałam Agnes, kto wziął gołębie, a ona mi odpowiedziała, że ktoś o nazwisku Masson, mieszkający gdzieś w pana stronach. Czy pan go zna?

— Tak. Jest pasterzem u pana Yellanda. Yelland jest farmerem i Taggs Farm jest jego własnością. Kiedyś były to dwie farmy, ale połączono je, gdy Yelland ożenił się z Bessie Corbett, tak że obecnie Yellandowie mieszkają w Black Cocks, a ja wynajmuję drugi dom - Boscobel. - Uśmiechnął się. - To bardziej romantyczna nazwa niż Taggs Farm.

— A pan Masson?

— On ma domek parę mil dalej, w Tidworth.

— Czy sądzi pan, że mógł wypuścić ptaka w dniu, który mu wyznaczyła?

— Przypuszczam, że tak było. Jeśli wszystkie ptaki były u niego, musiał to zrobić.

Weszliśmy z powrotem do kuchni. Pies na przodzie. Podążył prosto do miseczki Hodży, by zbadać jej zawartość. Kot mył się na stole. Na widok psa, zgodnie z kocim zwyczajem, zamruczał i dalej zajmował się myciem.

Zaśmiałam się. - Z tym nie ma problemu. Jeśli chodzi o gołębie, to trzeba będzie zaczekać, aż spotkam pana Massona. Proszę usiąść.

Nalał sherry i podał mi kieliszek. - Czy ta korespondencja zaniepokoiła panią?

— Ależ nie. Sprawiała mi przyjemność. To było tak w jej stylu.

— Czy była jeszcze inna korespondencja?

— Jeszcze tylko jedna i to nawet przyjemniejsza. Zjawiała się jak błogosławieństwo z niebios.

153

Milczał, przeczuwając być może, że więcej nie chciałam powiedzieć. Siedzieliśmy obserwując, jak pies wylizywał pustą miskę, a potem podszedł, by przyciągnąć naszą uwagę.

Kot dalej się mył, zajmując się tylko sobą.

Pogłaskałam łeb psa. - Czy wie pan o istnieniu w okolicy jakiejś kolistej konstrukcji kamiennej?

Spojrzał rozbawiony. - Jest przecież prehistoryczne Stonehenge.

— O Boże! Oczywiście jest Stonehenge. Ale coś znacznie mniejszego.

— Faktycznie Stonehenge nie jest takie wielkie, jak można sobie wyobrazić na podstawie fotografii. Czy nigdy tam pani nie była?

— Nigdy. Nie zdawałam sobie sprawy, że to tak blisko. Proszę pamiętać, że pochodzę z

północnych krańców Anglii. Zastanawiałam się, czy jest tu gdzieś zupełnie mała konstrukcja, jak ta niedaleko Keswick, być może blisko kamieniołomów? Kamieniołomów, gdzie spotkaliśmy się pierwszy raz.

Już kiedy to powiedziałam, coś w związku z tym zdaniem uderzyło mnie i poczułam się zmieszana. Zabrzmiało to jak wspomnienie zakochanych i zdawało mi się, że te słowa rozbrzmiewają nadal wokół nas.

Ale on zdawał się nie zauważać tego. (Dlaczego faktycznie miałyby zauważać? To wyłącznie twoja sprawa, Gillis Ramsey.) Powiedział:

— Nie ma w okolicy niczego takiego, co by mi przypominało taką konstrukcję. Z pewnością nie w pobliżu Boscobel albo Black Cocks. Ale Stonehenge - czy naprawdę nigdy tam pani nie była? Czy chciałaby pani to zwiedzić?

— Bardzo. Kiedy znowu będziemy mieli lato i będę, być może, miała samochód i benzynę.

— Mam samochód i bak jest pełny, a pogoda właśnie teraz jest wspaniała. Co pani myśli o wycieczce dziś po południu? To niedaleko.

— Ależ tak, bardzo bym się cieszyła, ale czy pan naprawdę chce tego? A co powie książka? Sądziłam, że pan jest w niej pogrążony.

— Ten jeden raz mogę powiedzieć sobie, że będzie na drugim planie. I tak miałem zamiar prosić panią dzisiaj, czy nie zechciałaby

154

pani gdzieś się wybrać. Zgłoszenie się po psa było tylko pretekstem. Możemy go zawieźć do mnie i zjeść kanapkę czy coś w tym rodzaju.

- Mogę coś podać tutaj, jeśli to panu odpowiada. Na przykład omlet? Dzięki panu jestem dobrze zaopatrzona w jajka.

- Dziękuję, ale muszę odmówić. William powinien już wrócić do domu i będzie czekał na panią.

Roześmiałam się. - Czy nie raczej na Gałgana?

- Oczywiście. Zjemy kanapki w Boscobel. Proszę wyrazić zgodę.

- Chętnie. Brzmi to cudownie. Dziękuję, panie Dryden. Czy napije się pan jeszcze sherry, podczas gdy ja pobiegnę na górę po maść dla psa i kurtkę dla siebie?

Początek jazdy do Boscobel odbywał się prawie bez słów. Pamiętam cichy odgłos opon na trawiastym podjeździe, przeświecające przez liście słońce, gdy z cichym warkotem przesuwałam się pod drzewami, błysk błękitu sójki, gdy nisko przemknęła nad maską samochodu. Mój towarzysz milczał. Nie wiem czy to pod wpływem tego, że był tak blisko, czy nagłe poczucie intymności spowodowane tym, że byliśmy zamknięci w samochodzie, spotęgowało aż nazbyt żywą świadomość tego, co przeżywałam; w każdym razie poczułam, że krępuje mnie coś, co przypominało dawną, paraliżującą nieśmiałość i byłam rada, że obecność psa wypełnia przepaść milczenia. Gałgan początkowo reagował nerwowo na samochód i musiałam czule przemawiać do niego, a swoją drogą trzymałam go nisko, na podłodze, aż do momentu, gdy minęliśmy stróżówkę.

Gdy samochód przemykał się między bliźniaczymi połowami stróżówki zauważyłam, że ktoś - od strony pomieszczenia Agnes - lekko pociągnął firanki i zaraz przesunął je na miejsce. W przeciwległej stróżówce cień bujał się w tę i z powrotem w samotnym, małym domku. Skręciliśmy w słoneczne światło drogi. Pan Dryden wreszcie przemówił.

— Byli tam.

155

— Tak. Zauważyłam.

— A więc teraz, może pani pozwolić mu wyprostować się. Czy myśli pani, że zechce usadowić się na tylnym siedzeniu?

Kiedy jednak próbowałam delikatnie przesunąć psa nad skrzynią biegów, odmówił przejścia

do tyłu. Zatrzymałam go więc na kolanach, a sama oparłam się tak wygodnie, jak tylko się dało.

Pan Dryden spojrzał na mnie. - Czy jest pani wygodnie?

— Świetnie. Biedak nie waży dużo. Zaraz się uspokoi. Czy pan wie, że od lat, dosłownie od lat, nie jechałam autem, tak jak teraz, tylko dla przyjemności? To cudowne uczucie, panie Dryden.

— Cieszę się. A czy myśli pani, że może nazywać mnie Christopher albo nawet Christopher John? Tak zawsze mnie nazywano, gdy byłem chłopcem, by odróżnić mnie od mojego ojca. Jak pani woli. Czy zechcesz?

— Oczywiście, dziękuję. A ty znasz moje imię. Samochód zwiększał szybkość. Mijaliśmy żywoploty.

— William nazywa cię Gilly. Jak rozumiem, prosiłaś go o to. Czy lubisz bardziej to imię, czy Geillis?

Uśmiechnęłam się i powtórzyłam to, co on powiedział wcześniej.

— Jak wolisz.

— Geillis - powiedział to czule, jakby do siebie, a mnie przeszył dreszcz. Objęłam psa i przytuliłam do niego głowę.

— Czy wiesz - dodał Christopher John - że to naprawdę jest imię czarownicy?

Gwałtownie podniosłam głowę. - Nie, na litość boską. Czy to prawda? Pytałam moją matkę, jakie jest pochodzenie tego imienia, ale nigdy mi nie wyjaśniła. Pytałam o imię kuzynki Geillis. Mnie nazwano jej imieniem.

— Czy ona była twoją chrzestną matką?

— Nazywała siebie sponsorem. Nie była, a przynajmniej dawała do zrozumienia, że nie była w dobrych stosunkach z Bogiem.

(Drugie posłanie przyniesione przez gołębia: Witaj w Thornyhold i niech Bóg ma w opiece twój sen. Kto je przysłał? Kto?)

Mówił coś o Edynburgu i sądach nad czarownicami w tym mieście.

156

— Była pewna Geillis Duncan. Jest o niej wzmianka w Demology. A nawiasem mówiąc jest także Agnes Sampson. A zdaje mi się, że to łagodne jak baranek imię widziałem pojawiające się w innych kronikach o czarach - imię naszej Agnes, która praktykuje jak najlepsza z nich.

— A założę się, że jest najładniejszą wiedźmą w sabacie. — Powiedziałam to lekko, bardziej, aby coś powiedzieć, niż z innych względów.

— Ładna? Doprawdy? Chyba tak.

Może to był brak zainteresowania w jego głosie, obojętność tonu, gdy ostrożnie prowadził samochód, by wyminąć paru rowerzystów na wąskiej drodze, ale był to moment, kiedy z moich oczu spadła z głuchym łoskotem zasłona. Był to odgłos, który opanował moje serce. Wszystko stało się jasne - może nie wszystko, ale wiele spraw, które powinnam dojrzeć od dawna.

Agnes Trapp nie dodała narkotyku do jeżyn. Zebrała je z prostego powodu, bo nie chciała, bym ponownie poszła do kamieniołomów, a być może do Boscobel. A poza tym świadomie okłamała mnie - czy wprowadziła mnie w błąd - o żonie Christophera Johna.

Powód? Byłam tak oszołomiona i zaślepiona, że nie zdałam sobie sprawy z faktu, że inne kobiety mogą tak samo być oczarowane moim hommefatal jak ja. Jak powracająca strzała wbiła się we mnie prosta prawda. Agnes była także w nim zakochana.

William czekał w pobliżu bramy. Na nasz widok otworzył ją szerzej, a my wjechaliśmy na podwórko. Otworzyłam drzwi z mojej strony i pies wyskoczył. Przez moment stał niepewny, bliski, jak mi się zdawało, przerażenia z powodu nowego miejsca, nowych widoków i zapachów. Ale gdy chłopiec krzyknął „Gałgan! Gałgan!” i on, i pies popędzili razem.



Zostawiliśmy ich i weszliśmy do domu.

21

Zwiedziliśmy Stonehenge. W tych czasach była to nieogrodzona, opuszczona mała konstrukcja w środku olbrzymiej równiny. Ale kiedy zbliżaliśmy się do niej, po zejściu z drogi przez murawę, zobaczyliśmy olbrzymie głazy wznoszące się groźnie, a kolista budowla uderzała specyficzną, prehistoryczną magią. To z całą pewnością nie był krąg moich koszmarów. W trawie wyrastały dzikie dzwonki, a mchy na kamieniach, koloru zieleni, miodu i szarości, jak u puszystej szynszyli, zachwyciły w słońcu. Poruszone wiatrem wysokie jesienne trawy wydawały odgłos podobny do szmeru wolno płynącej rzeki. Choć rok zbliżał się do kresu, od czasu do czasu odzywał się głos ptaka, który echem odbijał się na równinie. Nad nami wznosiło się niebo, olbrzymie, blade kłęby chmur przebijały się przez błękit, przybierając różne kształty i przepływały jak piana po spokojnym morzu.

Poza nami nikogo tam nie było. Wolno chodziliśmy wokół wśród olbrzymich menhirów, a Christopher John opowiadał mi o tym prastarym zabytku. Mówił, że nic nie wiemy o jego pochodzeniu ani o wielkich ludziach tych prehistorycznych czasów, którzy go zbudowali, ale że odkryto skąd pochodzą kamienie; a to, biorąc pod uwagę ich wielkość i długość drogi transportu, było po prostu niewiarygodne. Powstały naturalnie legendy wyjaśniające oczywisty cud budowy. Stonehenge miało być rzekomo wzniesione w ciągu jednej nocy przez

Merlina, a w środku miał być pochowany Król Uther Pendragon. Tu Druidzi składali swe nieszczęsne ofiary. Budowniczo wie tego świętego miejsca ustawili głazy frontem do wschodzącego słońca. Jeszcze dzisiaj przybywali tutaj ludzie, by modlić się i oczekiwać cudów. Było to kalendarium, gigantyczny chronometr dziejów. Był to tysięczny kamień milowy na drodze przelatującego ku niebiosom smoka.

158

Te opowieści, prawdziwe czy legendarne, nie były konieczne, aby spotęgować magię tego miejsca. Dla mnie tkwiła ona w czystym powietrzu, powiewie traw i unoszącej się cudownej melodii.

Zjedliśmy podwieczorek w Avebury, w samym środku innej kolistej konstrukcji, tak olbrzymiej, że z żadnego głazu nie można było ogarnąć wzrokiem całości. Jej części ginęły w otaczających ją polach, a wieś ze swoimi drogami i ścieżkami przecinała w wielu miejscach kamienny krąg. Nie próbowaliśmy nawet obejść go wkoło. Wracaliśmy do domu przez zielone boczne drogi, a Christopher John zatrzymał kilka razy samochód, bym mogła zbierać polne kwiaty i jagody „do rysowania”, gdy mu powiedziałam: „Kiedyś dużo malowałam, ale potem to zarzuciłam, a teraz chciałabym znowu zacząć, kiedy uporządkowałam już dom.” Przez cały czas rozmawialiśmy. Napad nieśmiałości minął zupełnie, jakbym go nigdy nie doświadczyła i swoboda powróciła znowu. Zapomniałam już teraz, o czym mówiliśmy, ale wreszcie w drodze powrotnej zaczęłam go poznawać. Zatrzymaliśmy się przy moście nad rzeką Arn, gdzie zza drzew chwytających czerwone promienie słońca wyłaniały się ruiny starego opactwa. Usiadł na parapecie i opowiadał, podczas gdy ja zrywałam różowy postrzęp na rowie przy żywopłocie, błyszczące jagody wielokrzewu i olśniewające późne dzwonki, które robią wrażenie bardzo delikatnych, a są mocne jakby były z drutu.

W czasie wojny walczył na Zachodniej Pustyni Libijskiej. Mówił o tym niewiele, z wyjątkiem tego, że poznał tam Sidneya Keyesa, młodego poetę, który zginął w 1943 roku, w wieku dwudziestu lat, a który, gdyby żył, byłby, według Christophera Johna, jednym z największych poetów naszych czasów.

— Faktycznie jest największy, mimo wszystko. Czy znasz jego poezje?

— Nie sądzę. Obawiam się, że ostatnio nie czytałam wiele poezji. Bardzo lubiłam kiedyś Waltera de la Marę.

— Najcudowniejszy piewca i jeden z największych myślicieli naszego wieku. - Zabrzmiało to jak cytat i okazało się, że było nim.

— Był ulubionym poetą mojej żony - wtrącił. - Pracowała jako redaktor w dziale poezji wydawnictwa Aladdin Press. W czasie wojny przebywała z Williamem u swojej siostry w Essex, ale musiała pojechać na spotkanie do Londynu i tej nocy był nalot.

159

Została zabita, podczas gdy ja byłem stosunkowo bezpieczny w wojsku, niedaleko Tobruku. William zaledwie ją sobie przypomina.

Dalej mówił o Cecyli, matce Williama, nieżyjącej już jakieś sześć lat. Słowa jego były pełne

miłości, ale nie było w nich smutku. Po upływie sześciu lat, bez względu na to, jak wielka była strata, szczęście powraca ukradkiem.

— Albo ukazuje się nagle jak zachód słońca w Stonehenge - powiedział patrząc przez gałęzie drzew na ruiny, które pozbawione ostatniego promyka słońca ukazywały upiorną szarość murów.

— Patrz, przy bramie opactwa rośnie dziki obrazkowiec. Czy znajdziesz coś lepszego jako akcent kolorystyczny?

Dojechaliśmy do Thornyhold o zmroku. Christopher John odprowadził mnie do drzwi, otworzył je i nie chciał wejść do środka, a wracając ścieżką potknął się o Hodżę.

Usłyszałam,

że drzwi samochodu otwierają się i zamykają.

Chwyciłam kota, pocałowałam go i powiedziałam: - Ach, Hodża! - I pobiegłam po schodach. Słyszałam jak włączył silnik samochodu. Krótco szedł na niskich obrotach i zgasł. Hodża wściekle odsunął się ode mnie i wyskoczył z moich ramion, podczas gdy Christopher John szybko biegł z powrotem ścieżką, niosąc kwiaty, które zerwałam i mały pakiecik owinięty w brązowy papier.

— Zostawiłaś kwiaty, obawiam się, że się trochę pogniotły, ale mogą ożyć.

— O Boże! Trzymałam je na kolanach i całkiem o nich zapomniałam. Musiały spaść i zostały zdeptane. Strasznie mi przykro.

— Nie ma powodu. Okazało się to pożyteczne. Przypomniało mi się o czymś, co powinienem przynieść przed tygodniem. Panna Saxon prosiła mnie, abym ci to doręczył. Oto przesyłka wraz z przeprosinami. I dziękuję raz jeszcze za wspaniały dzień.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, pomachał ręką na znak pożegnania i już go nie było. Tym razem samochód ruszył z warkotem i szybko odjechał.

Hodża zamruczał coś gwałtownie przy obitych materiałem drzwiach, więc otworzyłam je i zaniósłam kwiaty i pakunek do kuchni. Najpierw trzeba włożyć kwiaty do dzbanka z wodą.

Potem

160

kolacja dla kota, gdyż nie da mi spokoju. Wreszcie rozpakować pakiet.

Nie wiem, czy to było za sprawą czarów, ale już wiedziałam, co było wewnątrz. I rzeczywiście tak było. Na stole, przy butelce sherry i dzbanku z kwiatami, leżała książka *Leczenie domowe i przepisy Dobrej Pani Gostelów*.

Oczywiście, wzięłam książkę do łóżka i oczywiście nie spałam pół nocy czytając ją.

Czytałam oczywiście tyle, ile było można. Agnes miała rację: niewyraźne, drobne pismo i wyblakły atrament sprawiły, że niektóre słowa były nie do odczytania, ale współczesną ręką - ręką mojej kuzynki - zastąpiono najbardziej zatarte wyrażenia, a także ołówkiem dodano uwagi, a nawet poprawki do starych przepisów.

Były to bowiem właśnie przepisy. Gdybym oczekiwała jakiejś książki zaklęć magicznych, byłabym zawiedziona. Było to tylko to, co zapowiadał tytuł; książka przepisów i leczenia domowego. Parę z nich niewątpliwie wypróbowała i wykorzystwała kuzynka Geillis.

Gdzieniedzie dodała uwagi: działa dobrze, ale używaj z umiarem, dla dziecka połowę dozy. Albo: działa zbyt gwałtownie. Spróbować (nieodcyfrowane) zamiast tego... i dalsza wskazówka: skutkuje. Wywar z żywokostu był tam także. Na maść przetrawić korzeń albo liście w rozgrzanej parafinie, precedzić i ostudzić. Czytałam to z gęsią skórką przypominając

sobie, że znałam ten przepis już wcześniej i z uśmiechem z powodu uwagi kuzynki Geillis: przepis na żywokost niezastąpiony do środka i na zewnątrz. Przy innym przepisie dopisała: nie będzie rósł tutaj. Rośnie we Włoszech. Spytać CJ.

Układ książki był chaotyczny, to znaczy przepisy były notowane w miarę ich otrzymywania czy wypróbowania, tak więc wśród zup, pierogów, zapiekane i tym podobnych znajdowały się przepisy na pikle, wina, lekarstwa i środki do czyszczenia w gospodarstwie domowym. Lekarstwa, przetwory kulinarne i wina, używane do tych celów rośliny, zioła, mchy, kora i sok drzew - cokolwiek można sobie wyobrazić, nie tylko plony ogrodu, ale rowów, strumieni i lasów.

161

Czytałam dalej i w trakcie czytania zaczęła w mojej głowie kielkować idea, która stopniowo zawładnęła mną całkowicie. Początkowo przyjął, choć nie bez sporych wątpliwości, że powinnam spróbować przejąć zadania Lady Sybili i kuzynki Geillis i naprawdę, a nie tylko pozornie, zostać trzecią „czarownicą” Thornyhold. Jednakże to, co zobaczyłam w bibliotece kuzynki Geillis i zawartość jej zielarni - jej życie profesjonalne tak ułożone, by zawsze mogła

zająć się czymś nowym - przekonały mnie, że nie mogłam tego zrobić. Sprawy wyglądały teraz inaczej. Nawet w głębi serca trudno mi było przyznać się, jak to się stało, ale wiedziałam, że długie, bo trwające całe życie studia, które prowadziła moja niezamężna kuzynka, wymagają więcej czasu i poświęcenia niż ja, z perspektywą małżeństwa i dzieci, mogłabym prawdopodobnie takim studiom poświęcić.

Tak nasze myśli wyprzedzają fakty, a nawet przypuszczenia. Wreszcie wiedziałam dokładnie, co mam do zrobienia.

Wrodzone zdolności, jakimi jesteś obdarzona. Wykorzystam je, moje jedyne prawdziwe zdolności i będę rysowała wszystkie rośliny i grzyby, z opisem i uwagami o ich środowisku, a może kiedyś wydam książkę o niezastąpionych lekach i przepisach Thornyhold.

Christopher John będzie moim doradcą. Bez względu jednak na to, czy ta książka będzie nadawała się do wydania, czy nie, przygotuję ją dla własnej przyjemności, a być może w trakcie tej pracy nauczę się, jak na swój sposób wykorzystać dobroczynne właściwości ogrodu i lasu. Zacznę od jutra, aby najpierw zrobić rzetelną kopię książki Lady Sibil, a może nawet wypróbuję sama kilka jej przepisów.

Wtedy przypomniałam sobie, że przyrzekłam pokazać książkę Agnes. A więc zrobię to najpierw. Jutro, uzbrojona w nową odwagę, jak nigdy przedtem, zaniosę książkę do stróżówki

i otrzymam odpowiedź na pytania, które chciałabym zadać. Bez wzmianki jednak, bez żadnej sugestii, co do jeżyn, kamieniołomów i Boscobel.

Jeżyny. Zakwitła mi pewna myśl i znowu chwyciłam książkę. Z zaciekawieniem przejrzałam książkę dokładnie. Nie było tam przepisu na galaretkę z jeżyn.

Nad otwartym oknem zahukała sowa. Nad moją głową jakieś małe stworzenie stuknęło pazurami wśród resztek ziarna gołębi. Koło mnie, głęboko usadowiony pod kołdrą, zasyczał nagle Hodza

162

i zaraz zamilkł jak silnik Christophera Johna. Olbrzymia ćma dostała się do pokoju i szaleńczo uderzała o zapaloną lampę przy moim łóżku. Sięgnęłam do wyłącznika, by po zgaszeniu światła mogła wydostać się na zewnątrz, w ciemność chłodnej nocy.

Nie było przepisu na galaretkę z jeżyn. Był to tylko pretekst Agnes, abym szukała książki. Jeśli chciała mieć przepisy na leki ziołowe, z pewnością by to powiedziała. A te wyszukane kłamstwa, że „galaretka panny Saxon była najlepsza” i że ten szczególny przepis musi być w tej książce! A była to niewątpliwie książka z trudnym do odczytania pismem, którego nie miała czasu, czy możliwości odcyfrować.

Wniosek? Że książka ta zawierała jakieś inne przepisy, które pragnęła dostać, ale nie chciała o tym mówić.

A tuż za tym wnioskiem, następny: i bez względu na to, co to było, kuzynka Geillis nie chciała jej tego dać. Być może zobaczyła ją, jak oglądała książkę i dlatego zachowała ostrożność, powierzając ją pieczy Christophera Johna, aż do mojego przyjazdu.

Znowu zapaliłam światło. Ćma zniknęła. Kot spojrzął z wymówką w półotwartych oczach, znowu je zamknął, wyciągnął się rozkosznie i zatopił w głębokim śnie.

Sięgnęłam po książkę. Okładka, od początku dość słaba, pękła od długiego używania i grzbiet

odpadł ukazując popękane nitki, którymi była szyta. Kiedy wyciągnęłam rękę, by zgasić lampę przy łóżku, książka przewróciła się na bok i półotwarta ześlizgnęła się z moich kolan, a jedna kartka z niej wypadła. Podniosłam kartkę i otworzyłam książkę, aby ją w niej umieścić, spoglądając na nią od niechcienia. Wyglądała inaczej niż inne i to samo wyczułam w dotyku;

papier był gruby i bardziej żółtawy, atrament brązowy, plamy i kleksy pochodziły prawdopodobnie z gęsiego pióra i pismo było inne, prawdopodobnie pismo starszej osoby. Przepis pochodził od całkiem innej autorki niż cnotliwa Lady Sybil czy Geillis Saxon. Ten właśnie przepis spodziewałam się znaleźć w książce, jedyny przepis, który mógł uchodzić za

„prawdziwe” czary i prawie pewne, że tego właśnie tak bardzo pragnęła nasza miejscowa czarownica.

Po prostu był to *Napój miłosny*.

Myślę, że moją pierwszą reakcją była odraza, a potem, ponieważ kobieta może zrozumieć kobietę, rodzaj współczucia.

163

Później, nadal rozumiejąc jej uczucia, błysk niepewności: czy się nie mylę, co on czuje dla mnie? A wreszcie, niewiarygodne przypuszczenie, że może ten przeklęty napój odnosi skutki? Podniosłam gruby, o poszarpanych brzegach pergamin i przeczytałam wszystko...

*Napój miłosny.*

*Wziąć skrzydła czterech nietoperzy, dziewięć włosów z ogona świeżo zdechłego albo zdychającego psa, krew czarnego gołębia i zagotować z...*

Opuszczam resztę. To wystarczyło, bym znalazła odpowiedź na inne moje pytania.

Długo siedziałam w ciemności, próbując nie obwiniać Agnes, ciemnej kobiety wiejskiej (tak sobie przynajmniej wmawiałam), za stosunek do zwierząt. Dla Agnes bowiem, jak i dla wielu jej podobnych, wychowanych w położonych na odludziu miejscowościach, w latach czterdziestych, wszystkie dzikie stworzenia były szkodnikami. Tolerowano kota, gdyż niszczył myszy i ptactwo, również drozda; psa tylko pod warunkiem, że będzie pracował albo

strzegł dobytku. Nie miałyby żadnych skrupułów ukręcając szyję moim zabłąkanym gołębiom, topiąc bezpańskiego Hodżę, czy wiążąc nieszczęsnego Gałgana, by go wykorzystywać do czarodziejskich praktyk. Mogłam jej wybaczyć zranienie psa dokonane przez bezmyślnego, upośledzonego na umyśle Jessam/ego, ale nie mogłam - i z pewnością było to słuszne - darować jej okrucieństwa, głodzenia psa w celu wykorzystania go do obrzydliwych

czarodziejskich praktyk...

Z takim wysiłkiem próbowałam usprawiedliwić Agnes, że poczułam, że jestem roztrzęsiona. Mówiłam sobie, że moja głęboka, a nawet obsesyjna miłość do zwierząt jest sprawą osobistą,

wynikiem tego, że czuję się nieszczęśliwa i brakuje mi pewności siebie.

Zwierzęta są mniej niebezpieczne i znacznie sympatyczniejsze niż ludzie. To ja, z moimi ułomnościami, jestem nienormalna, a nie prości ludzie, ekstrawertycy o jednoznacznym stosunku do świata przyrody.

Przypomniałam sobie nagle już dawno zmarłego wikarego

164

naszej parafii i to, co zrobił z moim królikiem. Przypuszczalnie hodował króliki na mięso, a jeśli dziecko hodowało królika dla przyjemności, a potem go oddało, to potraktował go znów wyłącznie w kategorii mięsa. Wszystko w porządku. Przecież ja też jadłam mięso. Krzywda spotkała nie królika ale dziecko.

A jak postępowała moja matka z psem? Wychowała się przecież w surowym społeczeństwie pionierów, wyrabujących środki do życia w buszu Nowej Zelandii, gdzie zwierzęta albo były stadem domowym, albo dziczyzną do upolowania, a w ubóstwie ciężkiego parania się z losem

nie było miejsca na sentyment. Nawet dzieci uważano za narzędzia pracy i w konsekwencji córki były mniej pożądane niż synowie. Krzywdy, jakie mnie spotkały w dzieciństwie, jeśli to

były krzywdy, można było zrozumieć i zapomnieć, jeśli wysiliło się całą wyobraźnię. Tak więc ohydny napój miłosny sprawił, że w ciągu tej długiej nocy udało mi się przepędzić moje

własne nieszczęsne upiory i osiągnąć wreszcie spokój, wynikający z wyczerpania.

Kiedy w końcu zasnęłam, nie śniłam już o kolistych konstrukcjach kamiennych ani o zdychających psach, ale o gołębiach lecących na tle błękitnego nieba i o Christopherze Johnie, który uśmiechał się i mówił: - I odtąd zawsze żyli szczęśliwie.

Skoro nie jest to opowieść o czarach czynionych o północy, ale prosta, stosunkowo prosta, opowieść miłosna, słuszne jest, że ostatnie rozdziały zaczynają się opisem pięknego poranku.

Nawet wczesne promienie słoneczne ogrzewające chłodne powietrze, ciężka rosa lśniąca na trawie i cienka powłoka chmur zacieniających lustro rzeki, nie mogły rozwiać przygniatającej

mnie w chwili przebudzenia depresji... Kiedy zaś zdałam sobie sprawę, co miał przynieść ten dzień, musiałam natychmiast przywołać odwagę. Podtrzymywała mnie myśl o psie, „dopiero co zdechłym albo zdychającym psie”. Szybko uporałam się z rannymi pracami domowymi i pobiegłam na górę po książkę.

Nie miałam zamiaru dać jej Agnes, zanim z nią nie porozmawiam i nie dowiem się prawdy. Ale nawet wtedy nie wręczę jej książki z tym upiornym przepisem w środku. Wyjęłam pergaminowy arkusz i bez zmrużenia oczu przyłożyłam do niego zapalnik, a zwęglone resztki zmyłam w zlewie zielarni. Teraz umieściłam książkę na półce wśród innych, zamknęłam drzwi i zeszałam na dół, by przygotować się do wizyty w stróżówce.

Zawsze lepiej jest spotkać nieprzyjaciela na własnym polu, by wybrać pozycję do walki. Nigdy nie byłam w stróżówce, nie zapraszano mnie do środka, kiedy zdarzało mi się tam zatrzymać w drodze do domu. Nie chciałam, by rozmowa odbyła się w obecności Jessamy'ego i z całą pewnością nie zamierzałam rozmawiać z Agnes na progu. Chciałam tylko powiedzieć jej, że znalazłam pożądaną książkę, ale jest bardzo zniszczona i prawdopodobnie ma dużą wartość, więc jeśli chce ją zobaczyć, musi to zrobić w Thornyhold,

gdzie będzie miała możliwość skopiowania przepisów, jakie sobie wybierze.

Potem, korzystając z pięknego dnia, pójdę do Tidworth, do pana Massona, który wziął gołębie

kuzynki Geillis i spytam go o ptaki, które przyniosły korespondencję. Sprawdzę, czy szalony

166  
pomysł wyjaśnienia pojawienia się drugiej kartki jest trafny. I wreszcie (choć próbowałam nie

przyznawać się do tego nawet w głębi serca) zobaczyć, czy mijając drogę do Boscobel nie ujrzę choć w przelocie sylwetki Christophera Johna.

Zrobiłam dla siebie kilka kanapek, włożyłam słoiczek galaretki z jeżyn własnej roboty do koszyka i ruszyłam rowerem wzdłuż alei.

Kiedy dojechałam do stróżówki, pojawiła się pierwsza przeszkoda w realizacji mojego odważnego i chytrego planu: Agnes była nieobecna, nie było również Jessam/ego. Moje pukanie do drzwi nic nie dało.

Kiedy jednak postawiłam słoik z galaretką na progu, usłyszałam tuż za sobą Jessamy'ego.  
— Dzień dobry pani.

Był w sąsiednim domu, po drugiej stronie alei. Zostawił drzwi otwarte. Przez nie ujrzałam wewnątrz maleńkiego pokoju, olśniewająco czystego, ze stolikiem przykrytym obrusem w czerwonej kratę, kominkiem ze świecącymi ozdobami z mosiądzu i staroświeckim bujanym fotelem, w którym siedziała staruszka, wyglądająca z pewnością dwukrotnie starzej niż wskazywał na to jej wiek, podobna do portretu wiktoriańskiego, w fartuchu przykrywającym kolana i z białym szalem na ramionach. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się do mnie machając mi ręką. Ja też się uśmiechnęłam i zamachałam ręką. Jessamy zaś powiedział:

— Mamy nie ma. Wyszła.

— Czy wiesz, dokąd poszła?

— Nie powiedziała.

— A nie widziałaś? Czy poszła przez las?

— Nie, poszła w kierunku miasta - wskazał drogę do St. Thorn.

— A czy nie powiedziała, kiedy wróci?

Potrząsnęła głową. - Poszła zaraz po śniadaniu. Nie powiedziała, psze pani. Czy pani zrobiła galaretkę?

— Tak. Jeszcze raz dziękuję za owoce, Jessamy. Przyniosłam słoik dla ciebie i twojej matki. Jak się ma twoja ręka?

— Lepiej, całkiem wygojona.

— Cieszę się. Po powrocie twojej matki zechciej jej powiedzieć, że znalazłam książkę.

Powiedz jej, by przyszła do mnie, jeśli chce ją przejrzeć.

167

— Książkę? - pytaniu towarzyszyło pełne zaskoczenia spojrzenie. — Mama ma przeglądać książkę?

— Tak, będzie wiedziała, o co chodzi. Powiedz jej tylko, że znalazłam książkę.

Podniosłam rower. Babcia znowu zamachała ręką, a ja jej odpowiedziałam w ten sam sposób.

— Powiedz jej, że nie będzie mnie mniej więcej do podwieczorku, ale może przyjść potem, jeśli będzie chciała obejrzeć książkę. Dzięki, Jessamy. Czy wszystko jasne?

— Tak - zniżył głos: - Nie ma sensu, żeby pani wchodziła i rozmawiała z babcią. Jest zadowolona, że panią widziała i tyle.

— W porządku. Rozumiem. Miło mi było ją zobaczyć. Wygląda bardzo dobrze.

Jeszcze jedno machnięcie i wyprowadziłam rower na nasłonecznioną drogę. Zobaczyłam, że bujany fotel znów kiwa się monotonicznie.

U wylotu drogi do Boscobel nie zobaczyłam Christophera Johna. Dalej droga przechodziła w

wyżłobioną koleinami ścieżkę, niewątpliwie używaną przede wszystkim przez bydło.

Ścieżka

wiła się wśród Żywopłotów przez około milę, aż do Tidworth. Tu się kończyła. Tidworth było

odosobnionym, maleńkim siołem z półtuzinem chat bezładnie stłoczonych wokół zielonego nieużytku, gdzie białe kaczki rozkoszowały się błotnistą sadzawką. Skrzynka pocztowa w kształcie słupa przed jedną z chat i drobne towary na sprzedaż w oknie wskazywały, że była to poczta. Zostawiłam rower przy bramie i weszłam do środka. W pomieszczeniu nie było nikogo, ale z pokoju na tyłach domu unosił się zapach pieczonego chleba i na dźwięk dzwonka u drzwi w pośpiechu nadeszła kobieta, wycierając w duży kraciasty fartuch zabrudzone mąką ręce.

— Przykro mi, że przeszkadzam pani w pracy - rozpoczęłam.

— Proszę bardzo. Czym mogę służyć?

Zawahałam się i rozglądając dookoła zastanawiałam się, co mogę tutaj kupić. Na półkach nie

było wiele rzeczy, system kartkowy mocno uderzył w ten typ małych sklepików z szerokim

168  
asortymentem towarów, gdyż ludzie byli raczej skłonni zanosić swoje kartki do miasta, gdzie

stała klientela sklepu mogła zdobyć również towary nie objęte kartkami. A w miejscu takim jak Tidworth ludzie mieli swoje jaja, uprawiali własne jarzyny, piekli własny chleb... Moje oczy zatrzymały się na stosie puszek kakao, nie objętego kartkami.

— Poproszę jedną puszkę kakao.

Sięgnęła po towar, nie spuszczając ze mnie oczu. Była to wysoka, koścista kobieta, ubrana na czarno, w zapinanym z przodu swetrze w kolorze rdzy. Miała siwiejące, gładko zaczesane włosy, upięte w kok z tyłu głowy, mocne szczęki i czarne oczy. Przyglądała mi się z zainteresowaniem, a nawet więcej, z przenikliwą ciekawością, która mnie zdziwiła.

Pomyślałam jednak, że obcy rzadko zapuszczają się tutaj, w tę ślepią uliczkę.

— Czy chciała pani jeszcze coś? Jeden szyling cztery i pół pensa, proszę pani.... Dziękuję.

— Właściwie, jest jeszcze jedna sprawa... Powiedziano mi, że pan Masson mieszka w Tidworth. Czy mogłaby pani powiedzieć mi w którym domu?

— Eddy Masson? Oczywiście, jego chata stoi na końcu wsi. Minęła ją pani. Pierwsza od strony drogi. Ale wątpię, czy pani go tam znajdzie. Przebywa tu rzadko, chyba że wieczorami albo w niedziele. Pracuje dla farmera Yellanda w Black Cocks.

Dlaczego sama o tym nie pamiętałam? Do Black Cocks trzeba iść koło Boscobel.

Uśmiechnęłam się do niej.

— Dziękuję bardzo. Mogę tam wstąpić wracając. Ale... może pani Masson jest w domu?

— Nie ma żony - powiedziała i zaraz, z zakłopotaniem, ale i z błyskiem humoru, dodała - jeszcze nie.

— Ach tak - powiedziałam niepewnie - dziękuję pani bardzo. Z dziwnym poczuciem ulgi skierowałam się do drzwi. Zatrzymały mnie jej słowa. - A więc zatrzymała się pani tutaj?

— Tak. To znaczy, nie jestem tu na wakacjach. Mieszkam teraz tutaj, w Thornyhold. Pewnie pani zna dom? Sprowadziłam się we wrześniu i ciągle jeszcze poznaję okolice. Po raz pierwszy jestem w Tidworth. Jest piękne, ale trochę na uboczu, nieprawdaż?

— Mówią, że nawet kruki muszą stąd uciekać - skinęła głową zadowolona z siebie. - Prawdę mówiąc, domyśliłam się, zaraz

169

jak pani weszła do sklepu. Mam przecież przed sobą pannę Ramsey, dla której pracuje wdowa Trapp. Jestem rada z poznania pani.

Odsunęła kłapę kontuaru i wyszła, wyciągając do mnie rękę.

Poczta pantoflowa, pomyślałam. Poczta pantoflowa była niczym w porównaniu z „bębnami dzungli” Westermain. Było przecież oczywiste, że w promieniu mili wszyscy już wiedzieli o moim przyjeździe tutaj. Znają mnie też prawdopodobnie z widzenia. I z pewnością wiedzą, jak urządziłam dom. Zawdzięczam to na pewno „wdowie Trapp”.

Wdowa Trapp. Zaś w Tidworth mieszka rywalizująca czarownica. To potwierdziło się zaraz. Uścisnęłam jej suchą, kościstą rękę, niespodziewanie silną i powiedziałam: - Witam, pani Marget.

Pełna zadowolenia z siebie zareagowała zachwycona. - Powiedziała mi przecież: a ja domyśliłam się od razu, gdy tylko na panią spojrzełam!

— Co powiedziała? Co pani wie? - Nie odpowiedziała, ale potrząsnęła głową, a jej czarne oczy były ożywione. Chwyciła puszkę kakao i wcisnęła do mojej ręki.

— Zapomniała pani o tym. Tak, jestem Madge Marget. Sądzę, że zna pani George'a, mojego syna. Jest pocztylionem i mówił mi, że stary dom panny Saxon jest teraz taki piękny i zadbany i że aż do Salisbury nie znajdziesz piękniejszej niż nowa, młoda pani tej posiadłości.

Tak, jak tylko weszła pani do sklepu, powiedziałam sobie: to ona. Powiedziałam sobie, podobna do panny Saxon, nie myślę się. Prawdziwa piękność, bez obrazy.

— Nie... ja? Coś podobnego! Dziękuję.

Schowała ręce pod fartuchem i oparła się na kontuarze, niewątpliwie gotowa do długiej pogawędki, ale ja szybko podziękowałam jej, jeszcze raz przepraszając, że trochę się spieszę i

zrobiłam krok w kierunku drzwi. Kiedy je otworzyłam, już stała koło mnie. Z ręką wyciągniętą nad moim ramieniem powiedziała:

— To dom Eddy Massona, tam przy stogach. Ma je tam.

— Co ma?

— Je!

Palcem pokazała na wysoko nad wiązami szybujące wkoło gołębie, które potem obniżyły lot i pofrunęły w kierunku Boscobel.

23

Chata pana Massona stała trochę z dala od drogi i gdybym nie wiedziała, że nie jest żonaty, domyśliłabym się tego widząc zaniedbany dom i ogród. Furtka rozpadała się i wisiała na jednym zawiasie. Przecisnęłam się przez nią i po porośniętych chwastami kamieniach dotarłam do drzwi. Były otwarte, a za nimi widać było pokój, w którym na stole przykrytym gazetą leżały jeszcze resztki śniadania. Para rannych pantofli z grubej tkaniny pozostała tam, gdzie je kopnięto, przed kratką kominka.

Jeszcze jedno spojrzenie na gospodarstwo kawalera, którego w żadnym razie nie można było porównać z zagospodarowanym życiem domowym Christophera Johna. Jedyłą rzeczą, która ich w pewien sposób łączyła, zobaczyłam na wygaszonej kuchni. Była to brytfanna do zapiekanki, biało-niebieska, tylko do połowy opróżniona. Rozpoznałam tę brytfannę.

Wyglądało na to, że Agnes szeroko okazywała swoją życzliwość.

Jedynie dlatego, by stało się zadość zwyczajom, zapukałam do drzwi, zaczekałam konwencjonalne pół minuty i niby szukając drzwi kuchennych, przedarłam się wśród chwastów na tył domu. W ten sposób, w głębi tego, co kiedyś było ogrodem, znalazłam gołębnik. Zbliżając się, usłyszałam nad głową szum i kiedy podniosłam głowę zobaczyłam stado wracających gołębi. Przypuszczalnie około dwudziestu sztuk, białe, szare i czarne krążyły na tle błękitnego nieba. Stałam bez ruchu. Kołowały raz, drugi, trzeci, coraz niżej i coraz bliżej siebie, aż naraz opadły na próg gołębnika i weszły do środka.

Widać było, że pan Masson cały wolny czas poświęcał na opiekę nad gołębnikiem. Choć zewnętrzna farba wyblakła i odchodziła, drewno było zdrowe, a szkło i siatka w oknach wyglądały jak nowe. Drzwi, jak stwierdziłam, były bezpiecznie zamknięte i - stojąc na



palcach - mogłam przez wzmocnione siatką szkło zobaczyć, co dzieje się w środku. Większość ptaków zajęła się jedzeniem. Kilka na mój widok podniosło krótkotrwały alarm, ale były przyzwyczajone, że je obserwowano, więc szybko zabrały się z powrotem do dziobania, a inne dalej dumnie dreptały. Większość ptaków była barwy szarej, jak pierwszy gołąb, wysłannik do Thornyhold, ale były wśród nich ciemne, kilka barwy czerwonej, a jeden, bardzo piękny, był czysto biały. Jak się mogłam zorientować wszystkie były obrączkowane, ale żaden nie miał specjalnej metalowej obrączki gołębia pocztowego.

Nie mogło to mieć specjalnego znaczenia, myślałam brnąć z powrotem do furtki. Wiedziałam tylko, że mogły mieć specjalne obrączki do noszenia małych papierowych pasków. Wszystko więc usprawiedliwiało wizytę w Black Cocks w celu spotkania pana Massona i było najlepszym z możliwych pretekstów do zbliżenia się do bramy Boscobel - a może nawet do wejścia do środka, by spytać, jak sprawował się Gałgan.

Gniewnie powiedziałam sobie, że preteksty nie są mi potrzebne. To on sprawił, że stało się to

dostatecznie jasne. Czyż nic, nawet jawna sympatia i podziw - niech będzie, poddanie się mojemu urokowi - które mi okazał, nie mogły przewyciężyć kompleksów rozwiniętych przez zamknięcie się w sobie w okresie dzieciństwa? Nieśmiałość, która zniknęła całkowicie w

jego obecności, powstrzymywała mnie jeszcze ciągle przed zbliżeniem się do niego.

Ostatecznie nie miało to znaczenia. Nie było śladu jego obecności w Boscobel, a samochodu nie było na podwórzu. Nie zobaczyłam też roweru Williama. I oczywiście nie było także psa. Pojechałam dalej, prosto do Black Cocks.

Najpierw zobaczyłam tam samochód Christophera Johna, stojący tuż przy bramie dziedzińca farmy, a obok rower Williama, oparty o ścianę. Okazało się, że odwaga nie była potrzebna. Potrzebowałam jedynie jego obecności. Ponownego śpiewu w sercu, ożywienia uczucia, podniesienia nastroju i poczucia promiennego szczęścia. Podparłam rower obok roweru Williama i minęłam bramę.

Na pierwszy rzut oka dziedzińca był pusty, z wyjątkiem gdaczących kur, grzebiących w porzuconych resztkach ze stogów. Wśród nich zobaczyłam parę gołębi, które z łoskotem skrzydeł pofrunęły w górę i wtedy spostrzegłam, że to były dzikie ptaki,

172

grzywacze, które wleciały wysoko, zanim zbiły się w koło, kierując się w stronę wysokich wiązów za budynkiem farmy.

— Czy jest tam ktoś?

Mój głos zabrzmiał cicho i niewyraźnie w pustce dziedzińca. Słońce prażyło dachy budynków i odbijało się od przedniej szyby samochodu. Z dala dochodziły ciche głosy bydła i usłyszałam szczęk łańcucha. żadnej odpowiedzi na moje wołanie.

— Christopher John? William? - A przypomniawszy sobie, gdzie jestem: — Panie Yelland? Panie Masson? Czy ktoś jest tutaj?

Ciągle bez odpowiedzi, nawet pies nie zaszczekał.

Ale on był tutaj. Wiedziałam na pewno. Wiedziałam zanim jeszcze zobaczyłam stado gołębi, które kołowały, opadały, otaczały wiązy, gdzie ukryli się ich dzicy kuzyni, a potem odleciały. Szare, różowo czarne i białe gołębie ze stada w Tidworth znowu szybowały na wolności. Słońce migotało na ich przechylonych skrzydłach, sprawiając, że wyglądały jak śnieżnobiałe kryształki. On jest tutaj. Musi tutaj być. Jeśli kuzynka Geillis nie myliła się co do mnie, wiedziałam, że tutaj jest...

Geillis, umierająca z tęsknoty dziewczyno, weź się w garść! Nie trzeba być czarownicą, aby to wiedzieć. Przecież jest tutaj jego samochód. W porządku więc, Christopher i pies, i William, a prawdopodobnie także pan Masson odeszli gdzieś. I w tym właśnie momencie, jak na zawołanie, usłyszałam z daleka szczekanie psa i beczenie owiec, potem długi delikatny

gwizd i coś, jakby głośnie wołanie. Dźwięki dochodziły spoza budynków, które zamykały dziedziniec folwarczny.

Dałam za wygraną i spróbowałam tego, od czego powinnam zacząć; podeszłam do drzwi farmy i zapukałam.

Początkowo myślałam, że znowu nie mam szczęścia, ale kiedy próbowałam jeszcze raz zapukać, od strony oficyn przybiegła z pośpiechem dziewczyna, wycierając w drodze ręce o fartuch.

— A właśnie, zdawało mi się, że słyszałam wołanie. Byłam w mleczarni, gdzie robiłam porządki. Czy pani tu od dawna?

— Nie, tylko raz zapukałam. Czy pani jest żoną pana Yellanda?

— Ależ nie. - Potrząsnęła czarnymi lokami i pokazała dołeczki w uśmiechu. - Jeśli szuka jej pani, to jest w Taggs Farm, pomaga tam. Chodzi tam dwa razy w tygodniu i nie wróci przed podwieczorkiem, ale pewnie będzie pani tamtędy wracała i ...

173

— Właściwie to chciałam porozmawiać z panem Massonem. Zdaje się, że tutaj pracuje.

— To prawda. Ale od śniadania nie widziałam dzisiaj ani jego, ani pana Yellanda. Zbierają na trzydziestu hektarach.

— Zbierają?

— Trzeba przenieść owce. Słysząc ich stąd. Jeśli jednak zaczeka pani odrobinę, to spotka ich pani, gdyż wrócą na obiad. Może za pół godziny. Są jeszcze płoty do naprawienia. Czy wejdzie pani do środka?

— Nie, raczej nie, dziękuję bardzo. Czy mogę poczekać na dworze? Mamy taki piękny dzień.

— Proszę bardzo, jak pani sobie życzy. Ja muszę wrócić do kuchni. Do widzenia. - I popędziła do domu.

Wolno poszłam przez pusty dziedziniec. W czasie gdy mnie tu nie było, powróciły grzywacze i znowu kłębiły się wśród kur. Tym razem odfrunęły tylko na wysokość otwartych drzwi stodoły, około dwudziestu stóp nad ziemią, i tam usiadły na parapecie okna, niespokojnie mnie obserwując.

Było to nieoszkłone okno, czy może małe drzwi, które otwierało się na wysokości poddasza; ładowano przez nie zboże. Gdzie może być wejście na poddasze? Z palącego słońca na dziedzińcu przeszłam do ponurej wielkiej stodoły i rozejrzałam się wkoło. Z jednej strony złożono słomę prawie do wysokości poprzecznych belek, a z drugiej aż do podłogi pomieszczenia dla gołębi. Znajdowały się tam solidne drewniane schodki. Weszłam po nich i stanęłam na podłodze z czystych desek, oświetlonej przez ukośnie padające z otwartych drzwi światło. Gołębie odleciały. Doszłam do drzwi i uklękłam, by spojrzeć nad dachami budynków na pastwiska.

Byli tam ludzie. Z daleka odróżniłam małą postać, którą mógł być William wśród dorosłych mężczyzn, trzy psy i stado owiec. Ale nie było Christophera Johna. Nawet z tej odległości wiedziałabym.

Otworzyłam usta, by zawołać, ale delikatne muśnięcie powietrza zatrzymało mnie i nie wydałam żadnego dźwięku. Jedno mgnienie oka i zobaczyłam Christophera Johna błyskawicznym ruchem otwierającego drzwi samochodu i wsuwającego się na miejsce kierowcy. Zanim zdążyłam odetchnąć, odjechał i zniknął mi z oczu na drodze do Boscobel.

24

Teraz, oczywiście, nie mogłam zatrzymać się w Boscobel. Kiedy jednak mijałam bramę, zerknęłam i nie zauważyłam śladu jego samochodu. Dostrzegłam kobietę, która musiała być panią Yelland i która niosła jakieś pudło do domu. Leżał tam także worek, zapewne z ziarnem; leżał na progu, gdzie go zrzuciono. Christopher musiał przywieźć zapasy z farmy i

natychmiast odjechać. Gdyby zaparkował samochód z tyłu domu, to z pewnością zostawiłby tam towary albo wniósł je do środka. Nie, to wyglądało jakby zrzucił toboły i natychmiast uciekł, aby uniknąć spotkania ze mną, gdybym przypadkiem wstąpiła wracając z farmy. Niepotrzebnie zadawał sobie tyle trudu, myślałam posępnie, gdy mój rower zatrząsł się zjeżdżając z traktu w boczną drogę. Teraz, gdy okazało się, że unika mnie, będę ostatnią osobą, która się do niego zbliży. Nawet po to, by dowiedzieć się, dlaczego. W każdym razie obecność pani Yelland sprawiła, że tym bardziej nie mogłam zatrzymać się, by spytać go o co

chodzi. Nawet wtedy - po dalszej pół mili - gdy zdałam sobie sprawę, że mógł nie wiedzieć, że widziałam go na farmie, gdy odjeżdżał w pośpiechu; doszłam do wniosku, że zrobił to samo w Boscobel, na wypadek gdybym się zatrzymała w drodze do domu. Wszystkie obawy i niepewności powróciły, opanowując mnie, posępne i bezkształtne jak deszczowa chmura. Jak mogłam marzyć, że moja miłość będzie odwzajemniona? Że ktoś taki jak on spojrzy w moją stronę? Co ja powiedziałam, zrobiłam, co mogło go tak zirytować, a nawet oburzyć, że nie chciał mnie widzieć?

Piekły mnie oczy. Pedalując szybko, spuściłam głowę przypominając sobie miniony dzień, spokojny i piękny, kiedy myślałam, ba, byłam pewna, że mnie kocha. Czy siła moich uczuć zwiódła mnie, a jego przeraziła? Ale przecież mówił, patrzył... Zapomnij o tym Geillis. Był uroczy, przyjacielski i uprzejmy, a ja

175

pozbyłam się mojej nieśmiałości. Być może nasza długa rozmowa o Williamie, a potem o zmarłej żonie sprawiła, że zbyt wiele oczekiwałam. A więc trzeba zapomnieć. Był uprzejmy i to wszystko; dla przyjaciółki Williama i dla samotnej sąsiadki. Było to dla mnie zawstydzające, że tak bardzo się zdradziłam, bo on musiał dobrze wiedzieć, jaki wpływ wywiera na kobiety. Odkrył, co się ze mną dzieje i postanowił wycofać się.

Ja też to zrobię. Następny krok należy do niego. Jeżeli nie przyjdzie, to tak pozostanie. Podjęłam tę oczywistą decyzję pod wpływem nagłej fali dumy, która uspokoiła moje skłócone

myśli i przywróciła mi odrobinę zdrowego rozsądku. Nagle, po raz pierwszy odkąd znalazłam

się na drodze do Boscobel, zdałam sobie sprawę, gdzie jestem. Nawet nie wiedziałam, kiedy minęłam bramę Thornyhold, gdzie u stóp wzniesienia płynęła rzeka Arn, a przecież wczoraj siedziałam tam z Christopherem Johnem, szczęśliwa w blasku słońca.

Dzisiaj także było słońce. Zeskoczyłam z roweru na moście, wzięłam zapakowane kanapki i owoce z koszyka, i pełna ciągle podsycanej dumy usiadłam na poręczy mostu, aby zjeść lunch.

Sądzę, że będąc zakochana powinnam pozostawić większość jedzenia, ale byłam głodna i smakowało mi, cieszyło mnie ciepło i piękno jesiennych drzew i kwiatów w żywopłocie. W trawie, obok zrujnowanych słupów starego opactwa, znalazłam jeszcze obrazkowiec. Wczoraj zebrane gałązki zmarniały, ponieważ upuściłam kwiaty w samochodzie, tak więc po skończeniu jedzenia pojechałam rowerem te parę metrów pozostałych do bramy, zebrałam świeże dzikie gałązki, wrzuciłam je do koszyka obok opakowania po lunchu i ruszyłam w drogę powrotną. Oto pora, by zacząć nowe życie; to sobie przyrzekłam; wyciągnę przyrządy malarskie i jeszcze tego popołudnia zacznę malować.

Ale w tym momencie zawahałam się. Jak nigdy, nie chciałam spotkać Agnes. A było to przecież w jej stylu: gdy widzi, że mijam stróżówkę, spieszy do Thornyhold.

Oparłam rower o bramę i przez żywopłot przeszłam na pole, gdzie znajdowały się ruiny. Jak powiedział pan Hannaker, niewiele było do oglądania. Nie był to narodowy pomnik architektury, z wystrzyżonym jak dywan trawnikiem wypełniającym główną nawę i symetrycznie otaczającymi ją kolumnami, podtrzymującymi otwarte z góry na-

wy boczne. St. Thorn był małą fundacją, ale resztki kościoła ukazywały zarysy przestronnych wnętrz z nietkniętym przez czas jednym łukiem, zza którego konturów było widać niebo. Z budynków opactwa zachowały się jedynie, wyglądające gdzieś z trawy, resztki fundamentów, od dawna wywożonych przez miejscowych farmerów ze względu na kamienie. Większe kamienie z obramowań drzwi, kolumny, a także fragmenty grobowców — na co wskazywały ich kształty - zostały usunięte niedawno i ustawione pod żywopłotami, prawdopodobnie, by nie przeszkadzały w drodze na pastwisko. Było oczywiste, że pasły się tutaj krowy. Wolno skierowałam się do ruin kościoła. Wszędzie rosły pokrzywy, trawa była wysoka i wybujała w cieniu, ale na środku, gdzie większość muru odrzucono na bok, by zostawić wolną przestrzeń dla bydła, nie było już trawy. Teraz było tu bardzo cicho. Krowy nie pasły się w pobliżu i nie śpiewały ptaki.

Stojąc w nasłonecznionej nawie, rozglądałam się dookoła. Wysokie podpory, z trzymającymi się jeszcze fragmentami ornamentów okien, tworzyły łuk widoczny z drogi. Poza tym pozostały jeszcze różnej wielkości odrzwia od zachodniej strony i mniejsze kolumny z obu stron, za którymi widać było klasztor i wirydarz. Zachowało się jeszcze kilka filarów podtrzymujących nawy boczne, ale z większości z nich pozostały tylko porośnięte trawą fragmenty. Nic więcej. Z wyjątkiem położonej blisko zachodniej strony płyty kamiennej, którą mój ojciec nazwałby „wyzwaniem dla zmartwychwstania”, a która kiedyś musiała być częścią ważnego grobowca. Teraz wszystko nie miało znaczenia, opuszczone i posępne. Za kamiennymi ruinami rozciągało się puste pole. Nawet blask słoneczny nie mógł przywrócić dawnej świetności; było to posępne miejsce, gdzie gospodarzem był mrok. Tak, to rzeczywiście było takie miejsce. Teraz je rozpoznałam. Z całą pewnością nie było identyczne,

ale mogło stanowić dekorację do mojego snu. Nieruchome głazy na pustych grobach i rozbite

kolumny. Czyste niebo z odrzwiami od zachodniej strony. Płaski kamień ukryty do połowy w trawie. Nastrój opuszczenia i samotności.

— Coś podobnego, żeby tutaj panią spotkać?

Odwrociłam się.

To Agnes Trapp oparła rower o słup bramy, naprzeciw mojego i podeszła do mnie z uśmiechem.

Jej widok odpędził wcześniejsze rozterki. Tak dokładnie przygotowałam w wyobraźni planowane z nią spotkanie, że byłam prawie pewna, że od razu mnie zaatakuje, ale ona powiedziała tylko:

— A więc przyjechała pani, aby obejrzeć stare ruiny. Ładne, prawda?

— Rzeczywiście. Szczerze mówiąc, chciałam zebrać trochę kwiatów i traw. Te żółte, rosnące na murze, należą raczej do rzadkich.

— Kwiaty? Nie ma ich pani dość w ogrodzie?

— Polne kwiaty. Chcę je narysować. Sporo zajmowałam się malowaniem kwiatów i pomyślałam, że znowu mogę zacząć. Agnes...

— Słucham.

Dotąd rozglądała się wokół, a teraz odwróciła się do mnie z pogodnym zadowoleniem z siebie, które nagle kazało mi się zastanowić, czy to był przypadek, czy może „bębny dżungli” - Jessamy albo wdowa Marget - że szukała mnie i znalazła na korzystnym dla niej terenie. Głęboko wciągnęłam powietrze, co spowodowało, że moja odwaga wróciła. Nie było to z całą pewnością miejsce, które bym wybrała, ale coś mi mówiło, że to nastąpić musi teraz albo nigdy. Wyszłam z ocienionych ruin kościoła i podeszłam do leżącego w słońcu pnia drzewa, nie do starego, sprofanowanego kamienia, ale drzewa, które zważyło się ostatnio, gładkiego i

zdrowego.

— Miałam nadzieję zobaczyć się z tobą dzisiaj - mówiłam spokojnie i uprzejmie. - Wstąpiłam do ciebie, ale Jessamy powiedział, że pojechałaś do miasta. Chciałam ci powiedzieć, że znalazłam książkę.

— Znalazła pani? - Wyglądała na zadowoloną, więcej niż zadowoloną: promieniała. Tego dnia było w niej coś szczególnego, jakiś blask zadowolenia, prawie wesołości, a przy tym siła, którą dostrzegłam w niej już wcześniej. Wprawdzie akurat nie chciałam z nią rozmawiać, ale trudno. Usiadła na zwałonym pniu.

— Tak. Miałam rację. Moja kuzynka dała ją komuś na przechowanie, gdyż, jak sądziłyśmy, ma ona obecnie sporą wartość. Zgodzisz się ze mną, że wolałabym jej nie pożyczać, przynajmniej do czasu, aż obejrzy ją jakiś ekspert lub ktoś w tym rodzaju.

178

— Ależ, powiedziała, że mogę ją dostać. Ona...

— Wiem. Pozwól, że skończę. Książka jest w domu i jeśli zechcesz, możesz przyjść, obejrzeć ją i przepisać wszystko, co wybierzesz. Jest jednak pewna sprawa...

— Jaka?

Powiedziała to szybko, jakby wycofując się.

— Nie ma w książce przepisu na galaretkę z jeżyn.

— A więc przejrzała pani ją całą? - to było powiedziane ostro.

— Tak naprawdę, to nie. Tylko przejrzałam, by znaleźć ten właśnie przepis, gdyż powiedziałaś mi, że jest specjalny. Ale zdecydowanie go nie ma.

Zobaczyłam iskierkę wesołości zapalającą się w jej oczach. Usiadła na pniu w odległości jakiegoś metra ode mnie.

— No tak, musiałam go widzieć w innej książce. Ale są inne, jak pamiętam, które chciałabym mieć.

— A więc dobrze. - Przesunęłam ręką po pniu drzewa. Dotyk ogrzanego słońcem kłosa był czymś realnym i na swój sposób uspokajającym. — Kiedy zechcesz. Tylko daj mi znać.

— Może dzisiaj? Po kolacji?

— Proszę bardzo. Wkrótce wracam do domu.

Przerwa. Wiedziałałam, że spogląda na mnie z pewną ciekawością, ale, jak mi się wydawało, bez podejrzeń czy wrogości.

— Czy przyjechała pani tutaj tylko po kwiaty? - spytała. To była okazja. - Tak i aby obejrzeć stary kościół. Ale teraz,

kiedy go zobaczyłam, jestem trochę zaintrygowana. Czuję, że byłam tu już przedtem, choć wiem, że to nieprawda.

Jej uśmiech pogłębił się i skinęła głową z zadowoleniem.

— Sądziłam, że pani tak to odczuje.

— Dlaczego, Agnes? Dlaczego dorzuciłaś narkotyku do ofiarowanej mi na kolację zapiekanki?

Jeśli była zaskoczona, to nie więcej niż przez moment. Zaraz znowu triumfalnie pokiwała głową.

— Wiedziałałam. Jak tylko spojrzałam na panią, powiedziałam tamtym: „Ona się nadaje.

Jest odpowiednia. Dajcie jej szansę, a będzie jedną z nas". I miałam rację. Nie nabrałam pani. Od razu się pani domyśliła.

— Nie od razu. Ale wystarczająco wcześniej. Co było w tej zapiekance?

— Nic groźnego, nic groźnego. Tylko, by się pani dowiedziała, że jesteśmy tutaj i witamy ją wśród nas.

179

Milczałam przez chwilę. - A więc to o to chodziło? Powiedziałaś kiedyś, że chciałabym mnie

zabrać na wasze zebranie. Domyślam się, że odbywają się tutaj?

Teraz, kiedy patrzyła na mnie, w wyrazie jej oczu, jak mi się zdawało, ujrzałam strach.

— Czy mam rozumieć, że widziała pani to wszystko - zatoczyła ręką koło - pierwszego dnia, nie wychodząc nawet z łóżka?

— Coś bardzo podobnego do tego miejsca. - Wolno dodałam: - I parę osób, które znam.

— A więc ma pani moc! Już ją pani ma! Jest pani jedną z nas, panno Geillis Ramsey.

— Nie, nie jestem. Dałaś mi narkotyki i we śnie zobaczyłam coś, co przypomina to cmentarzysko. To wszystko. - Gdy zaczęłam to mówić, poczułam, jakby jakaś delikatna ręka zasłoniła mi usta. Zamilkłam więc i po chwili powiedziałam tylko: - Moja kuzynka, panna Saxon, była tu także. Pomogła mi stąd odejść, a następnego dnia przyfrunął gołąb z dobrymi życzeniami od niej.

Odzyskałam grunt pod nogami. Straszliwie zbladła. - Ale to nie może być prawdą, panienko, nie może! Jej tutaj nie było. Ona nie żyje.

— A więc?

— Jej tu nigdy nie było. Nie chciała tu przyjść. - Zaczerpnęła powietrza. - A jak już pani mówiłam, wszystkie gołębie przeniosły się do Eddy'ego Massona.

— A więc? - powiedziałam znowu. Bez względu na to, czy miałam to, co Agnes nazwała „mocą”, wykorzystałam to zaraz. — Czy sugerujesz, że pan Masson wysłał mi przesyłkę z życzeniami? Pokażę ci ją, jak przyjdiesz do Thornyhold dziś wieczorem. Przypuszczam, że znałaś pismo panny Saxon. - Usadowiłam się wygodniej na pniu. - Powiedz mi, proszę. Kiedy obudziłam się po narkotycznym śnie, zdawało mi się, że byłeś z Jessamym w mojej sypialni, a potem odkryłam, że mogłaś dostać się do domu przez okno komórki. Czy tak? Patrzyła na trawę u jej stóp. Kiwnęła głową. - Nie zrobiliśmy nic złego. Jessamy przeszedł przez okienko i wpuścił mnie do środka. Przyszliśmy sprawdzić, czy nic złego się pani nie stało po tym lekarstwie. Nie zawsze wiadomo za pierwszym razem.

Babcia ze stróżówki. Tak, to by się zgadzało.

— I by zamknąć okno.

180

— Ach. Więc to byłeś ty. Kiwnięcie głową.

— Leciła pani w powietrzu, czy mam rację?

Nie odpowiedziałam, ale wzięła milczenie za odpowiedź.

— Tak. Przyszliśmy, aby pani nie wyleciała przez okno. Czasami tak się dzieje.

Niewielka pociecha z takiej czarownicy. Biedna babcia, której przedawkowała leki.

Wyglądało na to, że miałam szczęście. Nie zmieniałam tonu głosu, brzmiał stanowczo.

— Czy przetrząsnęłaś dom w czasie mojego snu?

— Nie. Niby po co? Już przedtem szukałam. - Zastanowiła się, a w jej błękitnych oczach wyczytałam szczerłość.

— Nie powiem, że nie szukałam klucza, ale nie mogłam go znaleźć.

— Klucza do zielarni?

— Tak.

— A zupa, teraz mogę ci powiedzieć, że jej nie zjadłam.

— Nie zjadła pani zupy? - Zauważyłam, że to pytanie nie było pozbawione podziwu.

— Jak się pani domyśliła, że nie należało jej jeść? — A zaraz potem z iskierką wesołości dawnej Agnes: - Czy znowu przyleciał ptak, by panią ostrzec?

Zaśmiałam się i to popsuło jej szyki.

— Nie, tej nocy nie było ptaka.

Aby nie zdradzić Jessamy'ego powróciłam do półprawd. -Nie spałam, kiedy zaczął szczekać pies i zobaczyłam biegnącego Jessamy'ego. Czy pies go pogryzł?

— Tak. Nie chciał jeść, ale przegryzł sznur i ugryzł go.

— Nie trudź się, Agnes. - Tym razem pozwoliłam sobie na okazanie gniewu. - Wiem, co się

zdarzyło. Czy myślisz, że nie zdawałam sobie sprawy? Rano poszłam do dworu i zobaczyłam, gdzie więziliście psa. Zawołałam go i przyszedł do mnie.

— Ten pies? Przyszedł? Do pani?

— I zostanie tutaj. Skąd go zabraliście?

— Błąkał się, możliwe, że należał do Cyganów. - Robiła wrażenie pokonanej, a głos jej brzmiał pewnie. Nie było powodu wątpić w jej słowa. - Mógłby zostać zastrzelony, collie włączający się w okolicach wypasu owiec.

— Dobrze, ale teraz jest mój i zostawcie go w spokoju. Nie

181

będę pytała, co z nim robiliście, gdyż to także wiem. Ale trzymajcie się z daleka od niego, ty i Jessamy. Rozumiesz?

Jeszcze jedno kiwnięcie głową i szurnięcie nogami w trawie.

— Czy Jessamy był bardzo pogryziony? Pogryzienie przez psa może być bardzo niebezpieczne.

— Nie było tak źle. Przyłożyłam ziele na siniaki i balsam, który zrobiła pani ciotka.

— Czy to ten przepis chciałaś z książki Lady Sybil? Spojrzała w górę, a potem przebiegle, z ukosa. Zobaczyłam

dołeczki i jej ładne usta zacięły się, jakby chciała stłumić uśmiech.

— Nie, panno Ramsey;

— Więc co?

— Jest tam jeden przepis na cordial ze śliwek i widziałam także przepisy na cukierki, które pani ciotka robiła dla babci. Babcia bardzo lubi słodczy.

— Na cukierki?

Nie przewidziała, że w to nie mogłam uwierzyć. Ale spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i zanurzając rękę w kieszeni płaszcza wyciągnęła małe okrągłe pudełko, zrobione z drewnianych wiórów, rodzaj używany do pakowania delicji tureckich na Boże Narodzenie. Otworzyła je. W środku, na ozdobnej papierowej serwetce, leżały małe kwadratowe karmelki.

— Robię ich dużo - powiedziała Agnes - nie tylko dla mamy, ale na kiermasze. Proszę spróbować. To mój własny przepis i ostatnim razem kiedy wystawiłam je na konkursie w Arnside, dostałam za nie nagrodę. Proszę się poczęstować.

Spróbować? Usiłować pokonać uznaną czarownicę na jej własnym terenie a potem usiąść z nią na pniu i jeść karmelki jej roboty? Spojrzałam na pudełko i powiedziałam bezradnie:

— Dziękuję, ale doprawdy nie mam ochoty. Oczywiście, wyglądają wspaniale, ale ja nie jestem wielbicielek słodczy.

Zaśmiała się wesoło. - Myśli pani, że jest w nich coś, co znowu spowoduje, że będzie pani latała? Nie, nie, nie ma tu nic, co może zaszkodzić. Proszę, sama zjem, aby to udowodnić.

Wzięła jeden, wsunęła do ust, pogryzła, possała i połknęła.

— Właśnie tak. - Zerwała się z miejsca, stanęła przede mną, nagle uroczysta.

— Panno Ramsey, jeśli postępowałam źle, to żałuję tego.

182

Każdy ma swoje sposoby. Podziwiałam pani ciotkę, ale wiedziałam, wszyscy wiedzieli, że ona nigdy nie przyłączy się do nas. Tak to było. Ale my nie robiłyśmy nic złego, trochę przyjemności i trochę tajemnic, i oczekiwanie, że coś może się zdarzyć w odpowiednim czasie... Kiedy zobaczyłam panią, pomyślałam, że pani jest inna, że pani się nadaje, spróbowałam więc, ale to nie było szkodliwe. Jeszcze nikogo nie skrzywdziłam i nikomu nie zaszkodziłam, z wyjątkiem mojej własnej matki i nie nazwałaby pani tego krzywdą, gdyby знаła ją wcześniej...

— Agnes....

— Jeszcze chwilę, jeszcze nie skończyłam. - Znowu pokiwała głową i dalej mówiła. -

Dobrze więc, może nie podobało mi się, co Jess zrobił psu, ale pani wie, że on nie jest zbyt

mądry i nie bardzo wie, jak postępować.

— Czy naprawdę utopiłabyś Hodżę? Teraz była zmieszana. - Utopić Hodżę?

— Czy próbowałaś? Nie mogłaś zrobić tego w studni, po tym jak utopił się tam ptak i moja kuzynka położyła tam kratę, ale co mu zrobiłaś, że tak cię znienawidził?

— A więc tak! - W tym wykrzykniku był triumf. - I to pani wie. Ale myli się pani, jeśli chodzi o kota. To był jej kot, a kotów nie można łatwo pokonać. Nigdy nie skrzywdziłam Hodży. Po prostu odszedł, gdy ona odeszła. Och, panno Geillis, panno Geillis, czy poszłaby pani ze mną choć raz i popatrzyła jeden jedyny raz?

— Nie, nie chcę. Cokolwiek wiem i posiadam, pozostanie w Thornyhold, a zwierzęta pozostaną ze mną i nic z tych rzeczy nie może się już powtórzyć.

W milczeniu mierzyłyśmy się wzrokiem, oko w oko. Serce mi waliło, a dłonie oparte o pień były wilgotne. Ale to Agnes spuściła oczy.

— Dobrze - powiedziała wreszcie, jakby zrezygnowana. -Widzę, że pani nie zmieni zdania. Dobrze. Przyrzekam. Nie skrzywdzę nikogo i nie zrobię nic złego, ani pani ani komukolwiek kto do pani należy.

Wzięła jeszcze jeden karmelek i podsunęła mi pudełko. -Proszę więc wziąć jeden i nie będziemy już nigdy o tym mówić i przepraszam bardzo, że sprawiłam tyle kłopotu.

Co miałam zrobić? Ona już połykała karmelek, wzięłam więc jeden i włożyłam do ust. Pachniał kawą i był bardzo smaczny.

183

Wstałam. - Teraz wrócę do domu. Cieszę się, Agnes, że odbyliśmy tę rozmowę i że wszystko

się wyjaśniło. Będę cię oczekiwać wieczorem. Czy wracasz teraz?

— Nie - powiedziała. Stała wyprostowana. W różowej twarzy promieniały błyszczące oczy. Wyglądała bardzo ładnie. - Idę do Taggs Farm, on nazywa ją Boscobel. Zostawiłam tam wczoraj trochę cukierków, gdy pani z nim flirtowała, a teraz idę zobaczyć, jak podziały. Utkwiłam w niej wzrok. Zjedzony przed chwilą cukierek zemdlił mnie.

— Co masz na myśli? - Przeważenie uczyniło mój głos chrapliwym. Te jej przekłete narkotyki... słodczyce... zobaczyć jak podziały. Ale on nie je słodczy, da je Williamowi. Przypomniałam sobie... Działa zbyt gwałtownie. Dla dziecka połowę dozy. - Co zrobiłaś?

— Coś, z czym pani nie może się pogodzić. Teraz na mnie kolej. Chciałam poczekać, aż poznam przepis na napój miłosny z pani książki, ale kiedy wczoraj zobaczyłam, jak patrzy na panią, nie mogłam już dłużej czekać, a poza tym znam jeszcze inne napoje. Zrobiłam więc karmelki i zaniósłam je. Jak tylko spojrzy na mnie, panno Geillis Ramsey, mnie będzie chciał, mnie! I proszę nie myśleć, że będzie miał powody, aby tego żałować.

Gwałtownie schowała pudełko ze słodczymi do kieszeni i zaśmiała mi się w twarz. Nic nie powiedziałam. Prawdopodobnie przyglądałam się jej z otwartymi ustami, jak idiotka, ale to nie zdumienie uczyniło mnie niemą. Zarumieniona, dalej coś mówiła zadowolona z siebie, ale

do mnie nie docierało ani jedno słowo.

To, co usłyszałam przedtem, było szalone, wstrząsające, ale ten właśnie wstrząs przebił mglisty wir nieszczęśliwych myśli z dzisiejszego przedpołudnia i rozbił go na strzępy.

Christopher John. Jeśli Agnes mówiła prawdę, a tak mi się zdawało, to nic z tego, co powiedziałam czy zrobiłam nie zraziło go ani nie przestraszyło. Kochał mnie i wyraźnie dał to do zrozumienia, kochał mnie naprawdę, otwarcie w biały dzień! To, co się zdarzyło dzisiaj rano, było wynikiem przekłętą narkotyku wyprodukowanego przez Agnes, a z własnego doświadczenia wiedziałam, jaki efekt mogły przynieść jej starania.

Jeśli więc są to czary, to cóż mogę zdziałać ja, Geillis z Thornyhold?

184

Ani kroku dalej. Nie w ten sposób. Nie trzeba było tym razem pojawiającej się nagle chmurki



zasłaniającej słońce, tak prawdziwej jak muśnięcie wietrzyka, abym zrezygnowała z zaklęć i czarów. Odrzuciłam to już wcześniej tak, jak zrobiła to wyposażona w większe zdolności kuzynka Geillis. Pozostała jednak moja nowa pewność siebie. „Otwarcie i w biały dzień”. Powróciło moje własne sformułowanie. Tak właśnie jest. On i ja należymy do tego świata, nie do szalonego świata narkotyków i koszmarów, a on kocha mnie w naszym rzeczywistym świecie. Jest bardzo inteligentny i myśli trzeźwo; dużo wie o Agnes; wystarczy więc z pewnością, jeśli powiem mu, co się zdarzyło.

Teraz odezwała się znowu, ostro i triumfująco: - Tak, możesz tak stać, moja damo. Nie pozwolimy ci przyłączyć się do nas, o nie. Możesz sobie pozostać poza tym wszystkim i zobaczyć, czego możemy dokonać, jeśli tylko chcemy. A teraz już sobie pójdę.

— Agnes. Czy postradałaś zmysły? Agnes! Zaczekaj, posłuchaj!

Wołałam na próżno. Już minęła bramę, chwyciła rower i wsiadła na niego. Zanim dotarłam do

bramy, oddaliła się, wściekle pedałując, już z pięćdziesiąt metrów. Nierówne cienie pochłonęły

oddalającą się postać i już jej nie było.

Chwyciłam swój rower i kilkoma szarpnięciami wyciągnęłam go na utwardzoną ścieżkę.

Mogę przysiąc, że nie miałam zamiaru przeszkodzić jej w spotkaniu, iluzorycznym spotkaniu

zaplanowanym w poczuciu złudnej czarodziejskiej mocy. Mając w pamięci babcię i echo słów Christophera Johna: - Niewielka pociecha z takiej czarownicy - bałam się jednak o Williama...

Nieźle jednak mnie załatwiła. Kiedy wyprowadziłam mój rower na drogę i chciałam wsiąść, okazało się, że obie opony są bez powietrza. I pompki, cóż za zaskoczenie, prawdziwe zaskoczenie, nie było nigdzie.

W tym momencie zatrzymał się przy mnie samochód.

— Czy coś się stało? - spytał Christopher John.

25

— Co się dzieje u licha?

Zanim zdołałam coś wykrztusić, wysiadł z samochodu i znalazłam się w jego ramionach.

Rower z brzękiem upadł na ziemię. Nawet gdybym chciała coś powiedzieć, to byłoby to niemożliwe z powodu pocałunku.

Minęły wieki, zanim odzyskałam przytomność i usłyszałam:

— Najdroższa, moja ukochana dziewczyno, co ci jest? Wyglądasz na przerażoną, to okropne. Czy miałaś wypadek na tym przeklętym rowerze?

— Nie, nie, wszystko dobrze, Christopher John. Gdzie jest William? Czy przyszedł do domu na lunch?

— Nie, musiałem jechać do St. Thorn, więc zostawiłem go na farmie. Dlaczego pytasz?

— Czy dostałeś rano paczuszkę, pudełko karmelków? Spojrzał zdumiony. - Tak, skąd wiesz? Czy tylko o to chodzi?

- i zaraz szybko, jak gdyby błyskawica przeleciała między nami:

— O Boże! Agnes?

— Tak. Powiedziałeś mi, nie, to był William, że rzadko jesz słodczy, więc pomyślałam, że mogłeś je dać jemu.

— Nie. Nie dałem mu. Podarowałem je Eddy'emu Massonowi. Oporządzał owce w Black Cocks, a tak lubi słodczy, że gdyby mógł jadłby je przez cały dzień. Na litość boską, co w nich jest?

Nie wiem, jaka pozostałość kobiecej lojalności nie pozwoliła mi powiedzieć prawdy. Nie mogłam jednak zdradzić tajemnicy, nawet prawdziwie mi nieprzyjaznej kobiety, mężczyźnie, którego pragnęła, a nie mogła zdobyć (teraz było pewne, że nie mogła go zdobyć). Przecież

Agnes, poza tymi ostatnimi szalonymi posunięciami, nie była prawdziwym wrogiem. W ramionach Christophera Johna ujrzałam komiczną stronę tego wszystkiego.

— Dlaczego tak się śmiejesz? Przed chwilą myślałem, że płaczesz?

186

— Bez powodu. Jestem szczęśliwa. Co mówiłeś?

— Mówiłem, że cię kocham. A co jest w tych cukierkach? Przed chwilą było to coś bardzo podejrzanego... a teraz jest tak zabawne?

— Nie wiem, ale coś jest. Powiedziała mi to. Widzisz, była tutaj i miałyśmy małą przeprawę, a potem odjechała w największym pośpiechu na rowerze, a ja chciałam jechać za nią, by ostrzec ciebie i Williama, gdyż nie mam zaufania do jej przepisów, i wtedy okazało się... - pokazałam leżący rower.

— Tak, widziałem opony. Zakładam, że to ona zrobiła. To nie jest tak zabawne. Sądzę, że lepiej będzie możliwie jak najszybciej powrócić do Boscobel.

W tej chwili rozdzieliło nas gwałtowne trąbienie klaksonu. Christopher John zostawił na środku drogi swój samochód, z otwartymi drzwiami i niewygaszonym silnikiem. Za nim, zatrzymując się z trzaskiem hamulców i milknącymi już dźwiękami klaksonu, stanęła taksówka z St. Thorn, która znała drogi w okolicy. Przez okno ukazała się uśmiechnięta twarz Hannakera.

— Nie chciałbym zepsuć przyjemności, bracie, ale mam zabrać pasażera. O! To pani? Miło mi znów panią spotkać.

— I mnie również - powiedziała szybko. - Witam pana.

— A więc zadomowiła się pani tutaj? Poznaje pani ludzi? - Mówił całkiem poważnie, ale ja śmiałam się, usuwając mój rower z drogi.

— Jak pan widzi. A obawiał się pan, że będę tu samotna. Powrócił szeroki, pogodny uśmiech: - To dobrze. Do zobaczenia wkrótce.

Kiedy Christopher John przesunął swój samochód, taksówka precyzyjnie się koło niego z dwoma krótkimi dźwiękami klaksonu na pożegnanie i zniknęła za zakrętem drogi.

Przepchnęłam rower przez bramę i ukryłam go w żywopłocie. Teraz, przywróceniu przez taksówkę do rzeczywistości, szybko ruszyliśmy w drogę.

Za bramami stróżówki i paroma zakrętami ciągnęła się przed nami prosta i pusta droga, z wyjątkiem taksówki na jakieś pół mili przed nami.

— Ani śladu Agnes.

— Na pewno za stróżówką skręciła w drogę wiodącą na skróty przez las. Czy uda się jej dojechać przed nami?

— Tą drogą w lesie? W żadnym razie. Ale skąd ten pośpiech?

187

— Nie sądzę, aby teraz trzeba było się spieszyć. Bałam się tylko o Williama. Jeśli pan Masson dał mu parę cukierków...

Samochód posuwał się szybko naprzód. Po chwili powiedział:

— Pakunek był zaadresowany do mnie. Czy nie powiedziała, dlaczego? Czy nie masz pojęcia, co w nich było?

— Ani trochę. - To przynajmniej odpowiadało prawdzie. - Ale ona zdaje się lubi eksperymenty z tymi głupimi czarami, czy jak to nazwać, i popełnia błędy. Próbowwała także na mnie, a na podstawie tego, co mi ostatnio powiedziała, doszłam do wniosku, że nie zawsze jest pewna efektów ich stosowania. Powiedziała, że cukierki są nieszkodliwe, ale William jest dzieckiem i z tego powodu, bez względu na to co w nich jest, mogą mu zaszkodzić.

— Jesteśmy prawie na miejscu.

Samochód skręcił w boczną drogę, może odrobinę zbyt szybko, błyskawicznie precyzyjnie się między żywopłotami i wreszcie znalazł się na trakcie prowadzącym do grupy buków wokół

Boscobel.

Kiedy znaleźliśmy się na szczycie wzniesienia drogi, zobaczyliśmy Agnes pedałącą z wielką szybkością wzdłuż ścieżki polnej, która prowadziła od kamieniołomów do farmy. Nisko pochylona, z purpurowymi rumieńcami, spódnicą falującą przy mocnym naciskaniu pedałów, wydawała się w tym momencie nie tyle postacią złowieszczą, co bohaterką sielankowej komedii. Na szczęście nie zauważyła Christophera Johna. Cała jej uwaga skupiła się na przeszkodzie utrudniającej jej dotarcie do bramy farmy.

Owce farmera Yellanda, całe stado składające się ze stu sześćdziesięciu sztuk, dreptały becząc i podskakując wkoło, jak piana unosząca się na wodzie; a wraz z nimi para psów collie, przeciskających się i odskakujących od nich, by je spędzić razem, zagroziły drogę Agnes. Otoczyły rower i zatrzymały go. Jedna z nich, z potarganym runem, zaplątała się przy pedale i tak utkwiała nieruchomo, głośno i gorzko płacząc.

Agnes coś krzyczała, ale poza dudnieniem ziemi, słyhać było tylko rozdzierającą uszy orkiestrę stada. Nie do nas krzyczała. Kanciasty, wielki mężczyzna z kijem pasterskim w ręku, do pasa zatopiony w swoim stadzie, stał jak pień, wpatrując się w nią, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Żuł coś w ustach.

Agnes puściła swój rower. Zniknął w potoku owiec. Kij Eddy

188

Massona pochylił się i spadł poza drogę. Brnął wśród stada owiec w kierunku Agnes.

— O, Boże! - powiedziała niepewnie. - To działa, naprawdę działa. I ona zjadła ich trochę.

— Co? - odwrócił się, przysuwając się do mnie. - Co powiedziałaś? Nic nie słyszę w tym hałasie.

Uśmiechnęłam się do niego. Słońce ukazywało w jego włosach srebrne nitki. W kącikach oczu miał zmarszczki i wruszające dołki poniżej kości policzkowych. Nigdy nie spotkałam nikogo... nigdy nic takiego nie czułam... Oto mój wymarzony, jedyny człowiek na całym świecie.

— Nic - powiedziała - nie miałam racji ze słodyczami. Nie ma w nich nic szkodliwego. Absolutnie nic.

Ciągle jednak zastanawiałam się, co by się stało, gdyby taksówka znalazła się przed Christopherem Johnem.

To była czarowna sielanka. Owce przesunęły się teraz trochę dalej od domu. Agnes i pan Masson wolno szli za nimi, głowa przy głowie, rozmawiali. Żadne z nich nie odwróciło się. Kiedy samochód skierował się w stronę bramy do Boscobel, zobaczyłam ramię pasterza obejmujące Agnes.

Christopher John zahamował, a ja wyszłam, by otworzyć bramę. Kiedy zatoczył autem koło, z podwórka na tyłach domu wybiegł William. Nie zauważył mnie i pobiegł prosto do samochodu.

— Tato! Tato! ten gołąb, którego przyniosłeś dziś rano... Wysiadając z samochodu Christopher John chwycił swojego syna i zatrzymał go.

— Chwileczkę. Czy Eddy Masson nie dał ci przypadkiem paru cukierków, które dzisiaj dostał ode mnie?

— Co? Ani jednego. Łakome prosię. Dlaczego pytasz? Ale tato, gołąb! Pani Yelland zostawiła go w gabinecie, wpał Gałgan, uszkodził skrzynkę i gołąb wydostał się. Pewnie już teraz poleciał do Gilly, a ty nie przyczepiłeś listu.

Naraz pies, pędząc śladem Williama, spostrzegł mnie i przybiegł. William odwrócił się i także

mnie dojrzał. Zakrył ręką usta.

Christopher John wyprostował ramię i przyciągnął uspakajająco syna.

— W porządku, ona jest czarownicą, nie wiedziałeś? Już wszystko wie.

— Naprawdę? - szeroko otworzył oczy i spojrzał na mnie.

— Prawie wszystko - powiedziałam z uśmiechem - ale chciałabym zobaczyć list, jeśli można.

Christopher John bez słowa wsunął rękę do górnej kieszeni i wyciągnął mały zwinięty pasek papieru. Rozwinęłam go i przeczytałam. Jak i na pierwszej kartce, było na niej pismo mojej kuzynki.

*Miłość można przewidzieć od początku, a silniejsza jest od śmierci. Żegnajcie moi kochani.*

Po chwili podniosłam głowę. - Oczywiście, wiesz co zawiera?

— Tak. Pokazała mi obie karteczki, zostawiając je u mnie i mówiąc, kiedy mam je wysłać. To był jej sposób pobłogosławienia ciebie i nas obojga. - Dostrzegł w moich oczach pytanie i kiwnął głową.

— Tak. Powiedziała mi, na długo zanim tu przyjechałaś, co się stanie. Pocieszała mnie po śmierci Cecylii. Powiedziała, że pocieszenie i dla mnie, i dla Williama przyjdzie z Thornyhold. I tak się stało.

William, do którego podskoczył Gałgan i polizał jego twarz, przycisnął psa do siebie. Wszyscy troje staliśmy w słońcu, ufni, uśmiechnięci. Uśmiech psa, śmiało można powiedzieć, był najszczęśliwszy.

Stałam naprzeciw nich i oszołomiona nie mogłam objąć myślą wszystkiego, ale karteczka w mojej ręce wyjaśniała sprawę całkowicie. Bajkę zmieniła w rzeczywistość, sprowadzając magię do realnego wymiaru, naturalnego składnika mojego „normalnego świata w jasności dnia”. Kuzynka Geillis przewidziała to dawno temu i wiedziała, być może owego dnia nad rzeką Eden, jak jej śmierć splecie się z moim wejściem w samodzielne życie, podobnie jak wyswobodzenie się tej poczwarki mieszkającej w stawie, która wydobyła się z ciemności na światło słoneczne. Możliwe, że obraz gołębi, które ujrzałam w kryształowej kuli, podsunął jej myśl wykorzystania przygarniętych przez nią bezpiecznych ptaków do przesłania mi błogosławieństwa i tym samym do zadzierzgnięcia znajomości z Christopherem Johnem. Pierwiastek fantazji był typowy dla stosunku dobrej wróżki matki chrzestnej - do mnie. Typowy także był sposób, w jaki zostałam nakłoniona, zmuszona, do wybrania własnej drogi wśród zaczarowanych lasów, gdzie, jak przewidywała, będę narażona na niejedno ryzyko.

190

Christopher John mówił o tym, co się zdarzyło tego ranka w Black Cocks.

— Poprosiłem Eddy Massona, aby przyniósł na farmę jeszcze jednego gołębia z Thornyhold i w momencie gdy składałem skrzynkę do samochodu, zobaczyłem twój rower. Przeklęty ptak

robił duży hałas, tak że natychmiast z nim odjechałem i udałem się do St. Thorn, skąd miałem odebrać paczkę. Gdzie wtedy byłaś? Mam nadzieję, że nie widziałaś mojej ucieczki?

Potrząsnęłam głową, nie by zaprzeczyć, ale dlatego, że ciągle jeszcze nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

— W każdym razie miałem zamiar pojechać wieczorem do Thornyhold — powiedział - i wysłać drugi list później, wieczorem... Jej błogosławieństwo i envoi. Obawiałem się tylko, że

może obiecuję sobie zbyt wiele i że jest jeszcze za wcześnie, ale miałem nadzieję, że w czasie

naszego spotkania wieczorem wszystko się ułoży.

Za wcześnie? A ja się obawiałam, że jest za późno. Ciągle jeszcze zamroczona, zatrzymałam się na jednym jego zdaniu.

— Czy powiedziałaś drugi list? Czy zostawiła tylko dwa? Ależ ten dzisiejszy jest trzeci. Skąd więc przyszedł tamten?

Znowu uśmiech chwytający za serce. - Sama powiedziałaś, że to było błogosławieństwo z niebios. - Wyciągnął wolne ramię i przyciągnął mnie do siebie, przyciskając Williama i Gałgana do drugiego boku.

— Kiedy William wrócił do domu tego pierwszego dnia i opowiedział mi wszystko o tobie i później, kiedy cię spotkałem i sam z tobą rozmawiałem... wtedy zrozumiałem, że panna Saxon miała całkowitą rację, mówiąc o moim przeznaczeniu, ale nie mogłem poprzestać na jej zabiegach, nieprawdaż?

Zaśmiałam się i przysuwając się jeszcze bardziej pocałowałam go.

— Weź też pod uwagę zasługi Williama. Musisz zdawać sobie sprawę, że zrobię wszystko,

by wraz z fretką zamieszkał ze mną.

— Na to właśnie liczyłem.

Niewiele już pozostało do powiedzenia.

Ciągle jeszcze mieszkamy w Thornyhold, choć nasze dzieci,

191

William i dwie córki, dawno opuściły dom. Nikt z nich nie mieszka daleko, więc widzimy się często.

Agnes wyszła za mąż za Eddy Massona i zamieszkała w Tidworth. Jest, jak donoszą „bębny dzungli” oddana mężowi i pogodnie poświęca wolne chwile na współzawodnictwo z wdową Marget. W każdym razie nigdy nie próbowała już mieszać się w nasze życie i pozostała daleką, ale sympatyczną sąsiadką. Babcia spokojnie zmarła we śnie, wkrótce po przeprowadzce, a Jessamy, zaskakując wszystkich, ożenił się z młodą dziewczyną, której zdrowy rozsądek i serdeczność wyciągnęły go z upośledzenia. Wychowują troje dzieci, wszystkie zdrowe i w pełni normalne, gnieźdząc się pogodnie w dwóch domkach stróżówki przy bramie Thornyhold.

Tak więc opowieść o czarownicach okazała się komedią, a czary o północy zbladły, tak jak to

się zwykle dzieje w świetle dnia powszedniego. Jedynym powodem, dla którego napisałam tę opowieść był fakt, że jakiś czas temu usłyszałam jak jedno z moich wnucząt, przerzucając karty pierwszej wydanej przeze mnie ilustrowanej książki o ziołach, powiedziało:

— Czy wiesz Jill, że czasami zdaje mi się, że gdyby tylko nasza babcia zechciała, mogłaby zostać czarownicą?